

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



FRYDERYK SCHILLER

INTRYGGA I MIŁOŚĆ

Tragedia mieszczańska w pięciu aktach

Przełożył ARTUR MARYA SWINARSKI

Tytuł oryginału KABALE UND LIEBE

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

WSTĘP

SCHILLER I MŁODZIEŻ

Adam Mickiewicz, porównując Fryderyka Schillera z J. W. Goethem, powiedział: „Wpływ Schillera na życie swego narodu większym jest dlatego, że przez serce działa więcej na młodzież, która to życie wyrabia.” Źródłem nieustającego entuzjazmu młodzieży była niewątpliwie siła moralna tkwiąca w osobowości największego dramaturga niemieckiego i ładunek ideowy jego dzieł. Od początku swej pracy pedagogicznej jako profesor historii na uniwersytecie w Jenie zjednał sobie młodzież. Pewien student szwajcarski pisał, że blada twarz poety wywierała silne wrażenie. Studenci, gdy się pojawił na katedrze, nie tupali nogami, co zwykli byli czynić na powitanie innych profesorów, ale po wykładach Schillera rozlegały się oklaski. Znany ze swej skromności poeta, opisując w liście do przyjaciela pierwszy swój wykład, nadmienia, że wzrastająca coraz to bardziej liczba słuchaczy sprawiała mu przyjemność i dawała animuszu. Całe miasteczko poruszone było wydarzeniem, jakim był jego wykład, a tłumnie biegnących ulicami studentów pytali przechodnie, czy to nie alarm pożarowy. „Wykład zrobił wrażenie – pisze Schiller – cały wieczór o nim mówiono, studenci okazali mi względy – po raz pierwszy nowemu profesorowi. Grano mi serenadę i trzykrotnie wznoszono wiwaty.” Jakiś nieporównany czar musiały zawierać rozmowy z Schillerem. Oddajmy zresztą głos samym studentom: „Noszę w sercu niewygasłą miłość do pana” – pisze jeden. – „Pan jest dobrodziejem moim”, „Nie wyobraża sobie Pan, jak Pan i Pańskie rozmowy pochłaniają nasze myśli całkowicie, gotowi jesteśmy wyrzec się wszystkiego najdroższego, co mamy, aby tylko wiedzieć, że pan jest zdrow” itd.

Znakomity poeta romantyczny, Novalis¹, który w 1790 r. wstąpił na uniwersytet w Jenie i poznał Schillera, tak o nim pisał: „Od pierwszej chwili obdarzyłem go [Schillera] najpełniejszym, bezgranicznym zaufaniem i nigdy nie miałem wrażenia, że dar mój był zbyt pochopny.”

Młodzież kochała swego profesora i kochała jego dzieła, tłumnie uczęszczając na jego sztuki i wiwatując w teatrze. Goethe pisał o „gwałtownym pragnieniu” młodzieży nieustannego oglądania zwłaszcza młodzieńczych utworów scenicznych poety.

¹ czyt.: Novalis.

ŻYCIE SCHILLERA

DZIECIŃSTWO

Mówiąc o twórczym dorobku Schillera mamy na myśli nie tylko jego utwory poetyckie, prace filozoficzne i historyczne, ale również jego życie i bohaterską walkę z losem, z chorobą, walkę o doskonalenie się wewnętrzne. Jeżeli kto, to przede wszystkim on sam brał do serca wymagania, jakie stawiał innym poetom: aby „uszlachetniali w miarę możliwości swą indywidualność”.

Urodził się 10 listopada 1759 r. w małym miasteczku Marbach, położonym niedaleko stolicy księstwa wirttemberskiego, Stuttgartu².

Ojciec poety, Johann Kaspar Schiller, był felczerem pułkowym i jako lejtnant stał właśnie w polu pod Marbach, kiedy doszła go wiadomość o urodzeniu się jedynego syna, Fryderyka. Był to czwarty rok wojny siedmioletniej, w której księżę wirttemberski Karl Eugen³ prowadził swe oddziały będące na żołdzie francuskim przeciwko Fryderykowi II. Kaspar Schiller nie miał wykształcenia wyższego. Tym więcej pragnął go dla syna. „O istoto wszech istot! – pisał. – Prosiłem cię po urodzeniu syna, abyś mu dodała siły ducha, której ja nie mogłem osiągnąć wskutek braku wykształcenia – i tyś mnie wysłuchała!” Oddziaływał on silnie na poetę swą postawą ludzką, moralnością, siłą charakteru. Często stosował kary w wychowaniu dzieci, których lękał się mały Fryderyk. A przecież w liście do siostry z dnia 19 VI 1780 napisał szczerze: „Mam niezasłużone szczęście wśród wielu tysięcy, że posiadam najlepszego ojca.” Najstarsza siostra Schillera określiła swego ojca jako człowieka prostego, bez wielostronnego wykształcenia, który jednak był silnego charakteru, aktywny i zaradny w życiu praktycznym, a poza tym poczciwy i pobożny.

Matka Schillera, Elisabeth Dorothea Kodeweiss⁴, córka zbankrutowanego piekarza z Marbach, była według słów syna: „dobrą, rozsądną kobietą, a niewyczerpana jej dobroć także i w stosunku do ludzi, którzy ją nic nie obchodzili, wszędzie zjednywała jej sympatię. Przeciwności losu znosiła z cichą rezygnacją, a ponad wszystko wypełniała jej życie troska o dzieci...” Troszczyła się też ustawicznie o męża, który na rozkaz księcia musiał uczestniczyć w różnych wyprawach wojennych, co przyprawiało matkę poety o ciągły niepokój, osłabiając jej zdrowie.

Do najpiękniejszych rysów charakteru Schillera należy wdzięczność wobec matki i stała o nią troskliwość. Zwłaszcza po śmierci ojca opiekował się nią czule poeta. Pisał: „...moją sprawą jest, aby nie nękała cię żadna troska. Po tych ciężkich cierpieniach wieczór twego życia musi być pogodny i spokojny...” Umiała to ocenić pani Dorota, głosząc, że „nikt chyba nie ma takiego dobrego syna”. Lubiła wiersze i pieśni religijne. Po niej to odziedziczył Fryderyk religijność.

Od czwartego do siódmego roku życia przebywał Schiller we wsi Lorch, gdzie zaczął uczęszczać do szkoły. Tam, do rajy swego dzieciństwa, odbył pierwszą wycieczkę mając lat 21. Pastor Moser wywarł wpływ na postanowienie chłopca, który zapragnął zostać księdzem.

Młodziutki Schiller chętnie oddawał swe rzeczy kolegom. Pewnego razu ojciec zauważył, że malec ma buty zawiązane sznurowadłami, a nie – jak to było wówczas w modzie – spięte na klamerki. Kiedy ojciec kazał mu się wytłumaczyć, chłopiec wyznał, że klamerki oddał biednemu koledze, gdyż sam posiadał jeszcze inne przy butach odświętnych. Ojciec nie okazał niezadowolenia. Kiedy jednak Schiller zaczął rozdawać kolegom swe podręczniki szkolne, które ojciec musiał na nowo kupować, nie obeszło się bez nagan.

² czyt.: Sztutgardu.

³ czyt.: Ołgen.

⁴ czyt.: Elizabet Dorothea Kodewais.

W Ludwigsburgu, dokąd przesiedlili się rodzice w r. 1766, uczęszczał Schiller do szkoły łacińskiej. Ojciec poety objął posadę nadzorcy ogrodów książęcych. Fryderyk, jako dobry uczeń, Zwłaszcza w nauce łaciny góruje nad wszystkimi kolegami i nawet próbuje pisać wiersze po łacinie. Kiedy mając lat trzynaście napisał pierwszy wiersz po niemiecku, nie zyskał aprobaty ojca, który zapytał wręcz: „Fritz, czyś ty zgłupiał?”

W „PLANTACJI NIEWOLNIKÓW”

Na zachód od Stuttgartu książę Karl Eugen miał swą rezydencję Solitude. Tutaj założył szkołę, nazwaną później „plantacją niewolników”. Książę potrzebował do administracji urzędników i medyków wojskowych. Niemal siłą więc zmuszał rodziców, aby oddawali dzieci do Karlsschule⁵.

Ofiarą przymusu padł również 14-letni Fryderyk Schiller, którego ojciec nie mógł nie posłuchać rozkazu księcia. Wkrótce Karlsschule przeniesiono do stolicy księstwa i przemianowano na akademię, a młody Fryderyk został skierowany na studia prawnicze. Miał lat trzynaście, kiedy umieszczono go na osiem lat w Karlsschule. Przez tych osiem lat nie zwolniono go ani na jeden dzień wakacji bez wyraźnego zezwolenia księcia, a pod nieobecność opiekuna nie wolno było zobaczyć chłopcu nikogo ze swych bliskich. Nawet z okazji ważnych wydarzeń rodzinnych wyjazd do domu był wzbroniony. Kiedy Schiller po ukończeniu szkoły po raz pierwszy ujrzał swą najmłodszą siostrę, Nanette⁶, miała już ponad trzy lata. Ulubionej siostrze poety, Christophinie⁷, jako kobiecie niezamężnej, nie wolno było przekroczyć progu szkoły. Nic dziwnego, że przymus uczęszczania do zakładu, gdzie panowała tak sroga dyscyplina wojskowa, uważał poeta zawsze za akt gwałtu na swej osobie, hamujący jego rozwój. Zdawał sobie sprawę, że „lata pierwszej młodości decydują o rysach twarzy człowieka na całe życie, podobnie jak są też fundamentem jego moralnego charakteru”. W jednym z listów pisał: „Wchodziłem w życie poprzez smutną, ponurą młodość, a bezduszne i bez serca wychowanie hamowało we mnie lekkie, piękne wzruszenia budzących się pierwszych uczuć.”

Studia prawnicze nie dawały zadowolenia Schillerowi. Tym żarliwiej zagłębiał się w lekturę dzieł Lessinga, poetów „burzy i naporu”, a przede wszystkim w dramat Goethego *Gotz z Berlichingen* i w jego powieść miłosną *Cierpienia młodego Wertera*. Czynić to musiał w wielkiej tajemnicy przed władzami szkolnymi, gdyż dyrekcja niechętnie widziała jakikolwiek samodzielny krok młodego elewa, wszystko musiało tu odbywać się zgodnie z literą prawa i z dyscypliną.

Lata Schillera spędzone w Karlsschule cechuje początkowo brak zainteresowań nauką i chorowitość. Delikatnemu i wrażliwemu chłopcu nie odpowiadał świat owej „plantacji niewolników”. Toteż w r. 1774 był jednym z najgorszych uczniów. Dorównywali mu w złych postępach bracia von Hoven. Jeden z nich pisał o tym okresie życia: „Na wykładach myśleliśmy więcej o planach poetyckich niż o tym, cośmy słyszeli z katedry, dlatego pozostaliśmy w tyle za naszymi kolegami, i to w tym stopniu, że trudno było brać za złe jednemu z profesorów, kiedy zapytał naszego kolegę, czy nam brak uzdolnień, czy też to tylko lenistwo z naszej strony, żeśmy się niczego nie nauczyli.”

W r. 1776 następuje w poecie przełom. Dotychczas był spokojnym uczniem, który pisał wiersze, nie troszcząc się o naukę, zaniedbując obowiązki szkolne. Swawolny, drwiący, kpiarski chłopiec mało przypominał dawnego ucznia. Nie szukał jak dawniej samotności,

⁵ czyt.: Karlsszule.

⁶ czyt.: Nanet.

⁷ czyt.: Kristofinie.

izolacji. Rosnące w nim siły były bodźcem do pracy. Bierze się do roboty i w ciągu dwu lat staje się prymusem w swojej grupie. Zdaje sobie sprawę ze swych uzdolnień i decyduje już o przyszłym życiu. Nie pozostawało to bez wpływu profesora Abła, który w kierowaniu rozwojem Schillera niepoślednią odegrał rolę. Za jego też pośrednictwem zaczyna docierać do młodzieńca współczesna literatura nie tylko niemiecka. Wielkim dlań przeżyciem jest przede wszystkim Szekspir, u którego podziwia gruntowną znajomość człowieka. Kiedy profesor Abel czytał dramat Szekspira *Otello*, Schiller zamieniał się w słuch, cała jego twarz wyrażała uczucia, które go przepęśniały, a ledwie profesor skończył wykład, poprosił o wypożyczenie książki.

Charlotte⁸ Schiller opowiadała, że poeta odmawiał sobie w szkole najulubieńszych smakołyków, aby za pieniądze zaoszczędzone kupić od przyjaciela prawo przetrzymania książek Szekspira przez dłuższy czas. Studiowanie jego dzieł było przez długi okres czasu głównym zajęciem poety. Niektóre dramaty, np. *Króla Lira*, czytał aż szesnaście razy. Z listu córki księgarza z Mannheim⁹, Luizy Pristorius, wiemy, że, kiedy Schiller wyjeżdżał do Lipska, ojciec Luizy radził mu, żeby zaopatrzył się na drogę w jakąś lekturę, bo będzie się nudził. „Nie obawiam się tego – odpowiedział Schiller – kiedy mi się zacznie dłużyć czas, napiszę sobie jakąś scenę z Szekspira i odczytam ją.”

W r. 1775 powstał w Karlsruhle wydział medyczny, na który Schiller się przeniósł. Spodziewał się znaleźć w naukach przyrodniczych odpowiedź na dręczące go problemy.

Studiując medycynę Schiller robił ogromne wysiłki, żeby przyswoić sobie wiedzę medyczną, w okresie kończenia szkoły wyrzekał się czytania innych książek, żeby się nie rozpraszać. Rezygnował z najulubieńszych zamiłowań, aby uczynić to, co uważał za najbardziej celowe. Okazywał w tym wielką siłę woli i hart ducha. Studia czteroletnie ukończył też zdając egzamin jako najlepszy student. W r. 1780 po złożeniu pracy dyplomowej opuszcza szkołę, aby objąć pracę medyka wojskowego w szutgarckim pułku grenadierów z pensją bardzo skromną. Książę wirtemburski, którego Schiller nazywał „starym Herodem”, czyli mordercą jego dzieciństwa, nie dotrzymał przyrzeczenia danego rodzinom swych elewów, że ich korzystnie usytuuje. Schiller w nowej roli medyka pułkowego, obowiązany w dalszym ciągu do żelaznej dyscypliny, nie czuł się dobrze.

Odkoczną od zajęć w akademii medycznej była dlań twórczość poetycka, praca nad dramatem *Zbójcy*, trwająca od 1778 do 1780 r. Schiller pisał ten utwór nocami w izbie chorych akademii, nierzadko ukrywając rękopis pod podręcznikiem medycyny w obawie, aby bystre oko księcia nie dostrzegło pracy zakazanej.

Dramat o dwu braciach, z których jeden jest genialnym lekkoduchem, „szlachetnym rozbójnikiem”, a drugi podłym intrygantem i mordercą własnego ojca, przyniósł poecie sławę. W r. 1781 *Zbójcy* zostają wydrukowani anonimowo na koszt autora. Intendent teatru w Mannheim, zainteresowany przeczytanym egzemplarzem, postanawia dramat wystawić u siebie. Premiera odbywa się 13 I 1782 r. Schiller w tajemnicy przed swymi władzami wojskowymi udaje się wraz z przyjacielem do Mannheim, gdzie uczestniczy w przedstawieniu i przeżywa triumf, „jakiego nie przeżył dotychczas żaden niemiecki dramaturg”. W utworze tym wypowiedział się duch namiętnego protestu i oburzenia na doznane niesprawiedliwości w „plantacji niewolników”, na stosunki współczesne, tyranie książąt.

Schiller po raz drugi udał się potajemnie do Mannheim, aby zobaczyć spektakl powtórnie. Tym razem musiał za karę odsiedzieć 14 dni aresztu, książę Karl Eugen zaś, przeczytawszy *Zbójców*, zakazał mu zajmowania się pisaniem, nie związanym z pracą medyka pod karą zwolnienia ze służby. W r. 1782 w obawie konsekwencji, grożących za nieposłuchanie rozkazu księcia, powziął decyzję opuszczenia stron rodzinnych. Z goryczą pisze o swej ucieczce w zapowiedzi do wydawanego przez siebie pisma „Reńska Talia”: „Wcześniej straciłem ojczy-

⁸ czyt.: Szarlote.

⁹ czyt.: Mannheim

znę, zamieniając ją na wielki świat, który znałem tylko z daleka. Kaprys losu skazał mnie na zawód poety w moim mieście rodzinnym. Upodobanie do poezji obrażało prawa instytutu, w którym mnie wychowywano, i było w kolizji z planami jego założyciela. Przez osiem lat entuzjizm mój zmagał się z regułą wojskową, ale namiętność do poezji jest płomienna i silna, jak pierwsza miłość. Roznieciła to, co miała zdławić.” Poeta zdał sobie teraz sprawę, że przyszłość jego to nie praca przy chorych lub katedra filozofii, lecz twórczość dramatyczna. Poeci epoki „burzy i naporu” widzą w nim swego duchowego przewodnika.

Schiller dokładnie obmyślił plan ucieczki, w której towarzyszyć mu miał jego wierny przyjaciel i kolega, Andrzej Streicher¹⁰. Umówił się z nim, że o 10 rano przygotuje wszystkie rzeczy, jakie będzie chciał zabrać ze swego mieszkania. Streicher zjawił się punktualnie i ku swemu przerażeniu spostrzegł, że Schiller niczego nawet nie tknął. Kiedy bowiem poeta wrócił ze szpitala i zamierzał zabrać się do spakowania książek, wpadły mu w ręce *Ody* słynnego poety niemieckiego, Fryderyka Gottlieba Klopstocka¹¹. Jedna z nich tak go zafrapowała i przejęła, że natychmiast napisał wiersz, będący niejako odpowiedzią na odę Klopstocka. Streicher, zamiast pomagać przy pakowaniu, musiał najpierw wysłuchać ody, a później i wiersza Schillera. Upłynęło sporo czasu, zanim Schiller „zszedł z obłoków” i zaczął przygotowywać się do podróży.

Nocą, niepostrzeżenie, przejechali obaj pomyślnie granicę księstwa wirtemberskiego.

LATA NIEDOSTATKU

Przyjaciele przybyli do Mannheim, skąd piechotą ruszyli do Frankfurtu nad Menem. Brak gotówki uniemożliwił im odbycie tej drogi w inny sposób. Schiller czuł się wyczerpany nerwowo. Dręczyła go myśl o długach za druk *Zbójców* i niepokój oraz poczucie odpowiedzialności za losy rodziny, pozostającej pod rządami księcia. List do Dalberga z prośbą o zaliczkę na nową swoją republikańską tragedię *Sprzysiężenie Pieska w Genui* pozostał bez odpowiedzi. Ponieważ poeta nie czuł się w Mannheim bezpieczny i obawiał się pościgu, skorzystał z zaproszenia matki swojego kolegi z Karlsschule, Henrietty von Wolzogen¹², i w majątku jej pracował nad następnym dramatem *Intryga i miłość* oraz nad przeróbką sceniczną wydrukowanego w Mannheim *Fieska*. Po kilkumiesięcznym samotniczym życiu na wsi, zaangażowany przez Dalberga jako kierownik literacki teatru, powraca poeta w 1783 r. do Mannheim. Powrót ten nie zabezpiecza jednakże Schillerowi warunków do swobodnej pracy twórczej, ani też nie daje możliwości uregulowania długów. Zawiera wprawdzie umowę roczną z Dalbergiem, warunki tej umowy są jednakże całkiem niezadowolające. Poeta otrzymuje miesięcznie bardzo skromną pensję. W zamian zobowiązuje się dostarczyć w ciągu roku aż trzy sztuki: *Fiesko*, *Intrygę i miłość* oraz *Don Karlosa*. Poza tym uczestniczy jako kierownik literacki w zebraniach omawiających repertuar teatralny. Utrzymanie w Mannheim kosztuje go dużo. W miarę możliwości pomaga mu finansowo ojciec. I choć sława Schillera rośnie, choć trzeci jego dramat młodzieńczy zyskuje sobie poklask i entuzjastyczne przyjęcie publiczności, autor jego przeżywa okres nędzy i niedostatku. Do smutnego nastroju poety w latach manheimskich przyczynia się i zły stan zdrowia. Wyczerpany pracą i złymi warunkami, Schiller pada ofiarą nie znanej wówczas epidemii, która nękała go i przyczyniła się do późniejszej choroby płuc poety. Pomimo silnych ataków gorączki nie przerywa pracy, pisząc nocami *Pieska*, *Intrygę* i *Don Karlosa*.

¹⁰ czyt.: Sztraicher.

¹¹ czyt.: Gotliba Klopsztoka.

¹² czyt.: Wolcogen.

Tymczasem do księcia Karla Eugena dotarł anonim, w którym sztuki Schillera nazwano nonsensownymi. Dalberg, zniecierpliwiony długotrwałą chorobą poety, nie chcąc narazić się księciu, nie odnowił umowy z Schillerem. Poeta próbuje ratować się w kłopotach finansowych wydawaniem czasopisma literackiego „Reńska Talia”. Eksperyment jednakże się nie udaje, Schiller robi sobie wokół wrogów i naraża się aktorom pisząc w „Talii” recenzje teatralne. Opublikował też w niej swoje przemówienie programowe pt. *Rozważania nad sceną jako instytucją umoralniającą*. Karolina von Wolzogen pisała o Schillerze, że „aby naprawdę żyć, musiał czuć wokół siebie ludzi zaprzyjaźnionych”. Możemy więc wyobrazić sobie radość poety, kiedy w momencie wielkiego przygnębienia otrzymał w Mannheim list z Lipska od kilku nieznanym mu osób z wyrazami czci i uwielbienia, deklarujących przy tym chęć przyścia mu z pomocą. Dotychczasowi przyjaciele poety, jak np. Andrzej Streicher, byli ludźmi raczej przeciętnymi, którzy go podziwiali. Obecnie nowi przyjaciele – wśród nich przede wszystkim docent z Lipska, filozof, klasyk i ekonomista G. Körner – to były jednostki wybitne. Körner – to jeden z najwdzięczniejszych czytelników dzieł Schillera. Widząc jego trudności finansowe, powiedział: „Zrób mi tę przyjemność i pozwól mi przynajmniej przez rok odjąć ci konieczność zarabiania na chleb.” Ułatwił poecie przeniesienie się do Lipska, wysyłając mu 300 talarów pod pozorem zaliczki na prace wydawnicze. Zaprosił Schillera do siebie, gdzie poeta, wolny od trosk materialnych, przez cały rok mógł poświęcić się w spokoju swej pracy. Teraz napisał słynny *Hymn do radości*, który przyniósł mu nie mniejszą sławę od dramatów. Tu wykończył dramat *Don Karlos*, pierwszy dramat wierszowany, który stanowi punkt zwrotny w twórczości Schillera. Poeta wyzwala się spod wpływów „burzy i naporu”, aby studiując grekę i literaturę starożytną, pisać utwory, które reprezentują najwyższy rozkwit literatury niemieckiej, jakim jest niemiecki klasycyzm. Schiller przedstawia w *Don Karlosie*, w postaci hiszpańskiego infanta, szlachetnego bojownika idei oświecenia; walczy on z despotyzmem króla hiszpańskiego Filipa II i inkwizycji.

WEIMAR

Po roku spędzonym w gronie przyjaciół u Körnera, w izolacji od świata, poeta zapragnął zmiany. Świadomość, że jest pewnym ciężarem dla przyjaciela, że nie może żyć bez długów, skłoniła go do skorzystania z pierwszej okazji, aby przyjechać do Weimaru. Początkowy okres pobytu w tym małym miasteczku turyngskim, w którym koncentrowało się całe życie kulturalne i artystyczne ówczesnych Niemiec – gdzie ściągali co najwybitniejsi poeci, muzycy, malarze i aktorzy – przyniósł poecie rozczarowanie. Wszystko tu żyło Goethem, który od roku przebywał we Włoszech. Wszyscy nowo poznani poeci i pisarze czcili go i opowiadali Schillerowi różne szczegóły z jego życia. Sam o dziesięć lat od Goethego młodszy, poeta przekonał się, że dzieła jego nie są tak znane jak Goethego, że niektórzy wybitni poeci nie czytali ich w ogóle. Ze sferami dworskimi początkowo kontaktu nie miał. *Don Karlos* na dworze weimarskim się nie podobał, a sam Schiller, czując, że go tam nie oczekują, nie starał się doń zbliżyć. Wszystkie swe siły więc i tym razem poświęcił pracy. Studiował filozofię Kanta pod wpływem swego przyjaciela Reinwalda¹³. Jako rezultat rozmyślań nad filozofią Kanta powstanie później rozprawka poety *O wdzięku i godności*. Aby móc żyć i spłacać długi, musiał pozawierać bardzo dużo umów z różnymi wydawnictwami i redakcjami czasopism. Dniami i nocami nie wstawał od biurka, aż siły fizyczne odmówiły mu posłuszeństwa.

¹³ czyt.: Reinwalda.

W r. 1788 ukończył pierwszą część swej pracy pt. *Historia oderwania się Niderlandów*. Choć Schiller nie był historykiem, praca ta jednak, która stała się bardzo popularna, przewyższała dotychczasowe prace historyczne z tego zakresu, stanowiąc pierwsze nowoczesne dzieło historyczne w Niemczech o tendencjach rewolucyjno-demokratycznych.

Schiller odczuwał wielką potrzebę dokształcania się. Zdawał sobie sprawę z luk we własnych wiadomościach. Dzieła jego zmuszały go do zainteresowania się przede wszystkim historią. Z tych zainteresowań powstało drugie jego dzieło historyczne – I część *Historii wojny trzydziestoletniej*. Przy okazji zapoznał się bliżej z postacią Wallensteina, która bardzo silnie oddziaływała na wyobraźnię poety.

Nie zaniedbywał również twórczości poetyckiej. Z tego okresu datują się dwa znakomite wiersze *Bogowie Grecji* i *Artyści*. Oba one świadczą o zainteresowaniu i studiach Schillera nad kulturą i sztuką grecką. Poeta obiecuje sobie w liście do Körnera, że już nigdy nie będzie czytał pisarzy współczesnych. Tylko lektura pisarzy starożytnych sprawia mu prawdziwą przyjemność, kształci jego dobry smak.

Jesienią roku 1787 podczas wycieczki w okolicę Rudolstadt poznał Schiller panią Lengefeld, wdowę po łowczym książęcym. Młodsza jej córka, Lotta, wzbudziła w poecie szczere uczucie. Sytuacja materialna jednakże nie pozwalała mu myśleć o założeniu ogniska domowego, którego pragnął, za którym bardzo tęsknił. Wprawdzie w końcu 1788 r. powołany został poeta do objęcia katedry historii na uniwersytecie w Jenie, jednakże zaszczytna ta funkcja nie była płatna. Wykładowca otrzymywał tylko honoraria za wykłady. Uniwersytety ówczesne miały charakter raczej szkół, a głównym zadaniem profesora było wyjaśnianie poszczególnych paragrafów w odpowiednich podręcznikach.

Schiller zastanawiał się, czy propozycję tę przyjąć. Zdawał sobie bowiem sprawę, że przybędzie mu jeszcze dużo nowych obowiązków, na skutek czego utraci swobodę dysponowania czasem i oddania się pracy twórczej. Propozycję jednakże przyjął budząc entuzjazm wśród młodzieży studenckiej, zachwyconej tym, że znanego autora głośnych sztuk ujrzy teraz w zupełnie nowej roli swego wykładowcy i wychowawcy. Pragnąc zrealizować plany osobiste, poeta, zaręczony z Lotta Lengefeld, zrzucił pychę z serca i zwrócił się do księcia z prośbą o wyznaczenie mu pensji. Książę Karol August przychylił się do prośby, wyasygnował mu jednakże skromną pensyjke, dwieście talarów miesięcznie, co w żadnym razie nie uwalniało Schillera od obowiązku pracy zarobkowej.

W dniu 22 lutego odbył się ślub poety z Lotta. „Czuję się szczęśliwy – pisze wkrótce potem do przyjaciela – a wszystko utwierdza mnie w przekonaniu, że i żona jest i będzie ze mną szczęśliwa... Jakże pięknie prowadzę teraz życie! Pogodnie spoglądam wokół siebie, a serce, doznając stałego i łagodnego ukojenia, nie posiada się z radości, podczas gdy duch znalazł pokarm i wytchnienie. Życie moje pełne niezakłóconej harmonii, dni płyną bez gwałtownego napięcia, lecz spokojnie i jasno. Wykonuję swe zajęcia jak dawniej, lecz z większym zadowoleniem z siebie samego...”

CHOROBA

Pracując co dzień po czternaście godzin, jak to sam pisał do Körnera, doprowadził poeta swoje siły fizyczne do załamania. 3 stycznia 1791 r. nastąpił pierwszy groźny atak choroby, a w maju drugi, tym razem jeszcze groźniejszy. Mając stale dolegliwości i źle sypiając, uważał pracę za przerwę między atakami. Przez czternaście lat po bohatersku zmagając się z ciężką chorobą, tworząc w tym czasie swe najdoskonalsze dzieła. Ci, co go pielęgowali, ze zdumieniem patrzyli na jego pogodę w znoszeniu cierpień. „A w ogóle straszny ten atak – pisał

24 V 1791 – bardzo mi dobrze zrobił. Niejeden raz spojrziałem śmierci w oczy, co dodało mi odwagi”, a miesiąc przedtem czytamy w jego korespondencji; „Dusza moja jest pełna pogody, odwagi mi nie zabraknie, nawet jeśli przyjdzie najgorsze.” Jednakże ataki choroby osłabiły go tak bardzo, że przy wszelkim wysiłku popadał w omdlenie. Musiał więc zaniechać wykładów uniwersyteckich. W przerwach między nasileniami choroby pracował nad planem swego największego dramatu historycznego *Wallenstein*¹⁴. Przyjaciele poety przypuszczali, że Schiller wyzdrowiałby może zupełnie, gdyby mógł przez pewien czas nie pracować. Na to nie pozwalała mu jednak jego sytuacja materialna. W ciężkich tych chwilach Schiller nie otrzymał żadnej pomocy od rodziny księcia weimarskiego. Pomoc nadeszła z Danii.

Gościem Schillera w Jenie był w r. 1790 poeta duński Jens Bagessen, który stał się wielkim entuzjastą i popularyzatorem jego dzieł w swej ojczyźnie. Kiedy po ciężkim ataku Schillera, za granicą rozeszła się pogłoska o jego śmierci, a później doszła wiadomość o wyzdrowieniu, Bagessen zwrócił się do księcia von Augustenburg i ministra finansów Schimmelmana¹⁵, aby pomogli choremu poecie, który zbyt ciężko musi pracować. W odpowiedzi na tę prośbę rząd duński zaofiarował poecie trzy tysiące, aby mógł się spokojnie leczyć i przygotowywać do swych wielkich dzieł. „Spełniło się to, za czym, odkąd żyję, najgoręcej tęskniłem – pisał do Körnera. – Wolny jestem od trosk na długo, a może na zawsze; mam upragnioną od dawna niezależność ducha... Mam nareszcie wolny czas, by uczyć się, gromadzić wiedzę i móc pracować dla potomności.” Odpisując księciu duńskiemu wyraził się: „Jestem i będę tylko poetą i umrę także jako poeta.”

Po straceniu Ludwika XVI francuskie Zgromadzenie Narodowe nadało kilku cudzoziemcom, m. in. Kościuszce, a także Schillerowi, tytuł obywatela honorowego republiki francuskiej. Zasłużył na niego Schiller *Zbójcami* i *Don Karlosem*. Początkowo przyjął wiadomość o tym zaszczycie entuzjastycznie, choć tytuł ten zapewne nie przypadł do gustu dworowi weimarskiemu. Schiller sam nazywał się „Weltbürgerem”, gdyż nie chciał służyć żadnemu księciu, i walczył z despotyzmem w Niemczech. Przeraziły go jednak środki rewolucyjne jakobińców, za pomocą których osiągalni cele rewolucyjne. Autor dzieł rewolucyjnych bał się zawiruchy rewolucyjnej. Dojrzały Schiller różnił się zresztą od Schillera – autora *Zbójców*.

SCHILLER I GOETHE

Od r. 1794 trudno jest omawiać twórczość Schillera z pominięciem osoby największego poety niemieckiego, Johanna Wolfganga Goethego. Wszystko bowiem, co przeżywał i tworzył Schiller, omawiał z nowo pozyskanym przyjacielem. Przyjaźń to bezprzykładna w dziejach nie tylko niemieckiej literatury. Wzruszają ci dwaj ludzie o całkiem odmiennej strukturze psychicznej, „olimpijczyk” Goethe i młodszy o dziesięć lat od niego, schorowany Schiller. Szacunek ich wzajemny oraz wyrozumiałość cechowała tę znajomość. Obaj odczuwali wielką potrzebę takiej przyjaźni, w której wspólne zainteresowania i uzdolnienia pozwalają na wymianę myśli na tematy najbardziej pasjonujące. Schiller, czytając dzieła Goethego, uświadamiał sobie kanony sztuki i zadania własnej twórczości. Goethe zaś pisał do Schillera 31 X 1798: „Pan dał mi drugą młodość, uczynił mnie pan znowu poetą, którym prawie już przestałem być.” Schiller wiedział, że wiele zawdzięczał Goethemu, zdawał sobie jednak również sprawę i z tego, że jego wpływ na Goethego był także szczęśliwy. Sam uważał znajomość z Goethem za najbardziej pomyślne wydarzenie swego życia.

¹⁴ czyt.: Walensztain.

¹⁵ czyt.: Szimelmana.

Wyrazem przyjaźni poetów jest ich współpraca przy wydawaniu satyrycznych epigramów, skierowanych przeciwko filistrom i grafomanom niemieckim. Tworzyli wspólnie z radością, zapalem i nie skąpiąc ostrej satyry. Do niektórych *Ksenii* Schiller dawał pomysł, Goethe formę poetycką, do innych odwrotnie. Nieraz pierwszy wiersz pochodził od Schillera, następny od Goethego. Postanowili wydać *Ksenie* anonimowo. Współpraca ta dała początek nowemu ożywieniu ich twórczości. Pracowali obaj w czasopiśmie literackim „Die Horen”.

Goethe udzielał rad Schillerowi na temat jego dramatu *Wallenstein*, obydwaj dokładnie omawiali powieść Goethego *Lata nauki Wilhelma Meistra*.

Rok 1797, zwany „rokiem ballad”, przyniósł obfity plon tego rodzaju wierszy. Schiller napisał *Rękawiczkę*, *Pierścień Polikratesa*, *Żurawie Ibikusa*, *Rycerza Togenburga* i inne ballady.

Poeci byli sobie nie tylko pierwszymi wnikliwymi czytelnikami swych dzieł, lecz również doradcami, którzy nawzajem dodawali sobie bodźca do pracy. Wielką zasługą Schillera jest ukończenie przez Goethego tak znakomitego dzieła, jakim jest *Faust*. W jednym z listów pisał Goethe do Schillera: „...pod pańskim dzisiejszym listem mogę się podpisać jak pod własnym wyznaniem wiary.” Wiersze Schillera *Idealy* i *Życie*, a zwłaszcza *Idealy* spotkały się z wielkim uznaniem Goethego. Pochwały jednak nie wbijały w dumę Schillera. Mawiał on: „Na jedną godzinę odwagi i ufności przypada dziesięć, kiedy jestem zniechęcony i sam nie wiem, co o sobie myśleć.”

Przyjaźń Schillera z Goethem stała się najdonioślejszym faktem niemieckiej historii kultury na przełomie XVIII i XIX wieku. Dzięki niej powstały dzieła stanowiące szczytowe osiągnięcie klasycznej literatury niemieckiej.

Schiller pisze teraz serię artykułów z zakresu estetyki pt. *O poezji naiwnej i sentymentalnej*. Wzajemne rozmowy obu przyjaciół dotyczą nie tylko własnych utworów, ale problemów teoretycznych z zakresu estetyki. Wypracowali obaj teoretyczne rozgraniczenie epiki i sztuki dramatycznej jako odrębnych gatunków literackich.

Przebudowany teatr weimarski wystąpił w dniu 12 X 1798 r. z premierą I części trylogii dramatycznej Schillera pt. *Obóz Wallensteina*. W styczniu 1799 r. została wystawiona II część *Wallensteina* – *Dwaj Piccolomini*, a w kwietniu tego roku końcowa część *Śmierć Wallensteina*.

Plan dramatu powstał w r. 1791. Przeczytana przez autora w jednej z ksiązek historycznych dokładna analiza charakteru Wallensteina zafrapowała poetę tak dalece, że postanowił uczynić go bohaterem nowego dramatu. Praca nad tym dramatem ulega przerwom na skutek ataków choroby. Jednakże Schiller odbywa sumienne studia historyczne, ogląda portrety bohatera. *Wallenstein* ma wielkie znaczenie nie tylko dla twórczości Schillera, ale dla dramatu klasycznego w Niemczech i dla dramatu XIX w. w ogóle. Publiczność entuzjastycznie witała na scenie ten najdoskonalszy dramat historyczny w literaturze niemieckiej, dramat sławy, ambicji i klęski wodza wojny trzydziestoletniej, Wallensteina. Rolę tego dramatu w twórczości Schillera porównywano z rolą *Fausta* w twórczości Goethego, czerpiąc z niego jak ze skarbcza myśli i cytaty.

Studenci i oficerowie najbardziej oklaskiwali przedstawienia Schillera. Opowiadano, że na parterze widywano też chłopców z okolicznych wsi, a weimarscy rzemieślnicy powtarzali na pamięć całe partie *Wallensteina*.

W okresie kiedy poeta wszystkie swe siły zużywał na wykańczanie wielkiej trylogii dramatycznej, czuł się w Jenie dość osamotniony. Nie pełnił już funkcji profesorskich, więc studenci ze względu na jego stan zdrowia nie odwiedzali go, wiedząc, jak bardzo był zajęty. Chętnie jeździł do przyjaciół w Weimarze i zamyślał się tam przeniesić. Kiedy Lotta w r. 1799 urodziła trzecie dziecko, córkę Karolinę, poeta zaczął realizować pragnienie przeniesienia się do Weimaru, gdzie rozpoczął nieoficjalną współpracę dyrekcyjną z Goethem w teatrze weimarskim. Sytuacja materialna Schillera w dalszym ciągu nie przedstawiała się różowo. Na specjalną prośbę, złożoną księciu Karolowi Augustowi, podwyższono mu stałą pensję. W r.

1800 nastąpiło nowe nasilenie choroby, sygnalizując poecie, że organizm jego nie jest w stanie wytrzymać na dalszą metę dotychczasowego trybu życia i tak intensywnej pracy.

Schiller dawno już planował napisanie utworu o życiu prostych ludzi. W 1788 w odlewni dzwonów w Rudolstadt przypatrywał się całemu procesowi powstawania dzwonów i pracy robotników. Zamierzał przeprowadzić analogię między pracą przy odlewie dzwonu a życiem człowieka. Wynikiem refleksji na ten temat jest powstała w r. 1799 popularna *Pieśń o dzwonie*.

Niezmordowany geniusz Schillera nie znał odpoczynku. Wśród ciężkiej i trudnej pracy nad *Wallensteinem* powstaje wiersz *Początek nowego stulecia*, a już w sześć dni po wystawieniu *Śmierci Wallensteina* słyszymy o pracy poety nad nowym dramatem. Nie upłynął rok, jak ukazała się *Maria Stuart*, dramat o skazanej za winy swej młodości na śmierć królowej szkockiej. I znów widzimy poetę siedzącego nocami przy biurku nad nowym dramatem, nad „romantyczną tragedią”, jaką jest *Dziewica Orleańska*, której premiera 11 IX 1801 r. odbyła się tym razem nie w Weimarze, lecz w Lipsku. Dramat ten, przetłumaczony na język polski przez E. Odyńca, należy do najczęściej u nas grywanych utworów Schillera.

Schiller, osiągając szczyty swej wydajności w pracy, poza twórczością oryginalną zajmował się adaptacją pewnych utworów z literatury niemieckiej i światowej dla sceny weimarskiej.

Ostatnie lata poety w Weimarze opromieniały go sławą i uznaniem u młodzieży i ludzi dorosłych. Aby zbliżyć Schillera do sfer dworskich, w r. 1802 nadano mu tytuł szlachecki. Żona jego stwierdziła, że nie był tym zainteresowany, że tytuł nie schlebiał jego ambicji. To raczej ona cieszyła się, że może być podobnie jak siostra damą dworską. Pomimo tych zaszczytów rosła w poecie potrzeba rozszerzenia swych wpływów i swego znaczenia poza drobny partykularz, jakim był Weimar. „Nie mam ochoty umierać w Weimarze” – pisał do szwagra. W poszukiwaniu nowego miejsca pobytu udał się 1 V 1804 r. do Berlina, dokąd został zaproszony przez dyrektora teatru Ifflanda i królowę Luizę. Tu stawiano jego kandydaturę na członka Akademii. Największą radość sprawiało mu uznanie mieszkańców Berlina, oddziaływanie jego sztuk, które przy każdym przedstawieniu witano entuzjastycznie. Kiedy Karol August dowiedział się, że Schiller zamierza porzucić Weimar, podwyższył mu pensję. A że ciężka była poecie myśl o rozstaniu z Goethem, nie mógł zdecydować się na porzucenie turyngskiej mieściny.

W r. 1803 napisał Schiller nowy dramat *Narzęczona z Mesyny*, wystawiony w Weimarze w tymże roku. Poeta pragnął w sztuce o nienawiści dwu braci i zagładzie rodu Mesyny stworzyć utwór według surowych reguł klasycznych, naśladowający wzór tragedii klasycznej – Sofoklesa. Praca nad *Narzęczoną* nie przeszkadzała mu w zbieraniu materiału do ostatniej ukończonej sztuki, jaką jest dramat z okresu wyzwoleniczych walk narodu szwajcarskiego o jego bohaterze, *Wilhelm Tell*. W 1804 r. przesłał Goethemu egzemplarz ukończonego dzieła, sprawiając nim wiele radości przyjacielowi.

Okres obejmujący półtora roku po napisaniu *Wilhelma Tella* był w gruncie rzeczy powolnym umieraniem poety. Od chwili kryzysu żył Schiller właściwie niejako tylko siłą swego charakteru. Pomimo fatalnego stanu zdrowia pracował nad nowym dramatem, który miał prześcignąć w doskonałości wszystko, co dotychczas napisał. Mowa tu o *Dymitrze*. Tym razem sięgnął poeta do historii Rosji, aby przedstawić los cara Dymitra Samozwańca. Postać „fałszywego Dymitra”, pochodź zwycięski uzurpatora i jego upadek, oddziaływały silnie na wyobraźnię dramaturga. Akt pierwszy niedokończonego dramatu rozpoczyna się walnym sejmem w Krakowie, gdzie poeta pokazuje Polskę szlachecką i zgubne skutki liberum veto. Pozostawiony fragment wskazuje na wielkie wartości artystyczne tego ostatniego dzieła.

Poeta pragnął dożyć lat pięćdziesięciu. Spodziewał się, że do tego czasu zdąży napisać tyle utworów, ile było potrzeba, aby zabezpieczyć żonę i czworo dzieci, aby uniezależnić rodzinę od pomocy księcia. Dumą napawała go świadomość, że udało mu się wreszcie spłacić długi

za dom, nabyty swego czasu w Weimarze, dom, który przy ulicy zwanej jego imieniem do dziś można oglądać.

Choroba jednak powracała coraz to silniejszymi atakami, osłabiając przemęczony organizm i powodując częste omdlenia. Nie poddawał się jej.

Troskliwy o stan zdrowia przyjaciela Goethe kazał wbudować w teatrze specjalną dla niego lożę, którą, nie zakłócając ciszy na widowni, mógłby w dowolnej porze w razie potrzeby opuścić. W dniu 30 kwietnia 1805 r. był w niej po raz ostatni. Przeziębienie spowodowało nowy, tym razem śmiertelny atak. Zmarł 9 maja 1805 r. Goethe napisał, że wraz ze śmiercią Schillera utracił połowę własnego życia. Pragnąc uczcić przyjaciela stworzył epilog do *Pieśni o dzwonie*, będący najwspanialszym dokumentem dziesięcioletniej przyjaźni obu wielkich twórców.

Krótki rys życia Schillera będzie chyba najwłaściwiej zakończyć słowami Ignacego Kraśzewskiego, który z okazji setnej rocznicy urodzin poety w r. 1859 ujął ocenę osobowości największego dramaturga niemieckiego mówiąc: „Usta jego nie skalały się nigdy fałszem, serce nie sprzedało dla chleba, myśl nie skłamała świętemu powołaniu poety.”

INTRYGNA I MIŁOŚĆ

CZAS POWSTANIA

Kiedy poeta opuszczał gościnne progi Henrietty von Wolzogen w Bauerbach, uwoził ze sobą ukończony dramat *Luisa Millerin* (początkowy tytuł *Intrygi i miłości*).

Pierwszy plan dramatu powstał, według wiadomości Karoliny von Wolzogen, podczas aresztu w Stuttgarcie, po drugiej potajemnej podróży poety do Mannheim. W okresie kiedy udręczony był troskami osobistymi i materialnymi, potrafił bez reszty oddać się pracy twórczej nad nowym dramatem, tak że przestawał w ogóle istnieć wtedy dla świata. Podejmując pracę, był przekonany, że w ciągu „dwunastu do czternastu dni” dzieło ukończy. Niestety planu nie zrealizował. Brak mu było w samotni bauerbachskiej podniety i zachęty ze strony przyjaciół, a jak zwykle pewną przeszkodą było także usposobienie poety, który, nim ukończył jedno dzieło, zaczynał już pracować nad następnym. Do wykończenia utworu niezbędny był bodziec zewnętrzny. Tym bodźcem okazał się Dalberg, który w końcu marca 1783 r. szczególnie się zainteresował nowym dramatem. 3 maja 1783 r. pisał poeta: „Moja *Luisa Millerin* wypędza mnie z łóżka już o 5 rano.” Było to w Mannheim, gdzie Schillera zaangażowano na kierownika literackiego Teatru Narodowego. Tu opracowywał ostateczną redakcję dramatu. Musiał na wniosek Andrzeja Streichera, jak również, by nie narazić się na prześladowania, a nawet areszt, wprowadzić wiele zmian i unikać zbyt rażących aluzji do stosunków panujących w księstwie Karla Eugena. Pomimo tych przeróbek sztuka po pierwszych sukcesach została zdjeta w Mannheimie, a w Stuttgarcie zabroniono grania jej zaraz po premierze.

Pierwotny tytuł dramatu *Luisa Millerin* uległ zmianie. Dzieło to pt. *Intryga i miłość* zostało wystawione po raz pierwszy 13 IV 1784 r. we Frankfurcie, a 15 IV w Mannheimie.

MOTYWY Z PRZEŻYĆ WŁASNYCH

Pierwszą podniętą do napisania *Intrygi i miłości* stanowiła świadomość brutalnego pogwałcenia praw jednostki, zagrożenie wewnętrznego „ja”, oburzenie na despotyczną tyranie, która skazywała poetę na nędzę, łamiąc mu życie. Cały utwór technicznie protestem przeciwko ówczesnym stosunkom społecznym, przeciwko wewnętrznemu rozkładowi dworów książęcych i zgorszeniu, przeciwko uciskaniu stanu mieszczańskiego, przesądom i pysze możnych. Dramat Schillera jest ściśle powiązany z wydarzeniami współczesnymi poecie, jest wyrazem bezpośrednich jego przeżyć, daje obraz najbliższego jego otoczenia. Wystarczyło sięgnąć do kręgu własnych doświadczeń, do środowiska na dworze w Wirtembergu, aby naszkicować obrazy i charaktery. Kto zna historię okresu panowania księcia Karla Eugena, ten łatwo pojmie, skąd Schiller mógł czerpać intensywne barwy do swych obyczajowych i historycznych obrazów.

Po wojnie trzydziestoletniej Niemcy podzielone były na wiele państewek. Książęta na skutek rozrzutnego i wystawnego trybu życia, rządów faworyt, doprowadzali swe państewka do ruiny. Głównym źródłem dochodów na pokrycie ogromnych wydatków bieżących były duże podatki nakładane na chłopów, którym ci ostatni nie mogli podołać, jak również handel poddany. Sprzedawano ludzi obcym władcom na mięso armatnie. Fryderyk Engels scharakteryzował ówczesne Niemcy jako „żywą masę zgnilizny i odrażającego rozkładu”, jako kraj, gdzie nie ma „środków wpływania na umysły mas, wolnej pracy, ducha obywatelskiego, a nawet rozwiniętego handlu z innymi krajami – tylko małostkowość i sobkostwo, małostkowo przyziemny nędzny duch kramarski władał całym narodem”.

Niektóre postaci zaczerpnął poeta wprost z życia. Faktem jest, że książę w Stuttgarcie, „najpiękniejszy mężczyzna, najbardziej ognisty kochanek i najdowcipniejszy człowiek”, jak go określiła pokojówka jego faworyty, gotów był roztrzaskać głowę człowieka dla swego kaprysu. W ojczyźnie poety żył minister, który zrobił karierę fałszując listy i gubiąc tym swego przeciwnika, Riegera. Nietrudno odnaleźć w *Intrydze* analogiczne postaci. I Wurm, i Kalb mają swoje wzory na dworze wirtemberskim. Prezydent von Walter w *Intrydze i miłości* wybija się na wysokie stanowisko z miernej pozycji, przy czym każdy środek uważa za dobry, aby obalić przeciwnika. Chcąc umocnić swoje wpływy nie zawaha się nawet przed uknueniem małżeństwa jedynego syna z faworytą księcia, mimo iż syn zakochany jest w córce muzyka Millera, a miłości tej nie traktuje jako przygody. Prezydent więc wzywa na pomoc sekretarza, niezbędną postać na dworach, posiadającą umiejętność stosowania intrygi i podstępu.

Schiller w dramacie zaatakował nie tylko Karla Eugena z Wirtembergii, lecz całe Niemcy. Oskarżenie poety występuje najjaskrawiej w scenie z kamerdynerem. Scena handlu żołnierzami jest typowa dla stosunków w księstwie Karla Eugena. U podłoża tej sceny leżą faktyczne wypadki. W okresie wojny o niepodległość Ameryki niejednokrotnie dochodziło do buntów. 9 III 1777, a więc na kilka lat przed napisaniem *Intrygi* zbuntował się cały transport żołnierzy przehandlowanych Anglii przez margrabiego Karola Aleksandra z Ausbach-Bayreuth. Żołnierze, wspomagani przez ludność cywilną, masowo opuszczali okręty transportowe. Podczas ścigania zbuntowanych, którzy usiłowali ukryć się w górach, doszło do regularnej walki; w następstwie jej byli zabici i ranni.

Nieważne jest, jaki epizod był podniętą dla Schillera do napisania tej bardzo dynamicznej sceny, nie da się jednakże zaprzeczyć, że brutalne metody, którymi posługiwali się książęta kupcząc swymi podwładnymi, mają realne pokrycie w ówczesnej rzeczywistości. Opowiadanie kamerdynera ukazuje lady Milford postać księcia w innym świetle i jest bodźcem do jej ucieczki z kraju. Lady reprezentuje wątek polityczny w dramacie, będąc zwiastunką idei wolnościowych. W scenie pożegnania jako wolna Angielka budzi wśród Niemców świadomość narodową. Zwiastuje nadejście nowej ery.

W ojczyźnie swej przyjrzał się też Schiller mieszczaństwu. Choć odizolowane od górnej warstwy przesadami i pochodzeniem, było jednak częściowo zarażone zgnilizną możnych. Uosobienie pozytywnych wartości mieszczanina stanowił w oczach poety jego ojciec, który nienawidził wszelkich pozorów i póż, a w gwałtowny gniew popadał jedynie, ilekroć żona stawiała córkom wymagania wykraczające poza ich sferę. Muzyk Miller w dramacie nosi cechy ojca poety.

W przeżyciach bohatera Ferdynanda odbijają się własne przeżycia poety, jego nieszczęśliwa miłość do Lotty, córki baronowej von Wolzogen. Podobnie jak ukochana Ferdynanda również i poeta musiał odczuć dystans pomiędzy szlachtą i mieszczaństwem. W jego osobistym konflikcie rywal odniósł nad poetą zwycięstwo jedynie dlatego, że był szlachcicem.

Oprócz przeżyć własnych przewijają się w dramacie wątki uczuciowe zaczerpnięte z dzieł jego poprzedników literackich jak Rousseau, Diderota i Lessinga. Niektóre elementy do swych postaci wskazują wpływy dramatu rodzinnego.

Schiller nigdy nie poprzestawał na naśladownictwie. Zaczerpnięte motywy przepajał zawsze treścią osobistą nadając im piętno twórczości indywidualnej. W *Intrydze i miłości* rozwija konflikt od dramatu osobistego do problemów całego społeczeństwa; dzięki temu nie tylko potęguje siłę konfliktu, lecz tragiczny przypadek pogłębia i przenosi z ciasnych ram losu jednostki na stosunki społeczne. Dramat nabiera przez to znaczenia wizji epoki.

TRAGIZM W *INTRYDZE I MIŁOŚCI*

Intryga i miłość jest tragedią. Konflikt, który przedstawia, prowadzi do śmierci bohaterów dramatu. Jej tragizm tkwi nie tylko w charakterach występujących postaci. Przyczyną jego jest cała epoka, w której dobrzy i niewinni ludzie cierpią i giną, przesady tej epoki, zwłaszcza zaś brak moralności w środowiskach dworskich.

Tragizm dramatu najintensywniej przeżywamy nie w momencie, kiedy patrzymy na śmierć obojga młodych bohaterów, lecz widząc wewnętrzną walkę Luizy. Kiedy w 7 scenie V aktu Luiza woła do Ferdynanda: „Okrutna kolej losu pomieszała mowę naszych serc” – to istotnie Ferdynand jest w stanie zamętu uczuć i ślepoty. Tylko gwałtowne zaślepienie czyni z niego ofiarę intryg przeciwników i każe mu zatracić wiarę we wspaniały i czysty charakter ukochanej. Młodzieńczy brak umiaru jest jego główną wadą. W zasadzie rozum jego funkcjonuje sprawnie, ale – w chwili najistotniejszej potrzeby ulega wpływowi uczucia i całkowicie zawodzi. Tak np. sfałszowany list do szambelana powoduje, że Ferdynand wpada w pułapkę, zamiast bowiem kierować się rozumem pozwala się ponieść ślepej zazdrości.

Główny konflikt dramatu rozwija się wokół dwojga zakochanych, którzy niczego nie pragną oprócz miłości. Nie pozwala jednakże na tę miłość łańcuch nienaruszalnych przesądów.

Szczęście kochających narusza najistotniejsze interesy życiowe Prezydenta von Waltera. Jest on nie tylko typowym faworytem dworskim, ale ponadto góruje umysłem nad swym otoczeniem. Za wszelką cenę chce utrzymać się na stanowisku. Nie zaspokojona niczym ambicja ta nakazuje mu umocnić swą władzę nawet po śmierci. Nic nie odwiedzie go od tego planu, który wcale nie uwzględnia zamierzeń syna. Najbliższe otoczenie dworskie nauczyło Prezydenta von Waltera zetknąć wyłącznie z podłością. Ani na chwilę nie wierzy, że naiwne marzenia młodzieńca mogłyby zniszczyć misterną budowlę jego planów. Postanawia więc zmusić syna do posłuszeństwa gwałtem lub podstępem. Miłość jego do Ferdynanda to prymitywny egoizm, który całe życie jedynaka nakłania do swych celów. Tragizm Prezydenta polega na tym, że dopiero przy zwłokach syna zaczyna pojmować, jak błędne było jego rozumowa-

nie, że postępowanie wobec Ferdynanda musiało zawieść. Niszcząc szczęście syna, utracił zarazem własnego spadkobiercę.

Zasługą Schillera było, że w rysunku osoby Prezydenta von Waltera wczuł się w los władcy, pragnąc dać ujęcie postaci jako charakteru tragicznego, a nie jedynie jako wroga politycznego, malowanego czarnymi kolorami.

W narysowaniu postaci szambelana von Kalba znać talent satyryka-humorysty. Schiller w osobie Wurma pokazał ideał służalczego urzędnika, chytrego, knującego intrygę przeciwko parze zakochanych.

Lady Milford jest nieodzowną wówczas postacią faworyty na dworze księcia. Ona wprowadza nas w najintymniejsze zakamarki życia dworskiego, ona wyjaśnia przyczyny rozrutnego życia, eksploatowanego narodu, całej sieci intryg, łask i wpływów. Kto cieszy się względami faworyty, zdobywa też względy księcia. Żeby więc księżę pozostał w kręgu intryg rodziny Prezydenta, młody Ferdynand musi ożenić się z lady Milford. Ona to w dramatycznej rozmowie z Ferdynandem wypowiada słowa: „Rozpusta możliwych tego świata jest niby hiena: żarłoczna, nienasycona, szuka coraz to nowych ofiar. Od dawna grasowała już w tym kraju. Kochające się pary rozdzielała, darła nawet święte związki małżeńskie; niszczyła ciche szczęście rodzinne.”

W miarę pracy Schillera nad *Intrygą* rosło znaczenie lady Milford w dramacie. Pierwotnie pojętej postaci negatywnej przybywało coraz więcej rysów szlachetnej namiętności i wzniosłości. Przez miłość pragnie skłonić Ferdynanda do małżeństwa, a gdy się jej to nie udaje – nakłonić Luizę do rezygnacji. Główną jej cechą w scenach z pokojówką jest ambicja, w scenie z Ferdynandem potrzeba miłości i chęć czynienia dobrego. Wzrusza nas w scenie z kamerdynerem, który przynosi jej szkatułkę z klejnotami jako prezent od księcia na zaślubiny z Ferdynandem. Wstrząśnięta opowiadaniem kamerdynera, lady gotowa jest spieniężyć klejnoty, a pieniądze rozdzielić pomiędzy rodziny, które zniszczył pożar, choć wie, że narazi się tym na nielaskę jego księżęcej mości. „Czy mam nosić we włosach przekleństwa całego kraju?” – woła wzburzona. Po rozmowie z Luizą, upokorzona i pokonana siłą czystego uczucia młodej mieszczki – dama Milford czuje się osamotniona. Zdobywa się na rezygnację ze swej miłości do Ferdynanda i ze stanowiska dworskiego. „Niech mnie wiedzie tylko wspaniałość!” – mówi do siebie po podjęciu decyzji ucieczki z kraju, a w liście do księcia pisze: „Niech księżę tę miłość, której ja mu już odwzajemnić nie mogę, ofiaruje swemu płaczącemu krajowi i niech się uczy od a n g i e l s k i e j księżniczki mieć litość dla swego n i e m i e c k i e g o ludu.”

Ferdynand jest obrazem przedstawiciela epoki „burzy i naporu.” – W jego postaci znajdujemy rozrachunek poety z własnym ja. Młody ten idealista ma wiele cech wspólnych z Schilerem, że wspomnimy choćby tylko jego umiłowanie wolności. W tak zdemoralizowanym środowisku dworskim zachował czystość serca. Kocha Luizę niepomny na dzielące ich różnice. Podobnie jak ojciec jest naturą władczą, bezwzględną, gwałtowną, jeśli chodzi o przeprowadzenie swej woli. Ma inne niż ojciec, nie tak ambitne plany, rezygnuje z kariery i wielkości na dworze księcia, pragnie jedynie szczęścia osobistego.

Niebezpieczeństwo, które mu grozi, potęguje jego odwagę. Zgodnie ze swym charakterem żąda od Luizy każdej ofiary, będąc gotów sam do jej poniesienia. Najistotniejszym punktem tragicznego konfliktu Ferdynanda jest to, że w zaślepieniu swej namiętności nie docenia przeszkód, które mu grożą ze strony własnego środowiska, i nie widzi granic, zakreślonych mu przez światopogląd mieszczański. Przewycięża wszelkie trudności, żądając tego samego od ukochanej. Wyrwa Luizę z jej środowiska i naraża na zgubę. Podobnie jak Goethe w *Weterze* wznosi się Schiller w końcowych scenach z Ferdynandem na wyżyny tragedii.

Nigdy nie poszukiwano źródeł biograficznych, jakie by mogły wpłynąć na powstanie tej jednej z najpiękniejszych postaci kobiecych w niemieckiej literaturze. Jest ona tworem fantazji poety, tworem jego tęsknoty, jego ideałów. Luiza jest silnie związana ze swym środowi-

skiem. Dziewczyna piękna, bardzo wrażliwa, pobożna, wspaniałomyślna, wierna, pełna miłości do Ferdynanda. Miłość jej jest jednakże od początku cierpieniem. Z większą dozą realizmu niż jej ukochany widzi tragizm konfliktu ich środowisk i nierozwiązalność tego konfliktu. „Ja widzę przyszłość – mówi w scenie 4 aktu I – a tam jest wołanie sławy i twoje plany, i twój ojciec... i takie nic, co ma na imię Luiza. – ...Ferdynandzie! Miecz wisi nad tobą i nade mną. Rozłączą nas.” Luiza zna władzę Prezydenta, przeczuwa niebezpieczeństwa, grożące jej od niego, a przecież nie potrafi stłumić uczucia. Kocha Ferdynanda nad życie, ale nie ma odwagi bronić prawa do swej miłości. Z dziecinną miłością łączy skrupuły natury religijnej, obawy i lęki, i popada w męczącą rozterkę. Religijność każe uzależniać swe losy od woli Boga. Czuje się wielką grzesznicą, gdyż miłość do ukochanego nie pozwala jej skoncentrować się na modlitwie nawet podczas nabożeństwa w kościele. Rezygnuje ze swych najgorętszych pragnień na ziemi pocieszając się myślą, że po śmierci spotka ją za to nagroda tam, gdzie nie istnieją już przesady stanowe. Ferdynand nie rozumie i nie docenia jej konfliktów. W postaciach rodziców Luizy pokazał Schiller swój wielki talent w kreśleniu charakterystyki osób występujących w dramacie. Głupiej matce Luizy imponuje wielce znajomość córki z synem Prezydenta. Reprezentuje dążenie wyrastające ponad swój stan. Po II akcie znika i nie pojawia się już na scenie. Prawdopodobnie Schiller uznał, że jej niemądra gadatliwość osłabiałaby powagę dalszych scen tragicznych.

Plastycznie narysowaną postacią dramatu jest muzyk Miller. Jego wielka miłość do córki jest ważnym momentem zawiązania się tragicznego konfliktu akcji. W postaci tej pragnął poeta ukazać niektóre charakterystyczne cechy niemieckiego mieszczaństwa, jego uczciwość, nienawiść pozorów i fałszu, zamiłowanie do pracy, poszanowanie więzi rodzinnej i dumę, ale także i pewne ograniczenie umysłowe, szorstkość, lęk przed możnymi, przecenianie pieniędzy. W postaci tej wyraża poeta niektóre cechy swego ojca.

FORMA I ZNACZENIE DRAMATU

Jeśli chodzi o budowę dramatu, uderza w niej jednolitość akcji. W ekspozycji daje poeta obraz zakochanej pary, ujawnia miłość Ferdynanda, syna Prezydenta, i reprezentantki środowiska mieszczańskiego, Luizy, zarysowując główny konflikt *Intrygi i miłości*. Plany Wurma co do Luizy i jego zawiść oraz wrogość w stosunku do Ferdynanda doprowadzają do spiętrzenia konfliktu. Szybkie narastanie akcji wywołane jest: a) rozkazem Prezydenta, którego Ferdynand nie słucha, b) miłością lady Milford, którą Ferdynand odtrąca, i c) próbą użycia przemocy, której Ferdynand stawia czoło.

Następuje punkt zwrotny: Prezydent, pokonany we wszystkich próbach agresji, korzysta teraz z chytrego podstępu, aby cel swój osiągnąć. Scena z listem stanowi punkt kulminacyjny w dramacie. Od tego momentu opadająca akcja szybko doprowadza do katastrofy. Ferdynand nie chce już miłości, lecz śmierci ukochanej. Śmierć Ferdynanda i Luizy, robiąc wstrząsające wrażenie na jej sprawcach, wciąga ich do zguby.

Niejednokrotnie krytycy literaccy wskazywali na zwartość fabuły tego dramatu, uznając jego kompozycję za najlepszą ze wszystkich utworów Schillera. Na ograniczonym ściśle miejscu wprowadza poeta prostą, nieskomplikowaną akcję przy użyciu bardzo znikomej ilości występujących postaci.

W języku, jakim poeta się posługuje, uderza wielkie zróżnicowanie, uzależnione od charakteru postaci. W przeciwieństwie do prostego, niepoprawnego języka Millerów, zwłaszcza matki, mamy wzniosły, patetyczny język pary zakochanych, tak nielicujący z młodym wie-

kiem Luizy i Ferdynanda, że robi wrażenie przytaczania cytat zaczerpniętych z lektury. Widoczne są w nim również wpływy Lessinga, zwłaszcza jego tragedii *Emilia Galotti*.

Schiller wykazał niemało odwagi w narysowaniu realnego obrazu rzeczywistości swej epoki. Fryderyk Engels nazwał *Intrygę i miłość* „pierwszym niemieckim politycznym dramatem tendencyjnym”, zaś marksistowski historyk literatury Franz Mehring wyraził się, że dramat Schillera „wzniósł się na wyżyny rewolucyjne, jakich nigdy przedtem i nigdy potem mieszczański dramat nie osiągnął”.

Intryga – to realistyczna sztuka współczesna o silnym nalocie politycznym. Schiller kontynuował w niej linię *Zbójców* i *Fieska* nie tylko w odniesieniu do tematyki, lecz i stylu. Pod tym względem pozostał młody Schiller „niemieckim Szekspirem”, jak go często nazywano. Wszak w liście do Dalberga z 27 III 1783 r. pisał sam poeta: „...moja Luiza Millerin posiada różne właściwości, które nie nadadzą się do teatru, np.: gotycką mieszaninę elementów komicznych i tragicznych, zbyt swobodne przedstawienie niektórych powszechnych rodzajów głupoty, oraz rozproszoną różnorodność detali.” Przez „swobodne przedstawienie niektórych powszechnych rodzajów głupoty”, należy rozumieć społeczno-polityczną wymowę dramatu, cały zaś ten fragment listu jest niczym innym, jak charakterystyką dramaturgii Szekspirowskiej.

Jednakże choć obawiał się krytyki swego utworu wśród publiczności mannheimskiej, ambicja twórcy skłaniała go do pokazania, że i jego nowy styl, i język dramatu nadaje się do przedstawienia problemów współczesnych, które są bardziej tragiczne niż cliche dramaty mieszczańskie.

Intryga i miłość w twórczości Schillera nie zalicza się do okresu jego klasycznych dramatów, które zapoczątkował *Don Karlos*, niemniej jednak jest ona dziełem jego klasycznego realizmu. Poeta, po ucieczce z ojczyzny, demaskując z pasją ówczesne stosunki niemieckie, osiągnął punkt szczytowy realistycznej twórczości swego okresu młodości, który zamyka dramat o intrydze i miłości.

Barbara Płaczkowska

INTRYGA I MIŁOŚĆ

Tragedia mieszczańska w pięciu aktach

Przełożył
ARTUR MARYA ŚWINARSKI

OSOBY

Prezydent von Walter – na dworze jednego z książąt niemieckich
Ferdynand – jego syn, major
von Kalb – szambelan
Lady Milford – faworyta księcia
Wurm – sekretarz osobisty Prezydenta
Miller – muzykant miejski
Jego Żona
Luiza – jego córka
Zofia – pokojówka Lady Milford
Kamerdyner Księcia
Kamerdyner Prezydenta
Służący Lady Milford
Służący Prezydenta
Straż sądowa

AKT PIERWSZY

SCENA PIERWSZA

Pokój u muzykanta. Miller wstaje z fotela i odstawia na bok wiolonczelę. Przy stole siedzi Pani Miller, jeszcze w ubiorze porannym, i pije kawę.

Miller

przechadzając się szybko po scenie

Koniec! To już zaszło za daleko. Ludzie plotkują o mojej córce i baronie. Mój dom staje się uragowiskiem całego miasta. P r e z y d e n t dowie się i... szkoda słów!... przegnam pani-cza.

Żona

Toć go do domu gwałtem nie spraszałeś i córkiś mu nie wtykał.

Miller

Do domu nie spraszałem, córki nie wtykałem, ale kto to będzie sprawdzał? Ja tu panem domu. Ja powinienem córkę trzymać krótko. Ja powinienem być wygarnąć prawdę majorowi albo od razu polecieć z tym do ekscelencji, do szanownego papy. Młody baron oberwie reprimendę – i tyle! a wszystkie gromy spadną na łeb muzykanta.

Żona

pijąc głośno kawę

Głupstwo! Nie pleć! Co ci tam spadnie? Co ci mogą zrobić? Musisz przecie dbać o swoją profesję i łapać uczniów, gdzie się da.

Miller

No dobrze, ale powiedz sama: jak się to wszystko skończy? Ożenić się z nią nie ożeni, o tym nie ma mowy. A żeby ją miał sobie... skaranie boskie! Padam do nóg!... Tak, tak, pohulał kawaler tam i tu, tędy i owędy, i diabli wiedzą, czego się już nie nażłopał – a raptem, dla odmiany, ma taki birbant chęć na szklaneczkę czystej wody. Zobaczysz, zobaczysz! choćbyś tam podglądała przez każdą szparkę, choćbyś pilnowała każdej kropelki krwi, on ci dziewczynę sprzątnie sprzed nosa, zrobi jej krzywdę – i w nogi! A córka zhańbiona na całe życie i żaden jej nie weźmie. Albo gotowa zasmakować w tej robocie i już jej nie puścić. (*wali się pięścią w czoło*) Jezu Chryste!

Żona

Niech nas Pan Bóg strzeże!

Miller

Jest się czego strzec. No, bo wreszcie jakie zamiary ma ten hultaj? Dziewczyna ładna, zgrabna, schludnie się nosi. Pod dachem niech sobie będzie byle jak, to się wam kobietom daruje. Grunt, żeby parter był dobrze zbudowany. I niech no taki fircyk to wymaca... ho-ho!

to już gotów! Akurat jak admirał Rodney¹⁶, gdy z daleka poczuje Francuza. Wtedy już pełnym żaglem naprzód! I nawet nie mogę mieć pretensji do chłopaka. Trudno, krew nie woda. Wiem o tym co nieco.

Ż o n a

Ach, żebyś ty czytał te śliczne bileciki, co je pan baron ciągiem do córki pisuje! Boże, toć tam stoi jasno i wyraźnie, że chodzi mu tylko o jej piękną duszę.

M i l l e r

Znamy się na tym. W konia mierzy, a w chłopca uderzy. Kto ma chrapkę na ciało, ten najpierw serce posyła w swaty. Ja też tak robiłem za młodu. Niech się jeno dusze dogadają, to i ciała polecą za nimi galopem. Jaki pan, taki kram... a srebrny miesięczek wszystko pięknie zrajfurzy.

Ż o n a

Przyjrzyj się no tym wspaniałym książkom od pana majora. Córka się ciągle na nich modli.

M i l l e r

gwizdże

Fiu, fiu! Modli się – to dobre! prosta polewka jeszcze niestrawna dla Jaśnie pańskiego żołądka, bo na ciasteczkach wykarmiony. Chce ją sobie wpierw smakowicie przyprawić zepsutymi romansidłami. Spalić mi zaraz te paskudztwa! Dziewczyna tam Bóg wie jakie zgorszenie wyczyta, krew się jej zatruje – i to trochę religii chrześcijańskiej, co w nią ojciec wpoił z wielkim trudem, rozleci się na amen. Spalić, mówię, spalić natychmiast! Łeb sobie nabije diabelską bazgraniną, dowie się o wielkim świecie, o nierobach i darmożjadach – potem już drogi do domu nie znajdzie, zapomni o nas, będzie się wstydzić, że stary Miller jest tylko grajkiem. I wreszcie odstraszy mi jakiegoś porządnego, uczciwego zięcia, co by może całym sercem przystał do nas, prostych ludzi. Za nic! Niech ręka Boska broni! (*zrywa się z gniewem*) Trzeba kuć żelazo, póki gorące. Tego majora... tak, majora wyrzucę za drzwi jeszcze dziś. Fora ze dwora!

chce wyjść

Ż o n a.

Nie bluźnij, ojciec! Za te jego prezenta ileśmy już grosza...

M i l l e r

wraca i staje przed nią

Za hańbę mojej córki? A niechże cię wszyscy diabli, wstrętna rajfuro! To już wolę ze skrzypcami chodzić na żebry i grać za łyżkę ciepłej stawy albo rozbić wiolonczelę i w pudle gnój wozic niżeli żyć z pieniędzy, które moja jedynaczka przyplaci szczęściem na tym i na tamtym świecie. Przestań ty wreszcie pić tę przeklętą kawę, przestań zażywać tabakę, to nie będziesz musiała frymarczyć swoim dzieckiem. Zawsze miałem co do gęby włożyć i czystą koszulę pod surdudem, jeszcze zanim ten narwany nicpoń zasmakował w moim domu.

Ż o n a

Aleś w gorącej wodzie kąpany! Ty nic, jeno od razu zaczynasz się pieklić. Przecie ja tylko powiadam, że nie wolno do pana majora z afrądem¹⁷, boć to syn samego prezydenta.

¹⁶ Georges Brydges R o d n e y (1718–1792) – admirał angielski, w r. 1782 rozgromił flotę francuską koło wyspy Dominiki (Indie Zachodnie).

¹⁷ a f r ą d e m – zamiast: afrontem.

M i l l e r

Właśnie w tym sęk. I właśnie dlatego dziś jeszcze skończę całą historię. Prezydent będzie mi chyba wdzięczny, jeżeli jest uczciwym ojcem. Wyczyścisz mi zaraz mój czerwony aksamitny surdut i każe się zameldować u jego ekscelencji. Powiem tak: „Synowi waszej ekscelencji wpadła w oko moja córka. Moja córka jest za licha na żonę syna waszej ekscelencji. Ale na kochanicę syna waszej ekscelencji jest moja córka za dobra – i basta!” Powiem to prezydentowi, jakem Miller.

SCENA DRUGA

Ciż, sekretarz W u r m

Ż o n a

A, dzień dobry, panie sekretarzu! Mamy więc nareszcie znowu przyjemność?

W u r m

Przyjemność po mojej stronie, pani dobrodziejko. Kogo szlachta zaszczyca swoją łaską, temu pewnie zwyczajny mieszczuch wielkiej przyjemności nie sprawia.

Ż o n a

Co też pan wygaduje, panie sekretarzu! Co prawda, wysoka łaska pana majora von Waltera zaszczyca nas od czasu do czasu, ale nie znaczy to, byśmy mieli ludźmi pogardzać.

M i l l e r

z kwaśną miną

Przysuń fotel dla pana. Proszę, niech się sąsiad rozgości.

W u r m

odkłada kapelusz i łaskę, siada

No – a jakże się miewa moja przyszła, czy też, broń Boże! niedoszła? Czy nie można by zobaczyć panny Luizy?

Ż o n a

Dziękuję za pamięć, panie sekretarzu. Przecież moja córka wcale nie jest dumna.

M i l l e r

zły, trąca ją łokciem

Kobieto!

Ż o n a

Żałuję bardzo, że córka nie może mieć honoru powitać pana sekretarza. Bawi właśnie na mszy.

W u r m

To mnie cieszy. Owszem, cieszy. Będę miał pobożną, religijną żonę.

Ż o n a

z dystynkcją i głupkowatym uśmiechem

Tak, tak... Że niby co, panie sekretarzu?

Miller
zakłopotany, szczypie ją, w ucho

Kobieto!

Żona

Jeżeli panu w czym innym służyć możemy, to oczywiście z całym ukąęowaniem¹⁸, panie sekretarzu.

Wurm
z jadowitym spojrzeniem

W czym innym? Bardzo dziękuję, bardzo dziękuję... Hm... hm...

Żona

Przecie pan sekretarz sam to chyba potrafi zrozumieć...

Miller
wściekły, uderza Żonę po tyłku

Kobieto!

Żona

Bo co dobre, to i owszem. Ale co lepsze, to zawsze lepsze. I jedynemu dziecku człowiek na drodze do szczęścia stawał nie będzie, (z *prostą wyniosłością*) Pan sekretarz chyba już miarkuje?

Wurm
wierci się niespokojnie na fotelu, skrobie się po głowie, skubie mankiety i żabot
Miarkuje? Ależ nie... Tak, tak... Co pani chce przez to powiedzieć?

Żona

No, bo ja tylko tak sędę... ja tak zuponuję¹⁹, (*chrząka*) że skoro już Pan Bóg naszą córkę przedestynował²⁰ koniecznie na wielmożną panią...

Wurm
zrywa się

Co pani mówi? Co takiego?

Miller

Niech pan siedzi, niech pan siedzi, panie sekretarzu! Moja żona to głupia gęś. Jaka tam wielmożna pani? Ośla paplanina i nic więcej.

Żona

Możesz sobie szydzić do woli, a ja co wiem, to wiem – i co pan major powiedział, to powiedział.

¹⁸ u k a t ę t o w a n i e m – zamiast: ukontentowaniem.

¹⁹ ...z u p o n u j ę – zamiast: suponuję (łac. suppono) – przypuszczam, domyślam się.

²⁰ ...p r z e d e s t y n o w a ł – zamiast: predestynował – przeznaczył.

Miller

z pasją, pędzi po wiolonczelę

Zamkniesz ty nareszcie gębę? Czy chcesz, bym ci wiolonczelę na łbie roztrzaskał? Co ty tam wiesz? Cóż mógł powiedzieć? Niech pan nie zwraca uwagi na te plotki, mój kochany. Marsz do kuchni! – Nie sądzi pan chyba, że do cna zgłupiał i że śnią mi się jakieś wysokie progi dla córki? Tego się pan przecież po mnie nie spodziewa, panie sekretarzu?

Wurm

Na to sobie nie zasłużyłem, panie kapelmistrzu. Wiem, że jest pan człowiekiem honoru, a moje prawa do pańskiej córki były już tak jakby czarno na białym. Mam stanowisko i rodzinę skromnie wyżywić potrafię. Prezydent dla mnie łaskaw. Gdy będę chciał awansować, znajdzie się protekcja. Wie pan, że moje zamiary względem panny Luizy są uczciwe, ale jeżeli jej jakiś Jaśnie Pustak w głowie zawrócił...

Żona

Panie Wurm! Więcej reszpektu²¹, ja bardzo proszę.

Miller

Zamknij gębę, powiadam. Panie sąsiedzie, niech się pan nie gniewa. Wszystko jest, jak było. Odpowiedź, którą dałem panu zeszłej jesieni, powtarzam dzisiaj znów. Córki swojej zmuszać nie będę. Jeżeli się jej podobasz, dobrze; sama niech patrzy, jak będzie z panem szczęśliwa. Powie: nie – to jeszcze lepiej! – chciałem rzec: wola Boża! No, wtedy niech pan przełknie czarną polewkę, a potem pójdziemy we dwojkę na butelkę wina. Dziewczyna ma przecież żyć z panem, a nie ja. Jak mogę tedy, dla zwykłego uporu, zmuszać ją, by wzięła sobie męża, który jej nie przypadł do gustu? Żeby mnie potem na stare lata sumienie gonilo jak psy zająca? Żeby w każdym kieliszku wina, w każdej łyżce zupy musiał łykać ten wyrzut: to ty, łotrze, zmarnowałeś swoje dziecko!

Żona

I po co tu tyle gadać? Ja swojego zezwolenstwa nie dam, nie i nie! Mam dla córki wyższe aspirancje²², a jeżeli mi kto męża przekabaci, leć do sądu.

Miller

Połamać ci ręce i nogi, stara grzechotnico?

Wurm

do Millera

Rada ojcowska wiele może u córki, a mnie pan przecież dobrze zna, panie Miller.

Miller

A niechże cię dunder!... Dziewczyna... chodzi o to, by dziewczyna pana znała, nie ja. Jak na gust starego Millera, to z pana na pewno niezbyt smaczny kąsek dla młodej dziewczyny ze zdrowym apetytem. Ja panu potrafię dokumentnie powiedzieć, czy się pan nadaje do orkiestry, czy nie. Ale dusza kobiety to za delikatna materia nawet dla kapelmistrza. I rzeknę ci prosto z mostu, panie sąsiedzie, bo trudno, już taki jestem nieokrzesany niemiecki weredyk²³: gdybym ja swojej córce szczerze radził, nie dziękowałbyś mi pan na pewno. Córce nikogo

²¹ r e s z p e k t u – zamiast respektu,

²² a s p i r a n c j e – zamiast: aspiracje.

²³ ...w e r e d y k – (łac. *vere dicere* – mówić prawdę) – człowiek, który niezależnie od konsekwencji mówi ludziom prawdę w oczy.

doradzać nie myślę, ale pana, panie sekretarzu, to bym jej wręcz odradził. Niech mi pan nie przerywa. Amant, co ojca woła w sukurs, to, za przeproszeniem, nedorajda. Jeśli jest coś wart, to wstydziłby się prezentować pannie swoje talenta w taki staromodny sposób. A skoro mu brak kurażu, to znaczy, że tchórz – i szkoda dla niego takiej dziewczyny jak Luiza. Właśnie za plecami ojca powinien się kawaler krzątać koło córki. I doprowadzić ją do tego, by dziewczyna wołała raczej ojca i matki się wyrzec niż jego rzucić. Sama musi przyjść, paść przed ojcem na kolana i albo – albo: sprowadzić na swoją głowę wszystkie przekleństwa, gromy i kary, albo wyblagać dla siebie umiłowanego. To mi chłop! to znaczy kochanie! I kto tak z kobietą nie potrafi, ten lepiej niech nadal gryzie swoje piórko.

W u r m

bierze kapelusz i laskę, wybiega

Jestem panu wielce zobowiązany, panie Miller!

M i l l e r

idzie za nim bez pośpiechu

Nie ma za co, nie ma za co. Toć pan niczego nie dostał, panie sekretarzu. (*wraca*) Nie słucha i pędzi... To tak, jakbym miał truciznę przełknąć albo środek na wymioty, gdy zobaczę tego pisarka. Zakazana, wstrętne figura. Jego to chyba jakiś przemytnik podrzucił na świat Boży. Oczka chytne niby u szczura, rude to jak piekło, broda sterczy na parę cali – myślę, że natura sama z obrzydzeniem patrzyła na to, co spaskudziła, i złapała huncwota za szczękę, by go rzucić w kąt... Nigdy! Nimbym córkę oddał takiemu, wołałbym sto razy, by nam się... Przebacz mi te myśli, Panie Boże!

Ż o n a

spluwa, jadownicie

Bydlę! Ale nie dla psa kiełbasa.

M i l l e r

Tyś też dobra z tym swoim przekętym baronem. Doprowadziłaś mnie do pasji. Kiedy akurat trzeba trochę sprytu, w takiej chwili ona głupieje do reszty. Bo i na co ta gadanina o córce i wielmożnej pani? Właśnie przy nim! Właśnie jemu musiałaś pleść takie rzeczy, by roztrąbił wszystko po całym mieście. Tacy panowie szwendają się od domu do domu, wszędzie węszą, wszędzie gawędzą pięknie o tym i owym, a niech ci się jeno wyrwie jakieś nieostrożne słówko – bęc! już wie o tym książę, wie metresa, wie prezydent – a nam zwali się na głowę całe piekło.

SCENA TRZECIA

Ciż, L u i z a, Miller z książką w ręku.

L u i z a

odkłada książkę, podchodzi do Millera, ściska jego rękę

Dzień dobry, kochany ojczu.

M i l l e r

serdecznie

Jak to pięknie, moja Luizo; cieszę się, że często myślisz o swoim Stwórcy. Taką bądź zawsze, a ramię jego cię wspomůže.

L u i z a

Ach, ojczy, jestem pełna grzechu. – Czy on był tutaj, matko?

Ż o n a

Kto, moje dziecko?

L u i z a

O, zapomniałam, że prócz niego są jeszcze inni ludzie na świecie. Mam w głowie pustkę. Nie było go tu? Nie było pana Waltera?

M i l l e r

ze smutkiem i powagą

A ja myślałem, że moja L u i z a zostawi to nazwisko w kościele.

L u i z a

wpatruje się długo w ojca, potem mówi

Ja ojca rozumiem i czuję nóż, który mi wbijasz w sumienie. Ale już za późno. Już się nawet modlić nie umiem, ojczy; niebo i Ferdynand wydzierają sobie moją duszę, aż cała broczy krwią... i lękam się, lękam... (*po chwili*) Ależ nie, mój drogi ojczy, bo przecież wtedy artystę czcimy najgodniej, gdy patrząc na obraz zapominamy o malarzu. A skoro teraz, w zachwycie nad doskonałym tworem Boga, przestaję myśleć o Bogu, to Bóg się chyba na mnie nie po gniewa, ojczy?

M i l l e r

zmarwiony, rzuca się na fotel

Otóż to! Mamy już skutki tych bezbożnych książek.

L u i z a

pełna niepokoju podchodzi do okna

Gdzież on teraz? Wysoko urodzone damy widzą go, słuchają... a ja jestem biedna, zapomniana dziewczyna. (*przeżona tym, co powiedziała, tuli się do ojca*) Ach nie, nie! Przebac mi, ojczy. Ja na swój los nie narzekam. Ja pragnę tak mało – tylko myśleć o nim od czasu do czasu, a to przecież nikomu nie szkodzi. Gdybym tak mogła wyzionąć tę odrobinę swojego życia, by stała się lekkim, delikatnym powiewem, co chłodzi jego oblicze... Ten kwiatek mojej młodości, gdyby był fiołkiem skromnej barwy i woni, a on by przyszedł i zdeptał go, i małeńki fiołek mógłby cicho skonać pod jego krokiem... Tyle tylko chciałabym, ojczy. Gdy komar kapie się w promieniach słońca, czy pyszne, majestatyczne słońce może go za to karać?

M i l l e r

wzruszony, opiera się o poręcz fotela i zakrywa twarz

Wierz mi, Luizo, oddałbym ten mizerny ostatek swojego życia, bylebyś tylko nigdy nie ujrzała majora.

L u i z a

przeżona

Co mówisz, ojczy! co mówisz! Nie, mój dobry ojczycie myśli inaczej! A może nie zrozumiał, że Ferdynand jest mój, dla mnie i dla mojej radości stworzony przez Ojca tych, co miłują. (*stoi w zamyśleniu*) Gdy ujrzałam go po raz pierwszy, (*mówi prędkiej*) rumieńce były mi na twarz i krew pulsowała żywiej. Każde tętno wołało i każde tchnienie szeptało: to on! A serce

czuło, że przyszedł ten wytęskniony, i rzekło: tak – on! Głos serca rozbrzmiewał echem po całym świecie, który cieszył się wraz ze mną... Wówczas, tak, wówczas w duszy mojej wschodził pierwszy świt. Roje nowych uczuć wyrastały jak kwiaty z ziemi, kiedy nastaje wiosna. Już nie widziałam świata, a przecież pamiętam, że nigdy nie był tak piękny jak owe-go dnia. I już nie myślałam o Bogu, a przecież nigdy go tak nie kochałam jak owej chwili.

M i l l e r

podchodzi szybko do Luizy i tuli ją w ramionach

Luizo, drogie, złote dziecko! Bierz moją siwą, steraną głowę, bierz wszystko, wszystko! Tylko majora, przysięgam na Boga, majora dać ci nie mogę.

wychodzi

L u i z a

Toć nie chcę go teraz, ojciec... Tę nikłą kropelkę czekania wypija łąpczywie jeden sen o Ferdynandzie. Wyrzekam się go na tej ziemi. Ale potem, matko, kiedy się szranki różnic obalą, kiedy z człowieka spadnie znienawidzona powłoka jego stanu, kiedy ludzie będą tylko ludźmi – nic wtedy ze sobą nie przyniosę w posagu prócz jednej niewinności mojej. Lecz ojciec mówił mi nieraz, że cały splendor i wszystkie szumne tytuły będą za nic, gdy Bóg przyjdzie i cena serc wzrośnie. Wtedy będę bogata. Bo tam łzy policzy się za zwycięstwa, a piękne myśli za przodków. Wtedy będę wielką panią, moja matko! Czym on mnie wtedy przewyższyć zdoła?

Ż o n a

zrywa się

Luizo! Pan major! Już biegnie przez kładkę. Gdzie ja się schowam?

L u i z a

drży

Zostań, matko!

Ż o n a

Boże! Jak ja wyglądam! Umarłabym ze wstydu. Tak się panu baronowi pokazać nie mogę... *wychodzi*

SCENA CZWARTA

Luiza, Ferdinand von Walter. Ferdinand biegnie do Luizy. Ona blednie i osuwa się na fotel. Ferdinand staje przed nią. Patrzą na siebie długo. Milczenie.

F e r d y n a n d

Ty taka blada, Luizo?

L u i z a

wstaje i rzuca mu się na szyję

To nic, to nic. Jesteś. I już mi dobrze.

F e r d y n a n d
bierze jej rękę i całuje

A czy moja Luiza kocha mnie jeszcze? Serce moje takie samo dziś jak i wczoraj – a twoje? Pędzę, by się przekonać, czy jesteś wesoła, a potem odejść i być wesoły jak ty. Ale tyś smutna.

L u i z a

Nie, nie, kochany.

F e r d y n a n d

Mów prawdę! Jesteś smutna. Patrzę w twoją duszę jak w czystą wodę tego brylantu, (*pokazuje pierścień*) Każdą skazę spostrzegłbym na nim natychmiast. I każde uczucie na twojej twarzy widzę natychmiast. Co ci jest? Mów! Byleby mi tylko to zwierciadło było czyste, wtedy już nie ma chmur na niebie. Co ci dokucza?

L u i z a

przez chwilę patrzy na niego w milczeniu i badawczo; mówi ze smutkiem

Ferdynandzie! Ferdynandzie! Żebyś ty wiedział, jak piękną staje się prosta mieszczanka, kiedy ktoś o niej mówi takimi słowy.

F e r d y n a n d

Co to znaczy? (*zdziwiony*) Słuchaj no, dziewczyno! Skąd takie myśli? Jesteś dla mnie moją Luizą – i kto chce, byś była czymś poza tym? Widzisz, fałszywa istota, na jakim przydybałem cię zubożeniu? Gdyby w tobie nie było nic poza miłością, skąd brałyby się takie porównania? Kiedy jestem tutaj, cały mój rozsądek topnieje w jednym twoim spojrzeniu, a kiedy odejdę, w jednym śnie o tobie. A ty masz prócz miłości jeszcze czas na mędrkowanie? Wstydz się! Każdą chwilę, którą tracisz na takie troski, kradniesz swojemu chłopcu.

L u i z a

bierze go za rękę, potrząsa głową

Chcesz mnie uśpić, Ferdynandzie, chcesz moje spojrzenie odwieść od przepaści, która mnie na pewno pochłonie. Ja widzę przyszłość – a tam jest wołanie sławy i twoje plany, i twój ojciec... i takie nic, co ma na imię Luiza. (*przeraża się i cofa rękę*) Ferdynandzie! Miecz wisi nad tobą i nade mną. Rozłączą nas.

F e r d y n a n d

Rozłączą nas? (*zrywa się*) Skąd to przeczucie, Luizo? Rozłączą nas? Któż zdoła zniszczyć związek dwojga serc? Któż rozerwać tony akordu? Jestem szlachcicem – ale zobaczymy, czy moje szlachectwo starsze niż prawa nieograniczonego wszechświata i czy mój herb ma więcej wagi niż wyrok nieba w oczach Luizy? A wyrok brzmi: „Ta kobieta przeznaczona dla tego mężczyzny!” Jestem synem prezydenta. To jeszcze jeden powód. Bo tylko miłość potrafi mi osłodzić przekleństwa, które otrzymam w spadku po ojcu i jego szubrawych aferach.

L u i z a

O, ten twój ojciec... jakże się go boję!

F e r d y n a n d

A ja nie boję się niczego... niczego prócz kresu twojej miłości. I niech się tam przeszkody jak góry pod samo niebo piętrzą między tobą a mną! Dla mnie to tylko stopnie, po których pędzę w objęcia Luizy. Niech orkan wrogiego losu poderwie moje uczucia wzwyż! Przez

niebezpieczeństwo staniesz mi się jeszcze bardziej ponętna. Więc nie bój się, kochana! Ja sam będę czuwał nad tobą jak smok z bajki nad ukrytym skarbem. Oddaj się w moją opiekę, a żaden anioł stróż nie będzie ci potrzebny. Rzucę się pomiędzy ciebie i los, przyjmę każdą ranę przeznaczoną dla ciebie, każdą kropelkę szczęścia pochwycę do pucharu mojej miłości, by ją tobie zanieść. (*bierze ją czule w ramiona*) W tych ramionach moja Luiza lekko przejdzie przez dni swego żywota. A potem niech cię niebo zabierze, jeszcze bardziej urodziwą niż cię wydało na świat – i będą niebiosy musiały przyznać ze zdumieniem, że tylko miłość potrafi doprowadzić duszę do ostatecznego piękna.

L u i z a

odpycha go, wzburzona

Dosyć! Błagam cię, przestań! O, gdybyś wiedział... Puść mnie! Nie czujesz, że twoje marzenia są niby furie, co smagają mi serce?

chce odejść

F e r d y n a n d

zatrzymuje ją

Luizo! Co to? Co się z tobą dzieje?

L u i z a

Już zapomniałam o tych snach i byłam szczęśliwa. A teraz, teraz... Od dnia dzisiejszego spokój mego życia skończył się! Szalone pragnienia rozpętają się we mnie, wiem, wiem... Idź, Ferdynandzie, i niech ci Pan Bóg przebaczy. Rzuciłeś pożar do młodego, spokojnego serca – i już ten pożar nigdy, przenigdy nie wygaśnie²⁴.

wybiega. Ferdynand idzie za nią oniemiały

SCENA PIĄTA

Salon u Prezydenta.

Prezydent, z wstęgą orderową na szyi i gwiazdą przy boku, i sekretarz Wurm wchodzi.

P r e z y d e n t

Poważny afekt? Mój syn? Nie, Wurm, nigdy w to nie uwierzę.

W u r m

Niech mi ekscelencja łaskawie rozkaże złożyć dowody.

P r e z y d e n t

Że chłopak umizga się do tej dziadówki, że jej prawi dusery, nawet że udaje szczerze zakochanego, owszem, w to wszystko można uwierzyć, to wszystko można wybaczyć, ale żeby... W dodatku, jak Wurm powiedział? Córka muzykanta?

W u r m

Córka kapelmistrza Millera.

²⁴ Luiza i Ferdynand mówią specjalnym językiem autorów „burzy i naporu”, a wypowiedzi ich są cytowanymi przez Schillera z pamięci fragmentami ich dzieł. (przyp. tłumacza)

P r e z y d e n t

Ładna? Spodziewam się.

W u r m
ożywiony

Bardzo uroczy okaz blondynki – i bez przesady ośmielię się twierdzić, że nie zakasowałyby jej nawet nasze sławne piękności dworu.

P r e z y d e n t
śmieje się

Wurm opowiadał, że sam się zadurzył w tej małej – widzę to, widzę... A więc, mój drogi, że syn sobie z nią romansuje, to wróży mu sukcesy także u dam. I karierę dworską również. Wurm powiada, że ładna; chłopak ma gust, to mnie cieszy! Skoro bierze wariatkę na uczciwe zamiary, jeszcze lepiej! Widzę, że potrafi łączyć na swoją korzyść. Mógłby zostać prezydentem. Jeżeli potrafi jej to wmówić ze skutkiem, cudownie! – dowód, że hultaj ma szczęście. A jeżeli się cała awantura zakończy na zdrowym wnuku, no to kapitalnie! Wypiję jeszcze jedną butelkę malagi za pomyślnie aspekty mojego drzewa rodowego i jestem gotów ekspens²⁵ za uwiedzenie dziewczyny pokryć z własnej szkatuły.

W u r m

A ja gorąco życzę ekscelencji, by nie musiał tą butelką zalewać zmartwienia.

P r e z y d e n t
poważnie

Niech Wurm nie zapomina, że kiedy już raz uwierzę, to będę wierzył do skutku; a gdy się rozgniewam, potrafię wpaść w szaleństwo. Nie wezmę Wurmowi za złe, że próbował mnie buntować. Rozumiem: Wurm chce się pozbyć rywala. Z synem s a m sobie rady dać nie może, więc wypycha ojca do ataku. Pojmuję wszystko i bawi mnie to nawet, że z Wurma taki sprytny dyplomata. Tylko, mój drogi, proszę mnie nie oszukiwać! I nie wyprowadzać mnie swoją chytrą z równowagi.

W u r m

Przepraszam ekscelencję. Ale jeżeliby tu nawet, jak ekscelencja podejrzewa, w grę wchodziła zazdrość, to zdradziłoby mnie najwyżej spojrzenie, nigdy słowo.

P r e z y d e n t

Usuńmy ją raczej z całej tej afery. Wurm jest osioł, bo co mu to szkodzi, że dostanie dukata od bankiera, a nie prosto z mennicy? Pociesz się przykładem miejscowej szlachty: prawie nie ma u nas mariażu, gdzie by z wiedzą czy bez wiedzy pana młodego ogródek panny młodej nie był już przez paru usłużnych ogrodników dokładnie przepenetrowany.

W u r m
z ukłonem

Za pozwoleniem ekscelencji, w tej mierze wolę już nasze mieszczańskie obyczaje.

P r e z y d e n t

Zresztą wkrótce Wurm będzie miał tę satysfakcję, że jego rywala spotka podobny los. Właśnie uradzono, by księżę przed swym ślubem pozornie odprawił lady Milford i dla zamy-

²⁵ ...e k s p e n s – (łac. *expensa*) – koszt, wydatek.

dlenia ludziom oczu – wydał ją za męż. Wurm przecież wie, jak dalece opieram swoje stanowisko na wpływie lady Milford i jak wykorzystuję słabostki księżęcej mości. Księżę szuka męża dla lady Milford. A nuż ktoś przyjdzie i dobije targu, nuż zdobędzie faworytę, a z nią i zaufanie księcia, nuż mnie wygryzie! Zeby więc księżę został i nadal w ręku naszej rodziny, Ferdynand ożeni się z lady Milford. Czy to jasne?

W u r m

Aż mnie oczy bołą! W każdym razie widać, że ekscelencja jest bardziej doświadczonym prezydentem niż ojcem. Jeżeli zaś syn jest tak samo posłuszny jak ojciec tkliwy, projekt ekscelencji mógłby upaść.

P r e z y d e n t

Na szczęście nigdy nie boję się porażki tam, gdzie sobie raz postanowiłem: tak chcę i tak będzie! Wróciliśmy tedy znów do początku. Jeszcze dzisiaj zakomunikuję synowi o mariażu. Po minie jego poznam, czy Wurm się myli, czy nie.

W u r m

Przepraszam za śmiałość, ekscelencjo. Pan major na pewno będzie miał bardzo smętną minę. Ale warto by sprawdzić, czy to z powodu tej niewiasty, którą mu ekscelencja oferuje, czy też z powodu tej, którą mu zabiera. Więc zalecam sposób bardziej radykalny. Niech ekscelencja zaproponuje panu majorowi wpierv damę najświetniejszą w całym księstwie. Jeżeli powie: tak! – to proszę skazać swego sekretarza Wurma na trzy lata ciężkich robót.

P r e z y d e n t
zagryza wargi

Do licha!

W u r m

Bo nie myślę się, niestety. Matka dziewczyny w swej bezdennej głupocie wyśpiewała mi dzisiaj całą prawdę.

P r e z y d e n t
chodzi po scenie, starając się pohamować gniew

Dobrze. Jeszcze dziś.

W u r m

Tylko niech ekscelencja raczy pamiętać, że major jest – synem mojego pana.

P r e z y d e n t

O Wurmie nie wspomnę.

W u r m

I że za przysługę uwolnienia ekscelencji od nieproszonej synowej...

P r e z y d e n t

Należy się Wurmowi nagroda, to znaczy: ta dziewczyna. Dobrze.

W u r m
zadowolony, z ukłonem

Do zgonu pokorny niewolnik ekscelencji.

chce odejść

P r e z y d e n t

A co tam Wurmowi opowiadałem w sekrecie – (*twardo*) niech no Wurm się wygada!

W u r m

śmieje się

Wtedy ekscelencja ujawni sfalszowane przeze mnie podpisy...

wychodzi

P r e z y d e n t

Trzymam cię, bratku! Twoje łajdactwa to łańcuch, z którego mi się nie urwiesz.

K a m e r d y n e r

wchodzi

Marszałek dworu von Kalb.

P r e z y d e n t

W samą porę. Prosić.

K a m e r d y n e r wychodzi

SCENA SZÓSTA

P r e z y d e n t, Szambelan von Kalb w bogatym, lecz niegustownym stroju galowym, z kluczem szambelańskim, dwoma zegarkami, przy szpadzie: kapelusz stosowany, fryzura à la hérisson²⁶. Wpada z dużym szumem i podbiega do P r e z y d e n t a; zalatuje od niego piżmem aż na widownię.

S z a m b e l a n

ściska P r e z y d e n t a

Bonjour, najukochańszy! Jak się spało? Czy się wypoczęło? Daruj, ekscelencjo, że tak późno mam przyjemność... ale ta praca! ta praca! Wpierw menu, potem bilety wizytowe, potem rozplasałem całą sosjetę²⁷ do dzisiejszej sanny... no i przecież musiałem asystować przy lever²⁸ książęcej mości i zdać sprawę książęcej mości, jaką mamy pogodę.

P r e z y d e n t

Tak, tak, kochany marszałku, bardzo absorbujące zajęcia.

S z a m b e l a n

Na dobitkę ten zdrajca krawiec spóźnił się!

P r e z y d e n t

A mimo to marszałek gotowy i wyelegantowany...

²⁶ Fryzura à la hérisson (fr.) – „na jeża”; modna wówczas fryzura.

²⁷ ...s o s j e t a (fr. *société*) – towarzystwo, elita towarzyska.

²⁸ l e v e r (fr.) – „wstawanie”; na dworze francuskim w XVII i XVIII w. audiencja poranna, której król udzielał w swej sypialni; zwyczaj ten przyjął się również na innych dworach panujących.

S z a m b e l a n

To jeszcze nie wszystko. Co za fatalny dzień! Siurpryza²⁹ po siurpryzie... Niech pan tylko posłucha.

P r e z y d e n t
roztargniony

Doprawdy?

S z a m b e l a n

Niech pan tylko posłucha. Właśnie wysiadam z karety, a tu nagle konie jak opętane zaczynają wierzgać i bić kopytami... Okropność! Patrząc: całe spodnie obryzgane błotem... Co począć? Proszę sobie na miłość boską imagಿನować moją sytuację, baronie! Stoję skonfundowany³⁰. Już późno, a do domu kawał drogi. A w tym stanie pokazać się księciu? Za Boga, nie! Ale nie tracę kontenansu. Symuluję słabość – i mdleję. Ładuję mnie do karety i en carrière³¹ do domu! Zmieniam strój, wracam... i co ekscelencja na to? Jestem pierwszy w antyszambrze³²! No?

P r e z y d e n t

Zachwycająca improwizacja ludzkiego jenu³³, panie marszałku. Ale pozwól... Więc pan dzisiaj już rozmawiał z księciem?

S z a m b e l a n
z dumą

Dwadzieścia minut i trzydzieści sekund!

P r e z y d e n t

Winszuję. I ma pan na pewno jakieś interesujące nowinki.

S z a m b e l a n

po krótkim namyśle, poważnie

Jego książęca mość przywdział dzisiaj futro bobrowe merde d'oye³⁴.

P r e z y d e n t

Proszę, proszę. Ale ja mogę służyć kochanemu marszałkowi lepszą nowiną, bo pewnie jeszcze nie słyszałeś, że lady Milford będzie majorową von Walter.

S z a m b e l a n

Rzeczywiście? I wszystko już zafiksowane?

P r e z y d e n t

Nawet podpisane, panie marszałku. I będę panu wielce zobowiązany, jeżeli nie omieszkasz uprzedzić zaraz lady Milford o wizycie Ferdynanda... i jeżeli się postarasz, by w całej rezydencji dowiedziano się o decyzji mego syna.

²⁹ ...s i u r p r y z a (z fr.) – niespodzianka.

³⁰ ...s k o n f u n d o w a n y (łac. *confundo*) – zmieszany, zawstydzony.

³¹ e n c a r r i è r e (fr.) – galopem.

³² w a n t y s z a m b r z e – od czasownika: antyszambrować – oczekiwać w przedpokoju, przed drzwiami na przyjęcie.

³³ j e n i u s z u – zamiast geniuszu.

³⁴ m e r d e d ' o y e (fr.) – „koloru gęsiego łajna”.

S z a m b e l a n

zachwycony

Z całą radością, najukochańszy! Cudowna misja! Już pędzę. (*ściska P r e z y d e n t a*)
Bądź zdrów, ekscelencjo. Za trzy kwadranse dowie się o tym całe miasto.

wybiega w lansadach

P r e z y d e n t

patrzy za nim ze śmiechem

I niech mi kto powie, że takie stworzenie na nic się nie przyda... Trudno, teraz Ferdynand musi się zgodzić albo stanie na tym, że całe miasto kłamało. (*dzwoni; wchodzi W u r m*)
Niech tu przyjdzie mój syn.

W u r m wychodzi. P r e z y d e n t w zamyśleniu przechadza się po scenie

SCENA SIÓDMA

P r e z y d e n t, F e r d y n a n d, W u r m, który zaraz wychodzi.

F e r d y n a n d

Kazałeś mi przyjść, panie ojczy.

P r e z y d e n t

Niestety muszę kazać, gdy pragnę ucieszyć się widokiem własnego syna. Niech Wurm nas zostawi. – Mój Ferdynandzie, obserwuję cię od pewnego czasu i daremnie szukam w tobie tej szczerzej, żywej młodości, którą zawsze tak lubiłem. Twarz ci się zmieniła, jest obca, posepna. Unikasz ojca, unikasz towarzystwa. Wstydz się! Kawalerowi w twoim wieku łatwiej przebaczyć dziesięć wybryków niż jedno strapienie. Strapienia zostaw ojcu, mój chłopczy. Ojcu pozwól pracować nad twoim szczęściem, a sam tylko stosuj się do moich planów. No, chodź tu, Ferdynandzie, uściskaj mnie.

F e r d y n a n d

Ojciec dzisiaj bardzo łaskawy.

P r e z y d e n t

„Dzisiaj”, urwiszu? i wymawiasz to słowo z taką cierpką miną? (*poważnie*) Ferdynandzie! Dla kogo obrałem sobie niebezpieczną drogę wiodącą do księżęcego serca? Dla kogo wyrzekłem się czystego sumienia, wyrzekłem się Boga po wieczne czasy? Słuchaj, Ferdynandzie, to ojciec spowiada się przed synem. Dla kogo robiłem miejsce, kiedym zgładził ze świata swojego poprzednika? Ten grzech tym ostrzej kłuje mi duszę, im staranniej ukrywam przed światem sztylet. Słyszałeś, Ferdynandzie, i teraz powiedz mi: dla kogo to wszystko?

F e r d y n a n d

cofa się przerażony

Ojczy, chyba nie dla mnie? Czy mnie ma dotknąć krwawy cień tego morderstwa? Boże wszechmocny! To już wolałbym raczej nie żyć na świecie niż służyć takiej zbrodni za usprawiedliwienie!

P r e z y d e n t

Co powiedziałeś? Ale wybaczam to głowie napchanej romansami. Ferdynandzie, nie będę się unosił. Oj, niedobry chłopaku, taka to twoja wdzięczność za bezsenne noce? Za te mozoły

nieustanne? Za tego skorpiona, co dręczy mi sumienie wciąż i wciąż? Na mnie spadnie ciężar odpowiedzialności, na mnie przekleństwo i grom sędziego. Ty bierzesz swoje szczęście z drugiej ręki, a zbrodnia spadku nie kała.

F e r d y n a n d
podnosi prawicę ku niebu

Tedy zrzekam się uroczyście spadku, który mi tylko o potwornym ojcu mówić będzie.

P r e z y d e n t

Milcz, młokosie, i nie rozdrażniaj mnie! Ty z twoimi zasadami czołgałbyś się całe życie po ziemi.

F e r d y n a n d

Wolę to, ojcze, niż czołgać się przed tronem.

P r e z y d e n t
tłumiąc gniew

Ha! ciebie trzeba zmusić, byś zrozumiał swe szczęście. Gdzie dziesięciu innych mimo najcięższych wysiłków wdrapać się nie potrafi, tam ty, dzięki ojcu, wzniosłeś się bez trudu, niby we śnie. W dwunastym roku życia byłeś chorąży, w dwudziestym jesteś majorem. Ja to przeprowadziłem u księcia. Teraz wyjdiesz z wojska i wstąpisz do ministerium. Książę coś wspominał o stanowisku tajnego radcy, ambasadora, o jakichś nadzwyczajnych łaskach. Czeka cię wspaniała przyszłość. Otwarta droga do stopni tronu, nawet na najwyższe stopnie tronu, jeżeli sama władza tyle warta, co jej pozory... Czy cię to wszystko nie porywa?

F e r d y n a n d

Cóż, kiedy mój obraz szczęścia i wielkości różni się trochę od poglądów ojca. Wy jesteście wtedy szczęśliwi, gdy inni giną. Zawieść, trwoga, złorzeczenia – oto ponure zwierciadło, w którym odbija się uśmiech wielkich panów. Łzy, klątwy, rozpacz – oto koszmarna biesiada tych ludzi, podobno tak szczęśliwych, co wstają od stołu pijani, by zataczać się na tamten świat przed trybunał Boski. Mój ideał szczęścia ma skromniejsze granice. Wystarczy mu własne serce. Tam spoczywają moje pragnienia.

P r e z y d e n t

Świetnie! Wspaniale! Arcymisternie! Po trzydziestu latach znów słucham wykładu. Szkoła tylko, że mój pięćdziesięcioletni łeb za tępy do nauki. Lecz, by twoje wyjątkowe zdolności nie rdzewiały, przydam ci do towarzystwa osobę, wobec której będziesz mógł się do woli popisywać swą błazeńską fanaberią. Musisz się zdecydować, tak, jeszcze dzisiaj musisz się zdecydować na ożenek.

F e r d y n a n d
cofa się przerażony

Ojcze!

P r e z y d e n t

Tylko proszę, bez oracji. Posłałem do lady Milford list w twoim imieniu. Masz się udać do niej niezwłocznie i powiedzieć, że jesteś jej narzeczonym.

F e r d y n a n d

Do lady Milford? Ojcze!

P r e z y d e n t

Znasz ją przecie...

F e r d y n a n d

wyprowadzony z równowagi

Zna ją każdy pręgiarz w całym księstwie. Wybacz, ojczy, śmieszny jestem, że biorę te żarty poważnie. Bo czy ojciec chciałby mieć syna szuję, który żeni się z uprzywilejowaną nierządnicą?

P r e z y d e n t

Mało tego! Sam starałbym się o jej rękę, gdyby zgodziła się na pięćdziesięcioletniego męża. I rękę, chętnie byłbyś synem takiego „szui”...

F e r d y n a n d

Nie! za Boga, nie!

P r e z y d e n t

To zuchwałość, słowo daję! ale tak wyjątkowa, że ją puszczam płazem.

F e r d y n a n d

Błagam, ojczy, nie zostawiaj mnie dłużej w niepewności, bo już sam nie wiem, czy mogę się jeszcze nazywać twoim synem.

P r e z y d e n t

Chłopaku, czyś ty oszalał? Każdy rozsądny człowiek marzyłby o takim zaszczycie: obcować w tym samym miejscu na zmianę ze swym księciem.

F e r d y n a n d

Ja własnego ojca nie rozumiem. Ojciec nazywa to zaszczytem? Zaszczyt – dzielić się z księciem tam, gdzie księżę przestaje być nawet człowiekiem?

P r e z y d e n t wybuchając śmiechem

Ojciec może się śmiać – ja wolę nie słyszeć tego śmiechu. Czy mógłbym spojrzeć w oczy najędźniejszemu wyrobnikowi, który przynajmniej nieskalane ciało żony bierze w posagu? Czy mógłbym ludziom spojrzeć w oczy? I księciu? I wreszcie tej ladacznicy, której hańba byłaby wtedy mniej plugawa od mojej?

P r e z y d e n t

Skąd tyś nagle taki wygadany, mój kawalerze?

F e r d y n a n d

Zaklinam ojca na wszystkie świętości! Przez takie poniżenie jedyne go syna nie zyskasz tyle szczęścia, ile ja go utracę. Życie oddam, jeżeli ci się mogę tym przysłużyć w karierze. Życie zawdzięczam ojcu i nie zawaham się ani na chwilę oddać je dla twoich sukcesów. Ale h o n o r, jeżeli mi ojciec zabierze honor, toś postąpił lekkomyślnie i podle wtedy, kiedy mi dawałeś życie. Będę przeklinał i ojca, i rajfura.

P r e z y d e n t
przyjaźnie klepie go po ramieniu

Doskonale, mój synu! Teraz widzę, że jesteś wspaniałym człowiekiem, że jesteś wart najlepszej kobiety w całym księstwie. Będziesz ją miał. Dziś jeszcze zaręczysz się z hrabianką von Ostheim.

F e r d y n a n d
na nowo zmieszany

Czy to już godzina mojej śmierci?

P r e z y d e n t
patrzy na syna badawczo

Tu, sądzę, twój honor chyba nie będzie miał żadnych zastrzeżeń?

F e r d y n a n d

Nie, ojcze. Fryderyka von Ostheim potrafi uszczęśliwić każdego. (*do siebie, w najwyższym wzburzeniu*) Jego podłość rozdarła mi duszę, jego dobroć dobija ją do reszty.

P r e z y d e n t
nie spuszczając z niego oczu

Czekam na twoje podziękowanie, Ferdynandzie.

F e r d y n a n d
podbiega do ojca i całuje go z zapalem w rękę

Ojcze, od twojej łaski serce stanęło mi całe w płomieniach. Ojcze, dziękuję gorąco za tyle czułości. Wybór ojca najzaciejszy w świecie, ale... ja nie mogę... mnie nie wolno... żałuj mnie, ojcze, ale ja nigdy nie pokocham hrabianki!

P r e z y d e n t
cofa się o krok

Hola! Złapałem panicza! Wpadłeś w potrzask, obłudny łgarzu! Więc to nie honor zabrania ci związku z lady Milford! Nie osobą brzydzisz się, ale samym małżeństwem?

F e r d y n a n d przez chwilę stoi jak skamieniały, potem budzi się i chce szybko odejść

P r e z y d e n t

Dokąd to? Stój! A gdzie respekt dla ojca?

Major wraca

Lady Milford już uprzedzona o twojej wizycie. Księżę ma moje słowo. Miasto i dwór wiedzą o wszystkim. Jeżeli się z twojej przyczyny okaże, że okłamałem księcia – i lady – i miasto – i dwór... słuchaj, bratku! – albo jeżeli wykryję pewne sprawy... Hola! A co to raptem zdmuchnęło rumieńce z twojego oblicza?

F e r d y n a n d
blady i drżący

Co?... Nie, to nic, ojcze...

P r e z y d e n t
patrzy groźnie na syna

A jeżeli to nie jest „nic” – i jeżeli wyśledzę, skąd ten upór – no, poczekaj, chłopcze! Już samo podejrzenie doprowadza mnie do furii. Idź w tej chwili! Trąbią na zmianę warty. Po

służbie zjawisz się u lady Milford. Gdy ja tupnę, drży całe księstwo. Zobaczymy, czy nie dam sobie rady z twardym łbem własnego syna. (*idzie i wraca od drzwi*) I powiadam ci jeszcze raz, mój panie: albo do niej pójdziesz, albo strzeż się mojego gniewu!

wychodzi

F e r d y n a n d

budzi się z odurzenia

Poszedł? Czy to jest głos ojca?... Dobrze! Idę do niej, idę natychmiast! Ale powiem jej takie słowa i do takiego każę jej spojrzeć zwierciadła... Nędzna kobieto! Jeżeli i potem jeszcze będziesz mnie chciała... W obliczu całej szlachty, w obliczu całego wojska i ludu... Choćbyś wezwała na pomoc całą dumę swojej Anglii... Odepchnę cię – ja, dwudziestoletni Niemiec!

wychodzi szybko

AKT DRUGI

SCENA PIERWSZA

Salon w pałacu L a d y M i l f o r d; z prawej stoi kanapa, z lewej fortepian. L a d y M i l f o r d w swobodnym a powabnym stroju porannym, jeszcze nieufryzowana, siedzi przy fortepianie i improwizuje. Z o f i a, jej pokojówka, odstępuje od okna.

Z o f i a

Oficerowie się rozchodzą. Już po zmianie warty, a majora Waltera ani widać.

L a d y

bardzo niespokojna, wstaje i przechadza się po salonie

Nie wiem, co się dzisiaj ze mną dzieje, Zofio; jeszcze mi nigdy tak nie było... Nie widać go? Cóż – pewnie mu się nie spieszy. Czuję na sercu ciężar, jak gdybym popełniła zbrodnię. Leć, Zofio, niech mi osiodłają wierzchowca, najdzikszego ze wszystkich. Powietrza! Muszę zobaczyć ludzi i błękitne niebo – i wycwałować ze siebie ten ciężar serdeczny.

Z o f i a

Jeżeli się Jaśnie pani czuje niedobrze, to można sprosić gości. Niech książę zje tutaj obiad albo postawmy stoliki do lombra³⁵ przed pani sofą. Gdyby tak do mojej dyspozycji był książę wraz z całym dworem, oj, na pewno bym się nie nudziła.

L a d y

pada na kanapę

Proszę cię, zostaw mnie w spokoju! Dam ci po jednym diamencie za każdą godzinę, kiedy ich nie mam na karku. Po co sobie meblować pokoje taką sosjetą? Wszyscy oni to złe istoty, godne politowania. Truchleją, gdy mi się wyrwie jakieś ludzkie, ciepłe słowo; rozdziawiają usta i oczy, jak gdyby się nagle zjawił duch. Bezwolne marionetki na drucie, którymi kieruję łatwiej niż swoim szydełkiem. Co począć z takimi ludźmi? Dusze ich poruszają się regularnie, jak ich zegarki. I cóż mi za przyjemność pytać ich o cokolwiek, kiedy już z góry wiem, jaka będzie odpowiedź? Albo dyskutować z nimi, kiedy boją się mieć inne zdanie niż ja? Nie chcę ich widzieć! Nie warto siąść na konia, który nawet wędzidła nie szarpnie.

idzie do okna

Z o f i a

Jaśnie pani, ale księcia to chyba nie tyczy? Najpiękniejszy mężczyzna, najgorętszy amant, najdowcipniejszy umysł w całym księstwie!

L a d y

wraca od okna

Bo całe księstwo – to właśnie j e g o księstwo! I tylko księstwo może od biedy usprawiedliwić mój gust, kochana Zofio. Mówisz, że mi ludzie zazdroszczą. Głupi ludzie, powinni mnie raczej żałować. Spośród wszystkich, co się tuczą u książęcego żłobu, najsmutniejszy los

³⁵ l o m b r – gra w karty.

ma faworyta. Bo ona jedna widzi, że ten możny i bogaty pan jest w gruncie nędzarzem. Owszem, talizmanem swej potęgi umie na każde moje skinienie wszystko wydobyć spod ziemi, jak czarodziej zamki. Księżę potrafi sprowadzić esencje obojga Indii na mój stół; potrafi pustynie zmienić w rajskie ogrody; potrafi źródła swego kraju wzbijać w pysznych fontannach pod samo niebo; i potrafi krwawicę swych poddanych roztrwonić w jednym fajerwerku – to prawda. Ale czy może kazać swojemu sercu, by dla gorącego szlachetnego serca zabiło równie gorąco i szlachetnie? Czy może zmusić swój jałowy umysł, by choć raz doznał wspaniałego wstrząsu? Zmysły moje są nasycone, ale serce głodne. I co mam począć z całym bogactwem pięknych porywów, skoro wolno mi tylko zaspokajać żądze?

Z o f i a

patrzy na nią zdumiona

Już tyle lat służę u Jaśnie pani...

L a d y

Ale dopiero dziś poznajesz, jaka jestem? To prawda, kochana Zofio, sprzedalam księciu swoją dobrą sławę. Ale serce zostało na wolności. I może to serce jeszcze warte uczciwego człowieka, bo trujący czad, który wieje od naszego dworu, zdołał je zaledwie musnąć, jak oddech lustro. Wierz mi, moja droga: już dawno zerwałabym z tym marnym księciem, gdyby mi ambicja pozwoliła ustąpić przed inną damą tego dworu.

Z o f i a

I serce tak chętnie uległo ambicji?

L a d y

ożywiona

Może myślisz, że się nie zemściło? że nie mści się w tej chwili?... Zofio! (*z powagą, kładąc rękę na ramieniu Zofii*) My, kobiety, mamy do wyboru tylko jedno z dwojga: albo panować, albo służyć. Lecz nawet największa rozkosz władzy jest niczym wobec rozkoszy jeszcze wyższej: być niewolnicą człowieka, którego się kocha.

Z o f i a

Najmniej spodziewałam się usłyszeć tę prawdę z ust Jaśnie pani!

L a d y

Czy rzeczywiście, moja Zofio? Nie widziałaś, jak dziecinnie brałam się do rządzenia? Bo przecież jestem stworzona na to, by mnie samą ktoś prowadził za rękę. Widziałaś te płocne kaprysy, te szalone zabawy – i nie czułaś, że chciały one przekrzyczeć jeszcze bardziej szalone pragnienia mojej duszy?

Z o f i a

cofa się ze zdumieniem

Jaśnie pani!

L a d y

coraz bardziej ożywiona

Niech je nareszcie zaspokoje! Niech przyjdzie ten człowiek, o którym myślę bezustannie, którego uwielbiam, który musi być moim, jeżeli nie mam zginać, Zofio. (*tkliwie*) I niech mi tylko powie, że łzy miłości w moich oczach błyszczą piękniej aniżeli brylanty w moich wło-

sach, (z zapalem) a pod nogi rzucę księciu jego miłość i cały jego kraj – i ucieknę z tym człowiekiem, ucieknę w najdalszą pustynię świata...

Z o f i a

patrzy na nią przerażona

Boże! Co pani robi? Co się z panią dzieje?

L a d y

zmieszana

Bledniesz? Może powiedziałam zbyt wiele? Więc niech moje zaufanie zmusi cię do miłczenia – powiem ci więcej... powiem ci wszystko...

Z o f i a

rozgląda się trwożnie

Jaśnie pani! Boję się, boję się... wolę tego nie słyszeć.

L a d y

Mój związek z majorem – ty uwierzyłaś i wszyscy uwierzyli, że to tylko intryga dworska. Zofio, nie rumień się, nie wstydz się za mnie – ale to dzieło mojej miłości!

Z o f i a

Na Boga! Przeczuwałam...

L a d y

Zofio, wszyscy dali się oszukać: niedołężny książę i Walter, ten chytry fagas, i głupkowaty marszałek. Oni są święcie przekonani, że małżeństwo z majorem to jedyny sposób, aby mnie zatrzymać przy księciu i przywiązać do niego jeszcze mocniej. O nie! Oderwie mnie ono na zawsze, na zawsze potarga haniebne łańcuchy. Oszukani oszuści, daliście się podejść słabej kobiecie – to wy sami swatacie mi ukochanego. O to mi przecież tylko chodziło. A kiedy będzie mój, kiedy już nareszcie będzie mój – bywaj zdrów, nędzny splendorze, bywaj zdrów na wieczne czasy!

SCENA DRUGA

Ciż, stary K a m e r d y n e r księcia ze szkatułką.

K a m e r d y n e r

Jego książęca mość poleca się łasce Jaśnie pani i przesyła w podarku ślubnym te brylanty. Nadeszły właśnie z Wenecji.

L a d y

otwiera szkatułkę i cofa się niedowierzając oczom

Słuchaj no! Ile twój pan zapłacił za te kamienie?

K a m e r d y n e r

z posepnym wyrazem twarzy

Nie kosztują go ani grosza.

L a d y

Jak to? Oszalałeś? Ani grosza? (*cofa się od Kamerdynera o krok*) I patrzysz na mnie, jakbyś chciał mnie przebić... Nic nie zapłacił za te bezcenne klejnoty?

K a m e r d y n e r

Siedem tysięcy naszych chłopców pojechało wczoraj do Ameryki – oni zapłacili wszystko.

L a d y

odstawia szybko szkatułkę i przechadza się po salonie, potem do Kamerdynera
Co ci jest? Zdaje się, że płaczesz?

K a m e r d y n e r

wyciera oczy, groźnym głosem, dygocąc

Takie klejnoty... i dwaj moi synowie są też między nimi.

L a d y

odwraca się drżąc, chwyta go za rękę

Chyba ich nikt nie zmuszał?

K a m e r d y n e r

z okrutnym śmiechem

O Boże! Gdzież by ich kto zmuszał... Sami ochotnicy! Co prawda paru śmiazków wystąpiło przed front i zapytało pułkownika, ile też książę dostaje za nich od sztuki. Ale miłościwy nasz pan kazał wszystkim regimentom stanąć na placu i tych pyskaczy rozstrzelać. Słyszeliśmy huk muszkietów, widzieliśmy, jak mózg tych ludzi bryznął na kamienie, a cała armia szalała z radości: „Jedziemy do Ameryki!”

L a d y?

przygnębiona, pada na kanapę

O Boże! Boże! A ja nic nie słyszałam? Nic nie wiedziałam?

K a m e r d y n e r

Tak, Jaśnie pani! Jaka szkoda, że Jaśnie pani pojechała z księciem na walkę niedźwiedzi akurat w chwili, gdy już mieli bębnić na wymarsz. Niech Jaśnie pani żałuje, że ominęło ją takie wspaniałe widowisko. Dudnienie bębnow dało nam znać, że nadeszła pora. Płaczące dzieci, prawie już sieroty, garną się do swych ojców. A tam – oszalała matka odrywa niemowlę od piersi i rzuca je na bagnety. Tam znów – szablami rozdzielają chłopaków od ich dziewcząt. Starcy ciskali w rozpacz swe szczudła chłopakom na drogę do Nowego Świata. A tu bębny warczą i warczą, aby Bóg nie słyszał naszych modłów...

L a d y

wstaje wzruszona do głębi

Zabierajcie te klejnoty! Ogień piekielny bije z nich w moje serce. (*z dobrocią do Kamerdynera*) Uspokój się, biedny starcze. Oni wrócą. Zobaczą znów swoją ojczyznę.

K a m e r d y n e r

serdecznie i z powagą

Bóg to raczy wiedzieć. Zobaczą!... Jeszcze przy rogatce odwracali się i wołali: „Zostań z Bogiem, żono! Zostańcie z Bogiem, dzieciaki! Niech żyje nasz dobry książę! Zobaczymy się na sądzie ostatecznym...”

L a d y
mocnym krokiem chodzi po scenie

To straszne! Potworne! Wmawiali mi, że właśnie ja osuszyłam wszystkie łzy waszego kraju. Teraz przejrzałam i widzę te okropności... Idź i powiedz swojemu panu, że podziękuję mu sama.

*K a m e r d y n e r chce odejść, L a d y M i l f o r d rzuca mu do kapelusza sakiewkę z
pieniężmi*

Weź to w nagrodę, żeś mi powiedział prawdę.

K a m e r d y n e r
ze wzgardą odrzuca sakiewkę na stół

Dołóżcie do tamtych!

wychodzi

L a d y
patrzy za nim zdumiona

Zofio, leć za nim, zapytaj, jak się nazywa. Będzie miał znów swoich synów.

*Z o f i a wybiega. L a d y Milford przechadza się w zamyśleniu. Przerwa. Do Z o f i i, któ-
ra wraca*

Zdaje się, że niedawno rozeszła się wieść o pożarze, który zniszczył jakieś miasteczko na granicy. Podobno około czterystu rodzin żyje w ostatniej nędzy.

dzwoni

Z o f i a

Skąd Jaśnie pani przyszło to na myśl? Owszem, tak jest. Prawie wszyscy ci biedacy wysługują się lichwiarzom, co ich wsparli, albo marnieją w książęcych kopalniach srebra.

S ł u ż ą c y
wchodzi

Jaśnie pani rozkaże?

L a d y
wręcza mu klejnoty

Zanieść mi to natychmiast do Zarządu Państwa i spieniężyć – tak każe! – a pieniądze rozdzielić pomiędzy czterysta rodzin, które zniszczył pożar.

Z o f i a

Jaśnie pani! przecież Jaśnie pani naraża się na niełaskę jego książęcej mości!

L a d y
z godnością

Czy mam nosić we włosach przekleństwa całego kraju? (*daje znak Służącemu, który wychodzi*) Chcesz, bym upadła pod strasznym brzemieniem tych łez? Nie, Zofio, wolę mieć we włosach fałszywe klejnoty i w sercu świadomość dobrego uczynku.

Z o f i a

Ale takie klejnoty? Jaśnie pani mogła dać tamte, gorsze. Naprawdę, Jaśnie pani, to nie do przebaczenia.

L a d y

Niemądra dziewczyno! Za to w jednej chwili popłynię na moją intencję więcej brylantów i pereł, niż ich ma dziesięciu królów w swych koronach – i będą to perły piękniejsze...

S ł u ż ą c y

wraca

Pan major von Walter.

Z o f i a

podbiega do L a d y M i l f o r d

Boże! pani blednie...

L a d y

To pierwszy człowiek, którego się boję, Zofio. Niech Edward powie, że czuję się niedobrze. Zaczekaj! Czy jest wesoły, uśmiechnięty? Co mówił? Ach, Zofio! Wyglądam szkaradnie, prawda?

Z o f i a

Jaśnie pani, błagami...

S ł u ż ą c y

Jaśnie pani nie przyjmie pana majora?

L a d y

niepewnym głosem

Przyjmę go.

S ł u ż ą c y wychodzi

Mów, Zofio! Co mu powiedzieć? Jak go przyjąć? Czuję, że głos mi zamiera, a on będzie kpił z mojego zmieszania, będzie... ach, tak mi ciężko na sercu... Chcesz mnie opuścić, Zofio? Zostań!... Nie, możesz iść... Albo zostań!

Major wchodzi z przedpokoju

Z o f i a

Niech się pani opanuje! Idzie.

SCENA TRZECIA

Ciż, F e r d y n a n d v o n W a l t e r.

F e r d y n a n d

po lekkim ukłonie

Jeżeli przeszkadzam w czymkolwiek, łaskawa pani...

L a d y

wyraźnie zmieszana

W niczym, panie majorze, co byłoby dla mnie ważniejsze.

F e r d y n a n d

Przychodzę z rozkazu ojca.

L a d y

Jestem panu zobowiązana.

F e r d y n a n d

I mam pani zameldować, że się pobieramy. Tyle rozkaz ojca.

L a d y

blednie i drży

A więc nie rozkaz pańskiego serca?

F e r d y n a n d

Ministrowie i stręczyciele nigdy o to nie pytają.

L a d y

tak zatrwożona, że ledwo może mówić

A od siebie nie ma pan mi nic do powiedzenia?

F e r d y n a n d

spogląda na pokojówkę

Bardzo wiele, łaskawa pani.

L a d y

daje znak Zofii, która wychodzi

Zechce pan sięść tu na sofie?

F e r d y n a n d

To sprawa krótka, łaskawa pani.

L a d y

Więc proszę.

F e r d y n a n d

Jestem człowiekiem honoru.

L a d y

Którego cenię.

F e r d y n a n d

Szlachecciem.

L a d y

Najlepszym w księstwie.

F e r d y n a n d

I oficerem.

L a d y

uprzejmie

Mówi pan wciąż o zaletach, które mają także inni. A czemu nie o tych piękniejszych, które tylko pan posiada?

F e r d y n a n d
zimno

Tutaj nie są mi one potrzebne.

L a d y
z rosnącym niepokojem

Jak mam sobie ten cały wstęp tłumaczyć?

F e r d y n a n d
powoli, z naciskiem

Jako protest honoru, jeżeli pani miałyby ochotę zmusić mnie do małżeństwa.

L a d y
zrywa się

Panie majorze, co słyszę?

F e r d y n a n d
spokojnie

Głos mojego serca, mojego herbu i tej szpady.

L a d y

Szpadę dał panu księżę.

F e r d y n a n d

Dała mi ją ojczyzna ręką księcia. Serce – Bóg A herb – pięć stuleci.

L a d y

Imię księcia...

F e r d y n a n d
w uniesieniu

Czy księciu wolno gwałcić prawo ludzkości? Czy wolno mu zmieniać życie człowieka jak kurs swoich monet? Nawet on nie może sobie lekceważyć honoru, może tylko zatkać mu usta pieniędzmi, może swoją hańbę schować pod płaszczem gronostajowym. O tym już ani słowa więcej, bardzo proszę. Nie mówię teraz o swojej zmarnowanej przyszłości, o przodkach, ani o tej szpadzie, ani o opinii publicznej. To wszystko jestem gotów rzucić pod nogi i zdeptać. Ale niech mi pani wpierw udowodni, że zysk nie gorszy niż strata.

L a d y
z bólem odstępuje od niego

Panie majorze, nie zasłużyłam na to.

F e r d y n a n d
chwytając ją za rękę

Niech mi pani przebaczy. Rozmawiamy tu bez świadków. Kazano nam się dzisiaj spotkać, spotykamy się po raz ostatni – i powód tego spotkania upoważnia mnie, a nawet zmusza, bym odsłonił przed panią wszystko, co kryję w głębi. Dotąd nie rozumiałem, jak dama o takiej urodzie i takim umyśle, o zaletach, które inny mężczyzna potrafiłby cenić, mogła ulec księciu, co tylko jej ciało podziwiać zdolny. Ale teraz już rozumiem, bo ta właśnie kobieta śmie ofiarować mężczyźnie swoje serce.

L a d y
patrzy mu prosto w twarz

Niech pan powie wszystko.

F e r d y n a n d

Pani mówi, że jest Angielką. Proszę się nie gniewać, ale ja w to nie wierzę. Wolna obywatelka najwolniejszego w świecie narodu, który w swej dumie nawet cudzych cnót nie uznaje, miałaby służyć cudzym grzechom? Niemożliwe, by pani była Angielką. A jeżeli tak jest, to pani serce chyba kurczy się tym bardziej, im silniej i piękniej bije serce Anglii...

L a d y

Skończył pan?

F e r d y n a n d

Powie ktoś, że to próżność kobieca, zmysłowa krew, temperament, że to pociąg do swawolnego życia. Ale nieraz już uczciwość zatriumfowała nad upadkiem. Bywało, że kobieta, która zesłała na drogę hańby, uzacniła ją potem szlachetnym postępowaniem, że swój bezwstydnym proceder wyzyskała do pięknych celów, aż jej ludzie nawet przebaczyli. A skąd, pytam, wziął się niebывały dotąd ucisk naszego kraju? Tyle w imieniu księstwa. Skończyłem.

L a d y
łagodnie i z dumą

Pierwszy raz, panie baronie, ktoś ośmielił się mówić do mnie w taki sposób – i pan jest jedynym, któremu na to odpowiadam. Że pan odrzuca moją rękę, za to pana szanuję. Że pan moje serce znieważa, to panu przebaczam. Ale że pan mówi z przekonaniem, temu nie wierzę. Bo kto śmie w taki sposób obrażać damę, której wystarczy jedna noc, by go zniweczyć, ten przyznaje tej damie wielką duszę – albo też jest szaleńcem. Że pan ruinę kraju zwała na moje sumienie, niech to panu przebaczy Bóg wszechmogący, gdy kiedyś postawi nas przed sobą twarzą w twarz – pana, mnie i księcia! Ale pan wyzwiał Angielkę, a na taki zarzut muszę odpowiedzieć swojej ojczyźnie.

F e r d y n a n d
opiera się na szpadzie

Jestem ciekawy.

L a d y

Więc niech pan usłyszy, czego prócz pana jeszcze nikomu nie zdradziłam i nikomu w przyszłości nie zdradzę! Panie baronie, ja nie jestem awanturnicą, za jaką pan mnie ma. Mogłabym się chętnie i powiedzieć: pochodzę z książęcego rodu, z rodu nieszczęśnika Tomasza Norfolka³⁶ który padł ofiarą swego przywiązania do Marii Stuart. Mój ojciec, pierwszy szambelan króla, był podejrzany o zмовę z Francją i został wyrokiem parlamentu skazany i ścięty. Dobra nasze król skonfiskował. Nas wygnano z kraju. Matka moja umarła w dniu egzekucji. Miałam wtedy czternaście lat. Uciekłam z piastunką do Niemiec. Zabrałam ze sobą niewielką szkatułkę klejnotów i ten krzyż, pamiątkę rodzinną, którą mi matka zawiesiła na szyi, błogosławiąc mnie, nim skonała.

F e r d y n a n d zamyśla się i patrzy na L a d y M i l f o r d coraz serdeczniej. L a d y ciągnie dalej z rosnącym wzruszeniem

³⁶ N o r f o l k – godność księżęca angielskiej rodziny Howard.

Przybyłam do Hamburga chora, bez nazwiska, bez opieki i majątku, sierota na obczyźnie. Niczego się nie nauczyłam, zaledwie trochę po francusku, trochę haftować i grać na fortepianie. Ale za to umiałam doskonale jadać ze srebrnych i złotych półmisków, spać na jedwabnej pościeli, jednym gestem puścić w ruch dziesięciu lokajów i słuchać, jak wytworni kawalerowie prawią komplementy. Sześć lat przeplakałam, znikła ostatnia agrafa brylantowa, piastunka mi umarła – i wtedy los sprowadził do Hamburga pańskiego księcia. Przechadzałam się właśnie brzegami Łaby, spoglądałam na rzekę i zaczęłam medytować, co też głębsze: ta woda czy moja niedola. Księżę mnie zobaczył, ścigał, wytropił moje mieszkanie – rzucił mi się do stóp i przysięgał, że kocha (*przerywa z wielkiego wzruszenia, potem kończy łkając prawie*) Wszystkie obrazy szczęśliwego dzieciństwa odżyły na nowo z uwodzicielskim blaskiem. Beznadziejna przyszłość straszyla mnie jak czarna otchłań grobu. Serce moje tęskniło za czymś sercem. I przywarłam do jego serca. (*odstępuje szybko od Ferdynanda*) A teraz niech mnie pan potępi!

F e r d y n a n d

wstrząśnięty do głębi, idzie za nią, by ją zatrzymać

Pani! O nieba! Co słyszę? Co uczyniłem?... Teraz dopiero widzę swoją podłość. Pani mi tego nigdy nie przebaczy.

L a d y

wraca i usiłuje się uspokoić

Niech pan słucha dalej. Księżę, co prawda wykorzystał bezbronność moich młodych lat, ale krew Norfolków zaczęła się we mnie buntować i wołała: Jak to? Ty, Emilio, księżniczka, a teraz kochanka księcia? Godność i poniżenie walczyły w moim sercu, kiedy księżę przywiózł mnie tutaj, i nagle ujrzałam najokropniejsze obrazy. Rozpusta możliwych tego świata jest niby hiena: żarłoczna, nienasycona, szuka coraz to nowych ofiar. Od dawna grasowała już w tym kraju. Kochające się pary rozdzielała, darła nawet święte związki małżeństwa, niszczyła ciche szczęście rodzinne. Stałam między jagnięciem i tygrysem, w godzinie zmysłów wymogłam przysięgę na księciu – i tych bezcennych ofiar musiano zaniechać.

F e r d y n a n d

w najwyższym uniesieniu biegnie przez salę

Dosyć! Błagam panią, dosyć!

L a d y

Po tych smutnych czasach nastąpiły jeszcze smutniejsze. Dwór i pałac zaczęły się teraz roić od wyrzutków z Italii. Lekkomysłne paryżanki zrobiły sobie z książęcego berła niebezpieczną zabawkę, a lud płacił krwią za ich kaprysy. Ale na wszystkie przyszła kolej. Padały jedna po drugiej, bo ja byłam bardziej zalotna niż one. Wyjęłam cugle z rąk tyrana. Pańska ojczyzna, baronie, pierwszy raz poczuła dłoń człowieka i z ufnością przyłgnęła do mego łona. (*przez chwilę patrzy na niego z czułością, potem mówi*) O, że też jedyny człowiek, na którego sprawiedliwym spojrzeniu mi zależy, zmusza mnie teraz, bym sama siebie wychwalała... Panie majorze, rozsadałam drzwi więzienne i darłam wyroki śmierci. Nie raz skróciłam okrutną wieczność na galerach. W nieuleczalne rany sączyłam choć po kropelce kojącego balsamu. Potężnych zbrodniarzy obalałam w proch. I bywało, że płaczem i umizgami musiałam ratować niewinnie potępionych, kiedy już zdawali się być straceni. Gdyby pan wiedział, jak mi było błogo! Z jaką dumą serce mogło protestować, gdy mnie oskarżała krew Norfolków. I teraz wreszcie zjawia się człowiek, który jeden mógłby mi za to wszystko odpłacić. Może los, znużony już tą ciągłą gonitwą, właśnie jego przeznaczył mi jako nagrodę za wszystkie krzywdy. I ten człowiek...

F e r d y n a n d

przerywa jej, poruszony do głębi

Tego już za wiele! Za wiele! To przeciw umowie. Miała się pani oczyścić z zarzutów, a pani ze mnie robi niegodziwca. Zaklinam panią, niech pani ma litość nad moim sercem, które szarpie wstyd i straszna skrucha.

L a d y

trzyma go za rękę

Teraz albo nigdy! Bohaterstwo moje już doszło do kresu, musi pan poczuć ciężar tych łez. (*bardzo tkliwie*) Ferdynandzie, słuchaj mnie! Jeżeli nieszczęśliwa istota już dłużej nie może się oprzeć wszechmocnemu rozkazowi i lgnie do ciebie sercem pełnym miłości bez granic... Ferdynandzie, czy i teraz wypowiesz zimne słowo „honor”?... Patrz: ta istota, zmaltrętowana poczuciem swej hańby, brzydzi się rozpustą i chce odważnie pójść za głosem cnoty... patrz: oto rzuca się w twoje ramiona, (*obejmuje go; błagalnie i uroczyście*) bo szuka w nich ocalenia, szuka drogi do Boga... Inaczej (*odwraca twarz; głuchym, drżącym głosem*) ucieknie przed tobą, posłucha strasznego krzyku rozpaczony i stoczy się w jeszcze ohydniejszą otchłań upadku...

F e r d y n a n d

wrywa się jej w wielkim wzburzeniu

Nie, na Boga żywego! Nie zniosę tego dłużej. Pani, ja muszę... niebo i ziemia wali się na mnie... ja muszę pani to wyznać.

L a d y

szybko odchodzi od niego

Nie teraz! Nie teraz, błagam pana na wszystkie świętości! Nie w tej bolesnej chwili, kiedy serce moje broczy z tysiąca ran. Śmierć czy życie – nie mogę, nie chcę tego usłyszeć!

F e r d y n a n d

Musi pani koniecznie, musi pani! To, co teraz powiem, zmniejszy moją winę i będzie serdecznym przebłaganiem za tamte słowa. Zawiodłem się na pani. Spodziewałem się i chciałem, by pani okazała się godna mojej pogardy. Przyszedłem z mocnym postanowieniem znieważyć panią i zasłużyć sobie na nienawiść. Bylibyśmy szczęśliwi oboje, gdyby się tak stało... (*milczy przez chwilę, potem cicho i nieśmiało*) Pani... Ja kocham, kocham młodą mieszczańkę Luizę Miller, córkę muzykanta.

L a d y Milford odwraca się od niego, blada; on ciągnie dalej z ożywieniem

Wiem, na co się narażam. Ale chociaż rozsądek każe zamilknąć uczuciom, to obowiązek woła tym głośniejsze. Bo to ja jestem winien. Ja pierwszy zmaciłem złoty spokój jej skromnego życia, wykołysałem w jej sercu zuchwałe nadzieje i rzuciłem je na pastwę szalonych uczuć. Pewnie mi pani przypomni mój stan, moje urodzenie, zasady mojego ojca... ale ja kocham. Nadzieja moja rośnie tym bardziej, w im głębszej rozterce natura ludzka jest z konwenansami. Z jednej strony moje postanowienie – z drugiej przesady. Zobaczymy, co zwycięży: konwenans czy człowiek!

L a d y Milford tymczasem cofnęła się do najdalszej części salonu i zakrywa twarz obiema rękami. F e r d y n a n d podchodzi do niej

Czy chce mi pani coś powiedzieć?

L a d y

z wyrazem głębokiego cierpienia

Nic, panie baronie. Nic... chyba tylko tyle: zgubi pan siebie i mnie, i jeszcze trzecią osobę.

F e r d y n a n d

Trzecią?

L a d y

Nie możemy być ze sobą szczęśliwi. Ale padniemy ofiarą zbyt pochopnych kroków pańskiego ojca. Nigdy nie zyskam człowieka, który mi rękę swoją daje pod przymusem.

F e r d y n a n d

Pod przymusem? Daje pod przymusem? A więc jednak – daje? Śmiałyby pani wymusić rękę, choć pani serca nie wymusi? Śmiałyby pani dziewczynie odebrać tego, który jest dla niej wszystkim na świecie? Śmiałyby pani mężczyźnie wydzieać tę, która jest dla niego wszystkim na świecie? I to pani? Pani, przed chwilą jeszcze ta godna szacunku Angielka? Pani śmiałyby to uczynić?

L a d y

Bo muszę. (z powagą i siłą) Panie baronie, moje serce mogłoby zrobić ustępstwo dla pana, mój honor nigdy. O naszym małżeństwie mówią w całym kraju. Wszystkie spojrzenia, wszystkie pociski szyderstwa, wymierzone we mnie. Będzie to śmiertelna zniewaga, gdy poddany księcia mną wzgardzi. Niech pan ma żal do swojego ojca. Niech pan się broni, jak pan może. Bo ja nie będę przebierała w środkach.

wychodzi szybko

Major zostaje w niemym osłupieniu, po chwili wybiega głównym wejściem

SCENA CZWARTA

Pokój u muzykanta. M i l l e r, pani M i l l e r, L u i z a.

M i l l e r

wpada do pokoju

A mówiłem, że tak będzie!

L u i z a

podbiega do niego z lękiem

Co, ojczec, co?

M i l l e r

biegnie przez pokój jak szalony

Mój paradny surdut! Dawaj! Prędeż!... Muszę go wyprzedzić. Białą koszulę z mankieta-
mi! Od razu wiedziałem, że się to stanie.

L u i z a

Na miłość boską, co?

Ż o n a

A co się stało? Co się dzieje?

Miller

rzuca perukę na podłogę

Natychmiast z tym do fryzjera! Co się dzieje? (*idzie szybko do lustra*) I broda mi znów urosła na pół cala... Co się dzieje? No, a co ma się dziać, głupie ścierwo? Wszystkie diabły się urwały. A ciebie niech piorun trzaśnie!

Żona

Widzicie mi go! I znowu na mnie.

Miller

Na ciebie? Ty pysku plugawy, a na kogo? To ty dziś rano wyjechałaś z tym swoim szatańskim paniczem! Czy nie mówiłem od razu? Wurm wszystko wyszczał.

Żona

E, tam! A skąd wiesz?

Miller

Skąd wiem? Stąd! Widzisz, jak tam pod bramą łązi szpicel ministra i rozpytuje się o grajka?

Luiza

Zginęłam!

Miller

Bo i ty z tymi oczkami jak niezapominajki! (*śmieje się szyderczo*) Prawdę mówią, że komu diabeł jaja składa, temu wylęgnie się śliczna córeczka. No i masz!

Żona

A skąd wiesz, że chodzi o Luizę? Może cię ktoś zarekomenderował³⁷ księciu. Może cię chce do orkiestry.

Miller

chwytą laskę

A bodaj cię siarka sodomska! Do orkiestry, właśnie! Oj, będziesz ty, rajfuro, cienko śpiewać w tej orkiestrze, a w mój tyłek będą walić jak w bęben, aż zsinieje... (*rzuca się na krzesło*) Boże wszechmogący...

Luiza

blednie i siada

Matko! Ojcie! Taki mnie nagle ogarnia strach.

Miller

zrywa się znów

Ale niech mi się tylko ten gryzmoła nawinie! niech mi się tylko nawinie! Na tym czy na tamtym świecie... Tak mu ciało i duszę spiorę na miazgę i tak mu całe dziesięcioro przykazań na skórze wypiszę, i całe „Ojcie nasz”, i wszystkie Księgi Mojżesza, i Proroków, że jeszcze na sądzie ostatecznym znać będzie guzy.

³⁷ z a r e k o m e n d e r o w a ł – zamiast: zarekomendował.

Ż o n a

Proszę! Przeklinaj sobie, wrzeszcz! Tym diabła nie przepędzisz. Ratuj, święty panie Boże!... I co teraz będzie z nami? Co tu począć? Jak się wydostać z tej opresji? No, ojciec, mówże słowo!

z płaczem biega po pokoju

M i l l e r

Natychmiast gonię do ministra. Ja pierwszy gębę otworzę. Ja sam złożę doniesienie. Tyś o tym wiedziała prędzej niż ja. Powinnaś była na mnie mrugnąć. Jeszcze byśmy zdążyli dziewczynę zawrócić. Jeszcze nie było za późno... Ale nie! Ty byleby tylko coś złowić, byleby na tym zarobić... Tyś jeszcze dolewała oliwy do ognia. A teraz sama pilnuj swej skóry! Złap to piwo, coś sobie nawarzyła! Biorę córkę za rękę i uciekam z nią, gdzie pieprz rośnie...

SCENA PIĄTA

Ciż, Ferdinand von Walter wpada przerażony i bez tchu.

F e r d y n a n d

Był tu mój ojciec?

L u i z a

zrywa się wystraszona

Jego ojciec! Boże wszechmogący!

Ż o n a

równocześnie, załamuje ręce

Prezydent! Już po nas.

M i l l e r

równocześnie, śmieje się szyderczo

Chwała Bogu! Chwała Bogu! Masz babo zapusty...

F e r d y n a n d

biegnie do Luizy i bierze ją w ramiona

Moją jesteś, choćby się niebo i piekło między nas rzuciły!

L u i z a

Wiem, że zginę... Mów dalej... Wyrzekłeś straszne słowo – twój ojciec?

F e r d y n a n d

Nic! nic! Już wszystko dobrze. Jestem znów przy tobie. Jesteś znów przy mnie. O, niechaj odetchnę u twego serca. To była okropna godzina...

L u i z a

Co za godzina? Zabijasz mnie.

F e r d y n a n d

odstępuje od L u i z y i patrzy na nią z powagą

Godzina, Luizo, kiedy między moje serce a ciebie wdarła się obca istota; kiedy miłość moja słabła przy moim sumieniu; kiedy Luiza przestawała być dla Ferdynanda wszystkim...

L u i z a zasłania twarz i pada na fotel

F e r d y n a n d

chodzi szybko po pokoju, staje przed L u i z ą, milczy i wpatruje się w nią; odstępuje od niej nagle, bardzo poruszony

Nie! Nigdy! To niemożliwe, lady Milford! Żąda pani za wiele. Nie mogę ci poświęcić tej niewinnej dziewczyny. Nie, na Boga żywego! Nie mogę złamać przysięgi, którą jej mdlejące oczy wypominają mi głośno jak piorun z nieba. Lady Milford, niech pani patrzy. Patrz, okrutny ojczu. Mam zamordować tego anioła? Piekło rozpętać w jej niebiańskiej duszy? (*podbiega do niej, zdecydowany*) Zawiodę ją przed tron Sędziego świata i niech Bóg wiekuisty orzeknie, czy miłość moja jest zbrodnią. (*bierze ją za rękę i podnosi z fotela*) Droga, uspokój się. Zwyciężyłaś. W tryumfie wracam z najniebezpieczniejszej walki.

L u i z a

Nie, nie! Niczego nie ukrywaj. Wymów okrutne słowo wyroku. Wspominałeś o ojcu? Wspominałeś o lady Milford? Dreszcz śmiertelny mnie chwyta. Ludzie mówią, że wychodzi za mąż...

F e r d y n a n d

oszołomiony, pada do nóg L u i z y

Za mnie, biedna dziewczyno!

L u i z a

po chwili, tonem cichym i drżącym, z determinacją i spokojem

Tak... i czegoż się lękam? Ten stary człowiek mówił mi przecież nieraz... a ja nie chciałam mu wierzyć! (*milknie, potem ze szlochem rzuca się M i l l e r o w i w ramiona*) Ojczu, oto córka do ciebie wraca. Daruj jej, ojczu. Przecież to nie twojej córki wina, że sen był taki piękny i że takie straszne jest przebudzenie.

M i l l e r

Luizo! Luizo... Boże, ona mi mdleje... Córko moja, moje biedne dziecko... Przekleństwo na uwodziciela! Przekleństwo na tę kobietę, która mu ją stręczyła!

Ż o n a

łkając rzuca się L u i z i e na szyję

Czy zasłużyłam na to przekleństwo? Powiedz, moja córko. Niech Bóg odpuści panu baronowi. I cóż ta owieczka uczyniła złego, że pan ją zabija?

F e r d y n a n d

zrywa się, stanowczo

Ale ja zniweczę jego intrygi, żelazne okowy przesądów pozrywam. Jak wolny człowiek wybierać będę, a przed ogromem mojej miłości struchleją ich robaczywe dusze.

chce odejść

L u i z a

drżąc wstaje z fotela, idzie za nim

Zostań! Zostań! Dokąd idziesz? Ojcie, matko... Chce nas opuścić w tej godzinie trwogi.

Ż o n a

biegnie za F e r d y n a n d e m i przytrzymuje go

Prezydent przyjdzie tutaj... Krzywdę zrobi naszemu dziecku... Nam zrobi krzywdę... A pan nas opuszcza, panie baronie?

M i l l e r

śmieje się z wściekłością

Opuszcza nas. Pewnie. I czemuż by nie? Oddała mu już przecie wszystko. (*jedną ręką przytrzymuje majora, drugą L u i z ę*) Z wolna, mój panie! Droga z mojego domu prowadzi tylko przez tę dziewczynę. Zaczekaj na ojca, jeżeli nie jesteś łajdakiem! Opowiedz mu, jak wkradłeś się do jej serca, oszuście – albo, za Boga! (*rzucając mu córkę z pasją*) Musisz wpierw rozdeptać to skomlące stworzenie, które miłość do ciebie tak sponiewierała.

F e r d y n a n d

wraca i pogrążony w myślach chodzi po pokoju

Wprawdzie władza prezydenta jest wielka. Prawo ojcowskie to ogromne słowo, nawet zbrodnia potrafi się ukryć w jego fałdach... Z nim może się daleko zapędzić, o, daleko. Ale do ostatecznych granic popędzi tylko miłość. Oto, Luizo – twoja dłoń w mojej dłoni! (*chwytając z przejściem jej rękę*) Jak pragnę, by mnie Bóg nie opuścił w ostatniej godzinie żywota! W chwili, która te dwie dłonie rozerwie, przetnę nić, co mnie łączy z życiem.

L u i z a

Strach... Nie patrz na mnie! Twoje usta drżą. Oczy masz okropne...

F e r d y n a n d

Nie, Luizo. Nie bój się. To nie szaleństwo mówi przez moje usta. To najdroższy dar niebios: decyzja w chwili najważniejszej, kiedy uciśniona pierś tylko przez niebawy wstrząs może chwycić oddech. Kocham cię, Luizo. Będiesz moją. A teraz do ojca!

wybiega szybko i wpada na P r e z y d e n t a

SCENA SZÓSTA

Ciż, P r e z y d e n t z orszakiem sług.

P r e z y d e n t

wchodząc

Jest na zawołanie!

wszyscy przerażeni

F e r d y n a n d

cofa się o kilka kroków

W domu ludzi uczciwych!

P r e z y d e n t

Gdzie syn uczy się posłuszeństwa dla ojca?

F e r d y n a n d

Nie będziemy o tym...

P r e z y d e n t
przerywa mu, do Millera

Ojciec?

M i l l e r

Miller, muzykant miejski.

P r e z y d e n t
do Żony

Matka?

Ż o n a

Ach, tak... matka.

F e r d y n a n d
do Millera

Ojczy, trzeba wyprowadzić córkę, bo zemdleje...

P r e z y d e n t
Zbyteczna troskliwość. Już ja ją ocucę! (*do Luizy*) Od jak dawna znasz syna prezydenta?

L u i z a

Nie troszczę się o syna prezydenta. Ferdynand von Walter przychodzi do mnie od listopada.

F e r d y n a n d

I uwielbia tę dziewczynę.

P r e z y d e n t

Dawał ci jakie obietnice?

F e r d y n a n d

Przed chwilą najsolenniejsze przyrzeczenie w obliczu Boga.

P r e z y d e n t
z gniewem do syna

Przyjdzie czas, a będziesz i ty musiał się spowiadać ze swoich błazeństw. (*do Luizy*)
Odpowiadaj!

L u i z a

Przysięgał mi miłość.

F e r d y n a n d

I dotrzyma przysięgi.

P r e z y d e n t

Czy mam ci dać wyraźny rozkaz, byś milczał? – A ty co na tę przysięgę?

L u i z a
tkliwie

Przysięgłam nawzajem.

F e r d y n a n d
stanowczym głosem

Związek zawarty.

P r e z y d e n t

Każę to echo wyrzucić za drzwi. (*do L u i z y szyderczo*) Ale każdym razem płacił gotówką, co?

L u i z a
po namyśle

Tego pytania nie rozumiem.

P r e z y d e n t
z jadowitym śmiechem

Nie? To dziwne – a ja myślałem, że gdzie dobra robota, tam nie brak i złota, jak mówi przysłowie – i że swoich faworów³⁸ darmo nie rozdajesz. A może pannie sam smak wystarczył, co?

F e r d y n a n d
podrywa się z oburzenia

Co to ma znaczyć, do czarta?

L u i z a
do majora z godnością i wstrętem

Panie baronie, od tej chwili jest pan wolny.

F e r d y n a n d

Ojcie! Uczciwości należy się szacunek, nawet gdyby była w łachmanach.

P r e z y d e n t
śmieje się głośno

A to paradne! Ojciec ma szanować dziewczkę swojego syna...

L u i z a
padając

Święte nieba!

F e r d y n a n d
równocześnie dobywa szpady na ojca, ale ją natychmiast opuszcza

Ojcie! Moje życie do ciebie należało. Od tej chwili dług zapłacony. (*chowa szpadę*) Obligacja na obowiązki synowskie podarta.

³⁸ f a w o r (z łac.) – łaska, szczególne względy.

Miller

który do tej pory stał trwoźnie na boku, zbliża się wzburzony, zgrzytając zębami z wściekłości i strachu

Ekscelencjo! Dziecko jest takie, jakim je ojciec zrobił... Za przeproszeniem ekscelencji... Kto dziecku od dziewczynek wymyśla, ten daje ojcu w pysk... A policzek za policzek, tak się już u nas rachuje... Za przeproszeniem ekscelencji...

Żona

Ratuj, Boże miłosiwy! Teraz i stary zaczyna. Już po nas...

Prezydent

który nie dosłyszał słów Millera

Ten rajfur też się odzywa? Zaraz pogadamy ze sobą, rajfurze.

Miller

Za przeproszeniem ekscelencji! Jestem Miller i jeżeli chce pan posłuchać adagia³⁹, to proszę – ale takim towarem służyć nie mogę. Póki na dworze lafirynd pod dostatkiem, nas, mieszczan, nie zaszczyca się obstalunkami... Za przeproszeniem ekscelencji!

Żona

Na litość boską, chłopie! Gubisz żonę i dziecko...

Ferdynand

Ojcze, występujesz tu w takiej roli, że mogłeś sobie przynajmniej zaoszczędzić świadków.

Miller

zbliża się do Prezydenta i mówi coraz śmielej

Krótko i węzłowato! Za przeproszeniem ekscelencji... Niech sobie ekscelencja rządzi i rozkazuje w kraju, ale tutaj ja jestem pod własnym dachem. Będę się grzecznie kłaniał, gdy przyjdę kiedyś do waszej ekscelencji z jakąś petycją. Ale jeśli gość nieokrzesany, wyrzucę za drzwi... Za przeproszeniem ekscelencji...

Prezydent

blady z wściekłości

Co? co to ma znaczyć?

przystępuje do Millera

Miller

cofa się ostrożnie

Gadam, co mi na język przychodzi, za przeproszeniem ekscelencji.

Prezydent

wściekły

Poczekaj, kanalio! Do więzienia zaprowadzi cię ten zuchwały język. Precz! Przywołać straż z sądu!

kilku z orszaku wychodzi. Prezydent w gniewie biega po pokoju

Ojca do więzienia! Pod pręgierz matkę i córkę ladaco! Już ja znajdę na was paragraf! Odpokutujecie mi za tę zniewagę. Taka hołota będzie mi tu niweczyć cały plan i bezkarnie syna

³⁹ a d a g i o (wł.) – w muzyce: z wolna.

szuć na ojca? Przeklęta zgrajo! Nie spocznę, póki was nie zniszczę do reszty. Całe plemię wypali moja zemsta, ojca, matkę i córkę.

F e r d y n a n d

spokojnie i stanowczo staje między nimi

Nie! Nie bójcie się! Ja tu jeszcze jestem. (*do P r e z y d e n t a z pokorą*) Nie tak pochopnie, ojczu! Jeżeli się ojciec szanuje, to bez gwałtów! Jest takie miejsce w moim sercu, gdzie słowo „ojciec” dotąd nie dotarło. Od tego miejsca z daleka!

P r e z y d e n t

Milcz, nędzniku! Nie doprowadzaj mnie do furii!

M i l l e r

budzi się z głuchego zamyślenia

Pilnuj mi dziecka, żono. Lecę do księcia. Nadworny krawiec... Sam pan Bóg mnie natchnął! Nadworny krawiec uczy się u mnie na flecie. Księżę mnie na pewno wysłucha.

chce odejść

P r e z y d e n t

Księżę, powiadasz? Zapomniałeś, że to ja jestem progiem, przez który musisz przeskoczyć albo kark na nim skrócić? Księżę?... O ty głuptaku! Gdy będzieszgnił na dnie wieży, wtedy spróbuj, wtedy dzwoń łańcuchami i wyj, że ci się stała krzywda!

SCENA SIÓDMA

Ciż, straż sądowa.

F e r d y n a n d

biegnie do L u i z y, która mu w półzywa pada na ręce

Luizo! Pomóżcie! Ratunku! Strach ją powalił.

P r e z y d e n t

do straży, odsłaniając swój order

W imię księcia bierzcie ich! Precz od niej, Ferdynandzie! Zemdląa czy nie zemdląa! Niech no poczuje na karku żelazną obrożę, a w mig ją obudzą kamieniami.

Ż o n a

klęka

Litości, panie ekscelencjo! Litości! Litości!

M i l l e r

podrywa Ż o n ę

Przed Bogiem klękaj, nie przed hyclem!... Skoro już i tak mam iść do więzienia...

P r e z y d e n t

zagryza wargi

Możesz się przeliczyć, chamie! Znajdzie się jeszcze wolna szubienica. (*do straży*) Ile razy mam powtarzać?

straż przystępuje do L u i z y

F e r d y n a n d

podbiega do L u i z y i zasiania ją, groźnie

Czego chcecie? (*bierze szpadę w pochwie i broni przystępu rękojęścią*) Kto się waży ruszyć tę dziewczynę? Chyba, że także swój łeb wynajął sądowi! (*do P r e z y d e n t a*) Niech się ojciec strzeże! Niech mnie ojciec nie zmusza, bym zapędził się za daleko!

P r e z y d e n t

wygrażając straży

Jeśli nie chcecie stracić chleba, tchórze...

straż powtórnie naciera na L u i z ę

F e r d y n a n d

Do wszystkich diabłów! Precz, powiadam! Jeszcze raz... Niech się ojciec zlituje nad sobą samym! Niech mnie ojciec nie doprowadza do ostateczności!

P r e z y d e n t

z gniewem do straży

To tak gorliwie pełnicie służbę, hultaje?

straż naciera silnie

F e r d y n a n d

Trudno, muszę! (*dobywa szpady i rani kilku*) A ty przebacz mi, sprawiedliwości!

P r e z y d e n t

wściekły

Zobaczę, czy ta szpada uderzy i we mnie.

podrywa L u i z ę z krzesła i oddaje jednemu ze straży

F e r d y n a n d

z gorzkim śmiechem

Ojcze, ojcze! Zjadliwie szydzisz ze Stwórcy za to, że nie poznał się na swoich ludziach i z doskonałych katów porobił marnych ministrów.

P r e z y d e n t

do straży

Precz mi z nią!

F e r d y n a n d

Ojcze... A więc dobrze, niech stanie pod pręgierzem, ale razem z majorem, synem prezydenta. Cofasz rozkaz?

P r e z y d e n t

Tym zabawniejsze będzie widowisko. Jazda!

F e r d y n a n d

Ojcze! Rzucę swoją szpadę na tę dziewczynę. Cofasz rozkaz?

P r e z y d e n t

U twojego boku szpada już przywykła do pręgierza. Jazda. Prędzej! Słyszeliście!

F e r d y n a n d

odpycha straż, chwyta L u i z ę jedną ręką, drugą przytyka szpadę do jej piersi
Nim ojciec zhańbi moją żonę, ja ją przebiję. Cofasz rozkaz?

P r e z y d e n t

Proszę – jeżeli klinga twoja dość ostra.

F e r d y n a n d

puszcza L u i z ę i straszonym wzrokiem patrzy w niebo

Boże wszechmogący, jesteś mi świadkiem! Wszystkich ludzkich sposobów użyłem daremnie, teraz muszę spróbować szatańskich. Prowadźcie ją pod pręgierz, ja tymczasem (*krzyczy P r e z y d e n t o w i do ucha*) rozpowiem po całym mieście, w jaki sposób zostałeś prezydentem! *wybiega*

P r e z y d e n t

jak piorunem rażony

Co? Ferdynandzie! Puścić ją!

pędzi za majorem

AKT TRZECI

SCENA PIERWSZA

Salonu Prezydenta. Prezydent i sekretarz Wurm wchodzą.

P r e z y d e n t

To nam się nie udało!

W u r m

Przeczuwałem, że tak będzie, łaskawy panie. Gwałt rozdrażnia szaleńców, ale ich nie nawraca.

P r e z y d e n t

Byłem pewien, że ten zamach poskutkuje. Rozumowałem tak: skoro dziewczyna będzie zhańbiona, on, jako oficer, musi się cofnąć.

W u r m

Doskonale. Gdyby było doszło do zhańbienia.

P r e z y d e n t

A mimo wszystko, kiedy teraz na zimno myślę o tym... Niepotrzebnie dałem się zastraszyć. To była pusta pogroźka – pewnie by tego nigdy nie zrobił.

W u r m

Niech się ekscelencja nie łudzi. Rozdrażniony szaleniec zdolny do każdego głupstwa. Ekscelencja mówił, że pan major stale krzywo patrzy na rządy ekscelencji. Wierzę. Zasady, które przywiózł tu ze szkół, nie bardzo mi się podobały od samego początku. Bo i co komu po fantastycznych mrzonkach o wielkości duszy i zaletach charakteru na dworze, gdzie główna filozofia jest taka: w odpowiedniej chwili i ze sprytem udawać raz wielkiego, raz skromnego! Major zbyt młody i zapalony, by mogła mu przypaść do gustu powolna, kręta droga intrygi. I tylko to podnieca jego ambicje, co wielkie i nadzwyczajne.

P r e z y d e n t

z niechęcią

Ale co te głębokie sentencje pomogą naszej sprawie?

W u r m

Wskażę ekscelencji, gdzie rana, a może też i sposób, jak ją opatrzyć. Niech mi ekscelencja daruje, ale człowieka o podobnym charakterze nie wolno robić swym powiernikiem, a równocześnie swoim wrogiem. Brzydzą go sposoby, którym ekscelencja zawdzięcza swoje stanowisko. Do tej pory może tylko syn w nim trzymał za język oskarżyciela. I niech tylko ekscelencja da mu powody, by się z czystym sumieniem mógł wycofać z obowiązków synowskich; niech ekscelencja nadal atakuje jego uczucia, aż go przekona, że ekscelencja nie jest tym ojcem o wymarzonej tkliwości – wtedy weźmie w nim górę poczucie obywatelskie. Ba, może

już sam szalony pomysł, by złożyć sprawiedliwości ofiarę niepospolitą, działa na niego tak ekscytująco⁴⁰, że byłby gotów zniszczyć własnego ojca.

P r e z y d e n t

Wurm wiedzie mnie na brzeg potwornej przepaści.

W u r m

Pragnę ekscelencję odwieść od tej przepaści. Czy wolno mi mówić otwarcie?

P r e z y d e n t

siada

Jak skazaniec do skazańca.

W u r m

Proszę mi wybaczyć, ale zdaje się, że ekscelencja zawdzięcza prezydenturę wyłącznie przebiegłym fortelom dworskim... więc czemu ekscelencja nie uciekł się do nich także jako ojciec? Przypominam sobie, jak serdecznie ekscelencja owego czasu namówił swego poprzednika na partyjkę pikiety⁴¹, jak ekscelencja spędził u niego pół nocy w przyjacielskim nastroju i w potokach burgunda. A była to właśnie noc, kiedy już miała wybuchnąć wielka bomba, która tego nieboraka zdmuchnęła do nieba. Dlaczego ekscelencja zdradził się przed synem, gdzie siedzi wróg? Pod żadnym pozorem nie powinien był się dowiedzieć, że znamy jego romans. Gdyby pan sprawę podważył od strony dziewczyny, nie straciłby pan serca swego syna. Należało się zachować ostrożnie jak generał, który nie uderza w centrum przeciwnika, lecz dąży do rozkładu drobnych oddziałów.

P r e z y d e n t

Ale jak?

W u r m

W najprostszy sposób. Jeszcze i teraz nie wszystkie pozycje stracone. Niech ekscelencja przez pewien czas zapomni o tym, że jest ojcem. I niech ekscelencja nie wojuje z namiętnością, którą każda przeszkoda tylko jeszcze wzmacnia. Przy własnym ogniu tej namiętności wylęgnie się robak, który ją do cna przetoczy – już ja się o to postaram.

P r e z y d e n t

Jestem ciekawy.

W u r m

Jeżeli znam się na barometrze duszy, pan major jest niepohamowany w zazdrości tak samo jak w miłości. Trzeba na dziewczynę rzucić podejrzenie, prawdopodobne czy nieprawdopodobne. Wystarczy szczypta drożdży, by wszystko doprowadzić do nagłej fermentacji i rozkładu.

P r e z y d e n t

Ale skąd wziąć tę szczyptę?

⁴⁰ e k s c y t u j ą c o – podniecająco.

⁴¹ p i k i e t a – dwuosobowa gra w karty.

W u r m

Doszliśmy do sedna. Przede wszystkim, niech mi ekscelencja wyjawia, jakie skutki grożą ekscelencji, jeżeli major nadal będzie się opierał. I jak dalece zależy ekscelencji na tym, by skończyły się amory z tą mieszczańką, a doszedł do skutku związek z lady Milford.

P r e z y d e n t

I W u r m się jeszcze pyta? Jeżeli rozwieje się małżeństwo z lady Milford, grozi mi całkowita utrata mojej pozycji; a jeżeli będę zmuszał majora, utrata głowy.

W u r m

ożywiony

A teraz proszę, niech ekscelencja raczy posłuchać. Pana majora omotamy podstępem. Zaś przeciwko dziewczynie wytoczymy całą władzę ekscelencji. Podyktujemy jej liścik miłosny do trzeciej osoby i ten liścik w sprytny sposób wsuniemy w ręce majora.

P r e z y d e n t

Obłąkany pomysł! Już widzę, jak dziewczyna na zawołanie pisze własny wyrok śmierci...

W u r m

Musi napisać, jeżeli ekscelencja zostawi mi wolną rękę. Znam jej dobre serce na wylot. Ma ona tylko dwa słabe miejsca, w które trzeba uderzyć, by trafić do jej sumienia: to ojciec i major. Major nie wchodzi w grę zupełnie. Tym łatwiej możemy sobie używać na muzykancie.

P r e z y d e n t

Mianowicie jak?

W u r m

Po wszystkim, co mi ekscelencja opowiadał o zajściu u niego w domu, nietrudno będzie zagrozić staremu sprawą gardłową. Osoba zaufanego i stróża pieczęci jest niejako cieniem samego majestatu. Obrazić tę osobę znaczy obrazić majestat. Te kruczki co prawda podoczeptałem trochę dowolnie, ale można nimi biedaka zapędzić w kozi róg.

P r e z y d e n t

Jednak nie należy posuwać się za daleko.

W u r m

Ależ nie – tylko tyle, ile koniecznie potrzeba, by całą rodzinę wpakować w tarapaty. A więc cichaczem przymkniemy muzykanta. Można zabrać również i matkę, by nieszczęście było bardziej dotkliwe. Potem pogada się o procesie, o szubienicy, o dożywotniej twierdzy – a jedynym warunkiem wypuszczenia starego na wolność będzie list córki.

P r e z y d e n t

Dobrze! Dobrze! Rozumiem.

W u r m

Kocha ojca, powiedziałbym, do szaleństwa. A tu nagle grozi ojcu utrata życia lub najmniej utrata wolności. Jej dogryza sumienie, że właśnie ona stała się przyczyną wszystkiego. Widzi, że i tak majora nie utrzyma przy sobie. No i gdy na dobitkę zaćmimy jej w mózgownicy – co już ja biorę na siebie – to plan uda się na pewno i dziewczyna musi wpaść w pułapkę.

P r e z y d e n t

Ale mój syn? Czy się natychmiast nie dowie? Czy nie rozjuszy się jeszcze bardziej?

W u r m

W tym już moja głowa, łaskawy panie. Ojca i matki nie wypuści się prędzej, aż cała rodzina złoży uroczystą przysięgę, że sprawę zachowa w tajemnicy i oszustwo zatwierdzi.

P r e z y d e n t

Przysięgę? Głupcze, co znaczy przysięga?

W u r m

U nas nic, łaskawy panie. Ale u tych ludzi wszystko. I teraz pan widzi, jak pięknie obydwaj tym sposobem dojdziemy do celu. Dziewczyna straci miłość majora i dobrą sławę. Ojciec i matka spuszcza z tonu, dostatecznie zmiękną od takich uderzeń losu – i w końcu uważać to będą za akt litości, kiedy przywrócę ich córce reputację ofiarując jej małżeństwo.

P r e z y d e n t

śmieje się i kiwa głową

Kapituluję przed twoim łotrostwem! Sieć szatańsko delikatna. Uczeń prześcignął mistrza. Ale teraz pytanie, do kogo adresować ten list? Z kim wplątać ją w podejrzenie?

W u r m

Konieczniewie z takim człowiekiem, który, zależnie od decyzji pańskiego syna, albo wszystko wygra, albo wszystko straci.

P r e z y d e n t

po namyśle

Widzę tu tylko szambelana.

W u r m

wzrusza ramionami

Ja bym tam, szczerze mówiąc, nie zagustował w szambelanie, gdybym był Luizą Miller.

P r e z y d e n t

A dlaczego nie? Dziwię się! Olśniewające stroje... Dokoła niego fala zapachu eau de mille fleurs⁴² i piżma... Tyle tysięcy dukatów w kieszeni, ile głupstw w każdym zdaniu... I to wszystko nie miałyby w końcu zawojować skrupułów tej durnej mieszczanki? O mój drogi! zazdrość tak nie rozumuje. Posyłam po szambelana.

dzwoni

W u r m

Zanim ekscelencja to załatwi i każe przymknąć grajka, pójdę i ułożę wiadomy list miłosny.

P r e z y d e n t

podchodzi do biurka

Przyniesie mi go Wurm do przejrzenia, gdy będzie gotów.

Wurm wychodzi. Prezydent siada i pisze. Wchodzi Kamerdynier. Prezydent wstaje i wręcza mu pismo.

⁴² eau de mille fleurs (fr.) – rodzaj wody kwiatowej.

Ten rozkaz uwięzienia zanieść natychmiast do sądu. I niech który pójdzie i poprosi do mnie szambelana.

K a m e r d y n e r

Jaśnie pan szambelan w tej chwili zajechał.

P r e z y d e n t

Tym lepiej. A powiedz, niech się do tego wezmą z całą ostrożnością, żeby mi nie było zbiegowiska.

K a m e r d y n e r

Według rozkazu, ekscelencjo.

P r e z y d e n t

Zrozumiano? Jak najciszej.

K a m e r d y n e r

Tak jest, ekscelencjo.

wychodzi

SCENA DRUGA

Prezydent i Szambelan.

S z a m b e l a n

w pośpiechu

Wpadam tylko tak en passant⁴³, najukochańszy. Jak się mamy? Jak się czujemy? Dzisiaj wieczorem grają „Dido”, grande opéra⁴⁴, z ekstraordinaryjnym fajerwerkiem... Całe miasto w płomieniach. Pan chyba nie omieszka zobaczyć ten ognisty spektakl? Co?

P r e z y d e n t

Mam ja dosyć fajerwerków we własnym domu, aż mi w końcu cała władza z dymem pójdzie. Kochany szambelan przybywa w samą porę, by mi poradzić, dopomóc w pewnej sprawie, która nas obydwu albo wywyższy, albo zgubi doszczętnie. Niech pan siada.

S z a m b e l a n

Pan mnie przeraża, najśłodszy!

P r e z y d e n t

Jakem powiedział: wywyższy albo zgubi doszczętnie. Zna pan moje projekty co do majora i lady Milford. I pojmuje pan, że musimy nareszcie, pan i ja, zabezpieczyć nasze fortuny. Kalb, wszystko może runąć. Mój Ferdynand nie chce.

S z a m b e l a n

Nie chce... Nie chce... Przecież ja to już rozniosłem po całym mieście! Ten mariaż jest na ustach wszystkich.

⁴³ en passant (fr.) – przechodząc, mimochodem.

⁴⁴ grande opéra (fr.) – wspaniała opera.

P r e z y d e n t

Całe miasto powie, że pan rozpuszcza płotki. Mój syn kocha inną.

S z a m b e l a n

Pan żartuje. A to mi też przeszkoda!

P r e z y d e n t

Przy jego twardym łbie przeszkoda nie do pokonania.

S z a m b e l a n

Czy byłby aż tak niemądry? Chce puścić tę wspaniałą szansę? Co?

P r e z y d e n t

Niech go się pan o to zapyta i posłucha, co panu odpowie.

S z a m b e l a n

Ależ, mon Dieu⁴⁵! co on może odpowiedzieć?

P r e z y d e n t

Że odkryje przed całym światem zbrodnię, która nas wyniosła. Że ujawni nasze sfalszowane listy i rachunki. Że nas obu wyśle na szafot. To może odpowiedzieć!

S z a m b e l a n

Czy pan szalony?

P r e z y d e n t

Nawet już odpowiedział. Nawet już chciał to zrobić, ledwo zdołałem go powstrzymać, i to za cenę najgłębszego upokorzenia. I co pan teraz?

S z a m b e l a n

zbaraniały

Ja już nic nie rozumiem...

P r e z y d e n t

To jeszcze nie wszystko. Bo właśnie donoszą mi moje szpiegi, że tylko patrzeć, jak podczasy von Bock zacznie się starać o lady Milford.

S z a m b e l a n

Pan mnie doprowadza do furii. Kto, powiada pan? Bock, powiada pan? A czy wie pan, że on i ja nienawidzimy się śmiertelnie? A czy wie pan, dlaczego?

P r e z y d e n t

Pierwszy raz słyszę.

S z a m b e l a n

Najukochańszy – to pan usłyszysz i pan ze skóry wyskoczy. Pamięta pan jeszcze ten wielki bal dworski? Mija teraz lat dwadzieścia i jeden... Wie pan, tańczono na nim pierwszy raz an-

⁴⁵ M o n D i e u! (fr.) – mój Boże!

gleza⁴⁶ ... A hrabiemu von Meerschaum gorący wosk z żyrandola pokropił całe domino... Ach, Boże, to pan na pewno pamięta!

P r e z y d e n t

Któż by mógł zapomnieć takie rzeczy?

S z a m b e l a n

A więc – tego wieczoru pręsesa⁴⁷ Amalia w ferworze tańca zgubiła podwiązkę. Oczywiście cała sosjeta w ruchu. Bock i ja... Byliśmy wówczas jeszcze kamerjunkrami⁴⁸... Czołgamy się po całej sali reutowej i szukamy podwiązki. Wreszcie ja ją pierwszy widzę. Bock to zauważył... Bock się na nią rzuca... Wyrywa mi z rąk podwiązkę i – niech pan słucha! Znosi ją pręsesie i sprząta mi sprzed nosa podziękowanie... No – co pan na to?

P r e z y d e n t

Impertynent!

S z a m b e l a n

Sprząta mi sprzed nosa podziękowanie. Myślałem, że zemdleję. Co za podstęp! Co za malicja⁴⁹! Wreszcie odzyskałem rezon, zbliżam się do jej książęcej wysokości i przemawiam w te słowa: „Jaśnie oświecona pani! Bock miał to szczęście doręczyć waszej książęcej wysokości podwiązkę. Ale kto pierwszy podwiązkę zobaczył, ten czuje się w głębi duszy nagrodzony i milczy...”

P r e z y d e n t

Bravo, szambelanie, bravissimo!

S z a m b e l a n

„I milczy...” Ale tego despektu nie zapomnę do sądnego dnia... Nikczemny, służalczy pochlebca. Lecz na tym nie koniec. Kiedyśmy obydwaj rzucali się równocześnie na podwiązkę, Bock strzepnął mi wszystek puder z prawego boku fryzury. I w tym opłakanym stanie przetrwałem do końca balu.

P r e z y d e n t

Właśnie ten człowiek poślubi lady Milford i będzie pierwszą osobą u dworu.

S z a m b e l a n

Pcha mi pan nóż w serce. Będzie? Będzie? Dlaczego będzie? Gdzież konieczność?

P r e z y d e n t

Ponieważ mój Ferdynand nie chce, a nikt inny się nie zjawia.

S z a m b e l a n

I nie widzi pan sposobu, by majora skłonić do decyzji? Choćby to był sposób nie wiem jak absurdalny, nie wiem jak desperacki – wszystko jedno co! Nie przebierajmy, byleby tylko odparować tego przekłętą Bocka.

⁴⁶ a n g l e z – nazwa tańca.

⁴⁷ P r e s e s s a (niem. *Prinzessin*) – księżniczka.

⁴⁸ k a m e r j u n k i e r (niem. *Kammerjunker*) – najmłodszy szambelan dworu.

⁴⁹ m a l i c j a (łac. *malitia*) – złośliwość, chytrość.

P r e z y d e n t
Znam jeden jedyny sposób i ten jest w ręku pana.

S z a m b e l a n
W moim? Jaki?

P r e z y d e n t
Poróżnić majora z dziewczyną.

S z a m b e l a n
Poróżnić? Jak pan to rozumie... I jak ja mam to zrobić?

P r e z y d e n t
Gdy uda nam się rzucić podejrzenie na dziewczynę, a Ferdynand uwierzy – wygramy!

S z a m b e l a n
Na przykład, że kradnie?

P r e z y d e n t
Co znowu? Gdzież by uwierzył? Nie – ale że ona ma jeszcze drugiego amanta.

S z a m b e l a n
A ten drugi?...

P r e z y d e n t
To niby pan, baronie.

S z a m b e l a n
Niby ja? Ja? A czy to szlachcianka?

P r e z y d e n t
Skąd? Co za pomysł? Jest córką grajka.

S z a m b e l a n
Więc mieszcza? Nie uchodzi. Prawda?

P r e z y d e n t
Co nie uchodzi? Terefer! Komu przyjdzie do głowy pytać ładną dziewczynę o antenatów?

S z a m b e l a n
Ale niech pan pomyśli – ja, człowiek żonaty? I moja reputacja u dworu?

P r e z y d e n t
A, to co innego. Przepraszam. Nie wiedziałem, że dla pana więcej znaczy człowiek o nie-naganych obyczajach niż człowiek o nieograniczonych wpływach. Mówmy tedy o czym innym.

S z a m b e l a n
Ależ niech mnie pan zrozumie, baronie! Nie tak to myślałem.

P r e z y d e n t
chłodno

Nie, nie! Przyznaję panu zupełną rację. Ja już też mam tego dosyć. Wyprzęgam. Bockowi gratuluję stanowiska prezydenta ministrów. Na naszym kraju świat się nie kończy. Poproszę księcia o dymisję.

S z a m b e l a n

A ze mną co? Panu łatwo rezonować. Pan ukończył szkoły. Ale ja... mon Dieu.! czym ja będę, gdy mnie jego książęca mość zdymisjonuje?

P r e z y d e n t

Czym? Starą dykteryjką. Modą z zeszłego roku.

S z a m b e l a n

Zaklinam pana, mój drogi, mój złociutki! Niech pan o tym nawet nie wspomina. Może pan ze mną robić, co się panu żywnie podoba.

P r e z y d e n t

Czy pan pozwala użyć swego nazwiska do schadzki, którą panu ta dziewczyna zaproponuje w liście?

S z a m b e l a n

Niech się dzieje wola Boska! Pozwalam.

P r e z y d e n t

I zgubi pan ten liścik tak, by majorowi wpadł w ręce?

S z a m b e l a n

Na przykład... Podczas zmiany warty upuszczę go niby przypadkiem razem z chusteczką do nosa.

P r e z y d e n t

I będzie pan rolę kochanka grał także przed majorem?

S z a m b e l a n

Mort de ma vie⁵⁰! Już ja mu zmyję głowę! Odechce się smarkaczowi raz na zawsze wściabiać nos tam, gdzie ja poluję...

P r e z y d e n t

No – nareszcie sprawa ruszyła składnie. List napiszemy jeszcze dziś. Przyjdzie pan tu po niego przed wieczorem. I będziemy musieli przeciwżyć pańską rolę.

S z a m b e l a n

Skoro tylko złożę szesnaście wizyt o niesłychanej importancji⁵¹. Daruj więc, baronie, że cię natychmiast pożegnam.

wychodzi

⁵⁰ *Mort de ma vie!* (fr.) – wykrzyknik w rodzaju: „Jak mi życie miłe!”

⁵¹ *importancja* – tu: znaczenie, waga.

P r e z y d e n t
dzwoni

Liczę na pańską przebiegłość, szambelanie.

S z a m b e l a n
za drzwiami

A, mon Dieu! Zna mnie pan przecież.

SCENA TRZECIA

Prezydent i Wurm.

W u r m

Muzykant i jego żona gładko i bez hałasu poszli do turmy⁵². Czy ekscelencja zechciałby teraz przeczytać list?

P r e z y d e n t
przeczytawszy list

Wybornie, wybornie, panie sekretarzu! I szambelan też połknął haczyk. Taka trucizna potrafi nawet żelazne zdrowie przemienić w ropę i trąd... A więc wpierw do starego z naszymi propozycjami, potem od razu do córki!

odchodzą w różne strony

SCENA CZWARTA

Pokój w mieszkaniu Millera. Luiza i Ferdynand.

L u i z a

Proszę cię, przestań! Nie wierzę już w dni szczęśliwe. Wszelkie moje nadzieje upadły.

F e r d y n a n d

A moje wezbrały. Ojciec rozgniewany. Ojciec wymierzy w nas wszystkie pociski. Zmusi mnie, bym stał się synem bez serca. A ja już nie panuję nad swoim synowskim sumieniem. Wściekłość i rozpacz w końcu wycisną ze mnie ponurą tajemnicę jego zbrodni. Syn odda własnego ojca w ręce sprawiedliwości... Niebezpieczeństwo doszło do szczytu – i musiało dojść do szczytu, by moja miłość odważyła się na ten olbrzymi skok. Słuchaj, Luizo! Ciśnie mi się do mózgu pomysł wielki i zuchwały jak moje uczucia. Ty, Luizo, ty i ja, i miłość! Czyż w tym kręgu nie mieści się całe niebo? Potrzeba ci jeszcze więcej?

L u i z a

Milcz! Ani słowa! Truchleję na samą myśl o tym, co chcesz powiedzieć.

F e r d y n a n d

Skoro już niczego nie żądamy od świata, to po co nam żebrać o jego zgodę? Po co narażać się, kiedy już nie zyskamy nic, a wszystko możemy stracić?... Czy twoje oczy nie zapalają z

⁵² t u r m a (z łac.) – więzienie.

równą czułością, gdy się przeglądać będą w Renie albo w Łabie, albo w Bałtyku? Moja ojczyzna jest tam, gdzie kocha mnie Luiza. Ślad twoich stóp na piasku bezludnej pustyni bardziej mnie pociąga niż katedra w moim mieście rodzinnym. Czy będzie nam potrzeba przepychu stolic? Gdziekolwiek pójdziemy, Luizo, słońce wschodzi i słońce zachodzi. A to są widowiska, przy których błędą najwznioślejsze poloty sztuki. Jeżeli Boga nie będziemy mogli czcić w świątyni, noc nad nami wstanie pełna dreszczów i natchnienia, zmienny księżyc napomni do pokuty, a tłum gwieździsty pomodli się razem z nami. Myślisz, że zabraknie nam słów o miłości? Jeden uśmiech mojej Luizy napelni je treścią na setki lat; a sen naszego życia zdąży przeminąć, zanim poznam twoje łzy do dna.

L u i z a

A prócz miłości – innych obowiązków nie masz?

F e r d y n a n d

obejmuje ją

Twój spokój, Luizo, to dla mnie obowiązek najświętszy.

L u i z a

bardzo poważnie

Tedy nie mów nic i opuść mnie. Mój ojciec nie ma żadnego majątku, tylko tę jedną córkę. Jutro kończy sześćdziesiąt lat... Nie ujdzie przed zemstą Prezydenta...

F e r d y n a n d

przerywa jej szybko

Pojedzie z nami. Więc nie wymawiaj się, kochana. Idę teraz, sprzedam swoje kosztowności, podejmę pieniądze na nazwisko ojca. Wolno ograbić złodzieja, toć krwawicę całego kraju zgarnął do swej kieszeni. Dziś w nocy, z uderzeniem godziny pierwszej, zajędzie tu powóz. Wsiadacie do niego. I uciekamy!

L u i z a

A za nami pogoni przekleństwo twojego ojca. Nie zapominaj o tym! Takie przekleństwo zawsze się spełni, nawet gdy je wypowie morderca. Takiego przekleństwa wysłucha zemsta niebios nawet z ust złoczyńcy łamanego kołem. Jak upiór będzie nas ścigać nielitościwie od morza do morza. Nie, ukochany, jeżeli tylko grzech mi ciebie ocalić może, mam dość siły, by cię utracić.

F e r d y n a n d

staje i szeptem pośepnie

Czy tak?

L u i z a

Utracić cię... O, myśl bezdennie bolesna i taka potworna, że nieśmiertelną duszę przesyć zdolna i bielą trupią pokryć rumiane oblicze radości. F e r d y n a n d zie, ciebie utracić... Nie – toć człowiek może stracić tylko to, co posiadał, a twoje serce jest własnością twojego rodu. Roszczenia moje były świętokradztwem i ze zgrozą ich się wyrzekam.

F e r d y n a n d

z grymasem na twarzy, zagryza wargi

Wyrzekasz się ich?

L u i z a

Nie! Spójrz mi w oczy, drogi Ferdynandzie. Nie zaciskaj zębów z taką goryczą! Chodź! Otucha w tobie zamiera – pozwól, niech ją mój przykład ożywi. Pozwól, niech ja będę bohaterką tej chwili, niech ja oddam ojcu utraconego syna, niech zrzeknę się związku, który podważyłby fundamenty społeczeństwa i obalił porządek od wieków przez wszystkich uznany. To ja jestem występna. Żywiłam w duszy zuchwałę, płocze marzenia i moje nieszczęście będzie mi karą. Zostaw mi więc to błogie, dumne złudzenie, że poświęciłam się dobrowolnie. Odmówisz mi tej jedynej radości?

F e r d y n a n d w roztargnieniu i gniewie chwycił skrzypce i próbował na nich grać; teraz rwie struny, roztrzaskuje instrument o podłogę i wybucha głośnym śmiechem.

Ferdynand! Boże na niebie! Co to znaczy? Ta godzina wymaga siły, bo to godzina rozstania. Kochany Ferdynandzie, o, znam ja twoje serce; twoją miłość gorącą jak życie i bez granic jak nieskończoność. Ofiaruj ją kobiecie szlachetnej i bardziej godnej – a nie pozazdrości ona najszczęśliwszej na ziemi. (*tlumiąc łzy*) Mnie już nie ujrysz więcej. Próżna, zawiedziona dziewczyna wypłacze swoje utrapienie w samotnych ścianach i nikt się o jej łzy troszczyć nie będzie. Przyszłość przede mną martwa i głucha. Ale jeszcze nieraz zapachną mi zwiedłe kwiaty minionych dni. (*z odwróconą twarzą podaje mu drżącą rękę*) Niech pan bywa zdrow, panie baronie.

F e r d y n a n d

budzi się z odurzenia

Ja uciekam, Luizo. Czy naprawdę nie chcesz jechać ze mną?

L u i z a

siada w głębi pokoju i zasłania twarz obiema rękami

Mój obowiązek każe mi zostać i cierpieć.

F e r d y n a n d

Kłamiesz, zmijo! Ciebie tu co innego wiąże!

L u i z a

głosem zdradzającym bezgraniczną mękę

Niech pan trwa w tym mniemaniu, może to sercu ulży...

F e r d y n a n d

Zimny obowiązek odpycha płomienną miłość? I myślisz; że mnie zwiedziesz taką bajką? Jakiś gach cię tu trzyma, ale biada tobie i jemu, jeśli się sprawdzi moje podejrzenie!

wybiega

SCENA PIĄTA

L u i z a sama. Jeszcze przez jakiś czas siedzi w fotelu bez ruchu i milczy, wreszcie wstaje, idzie na przód sceny i rozgląda się ze strachem.

L u i z a

Czemu rodziców jeszcze nie ma? Ojciec obiecał, że wróci za parę minut, a tu już pięć długich, dręczących godzin... Może go jakiś wypadek... Co się ze mną dzieje, że ledwo oddycham z trwogi?

W u r m wchodzi do pokoju i zatrzymuje się w głębi, niespostrzeżony przez Luizę.

To nic – to tylko złe przywidzenie rozgorączkowanej krwi. Kiedy dusza przelewa się od zgrozy, oczy w każdym kącie widzą straszidła.

SCENA SZÓSTA

L u i z a i sekretarz W u r m.

W u r m
podchodzi bliżej

Dobry wieczór, panno Luizo.

L u i z a

Boże! Kto tu? (*ogłąda się, widzi sekretarza i cofa się przerażona*) Ta straszne, straszne! Moje przeczucie zaczyna się sprawdzać szybko i nieubłaganie... (*do sekretarza, patrząc na niego z pogardą*) Czy pan szuka prezydenta? Już go tu nie ma.

W u r m

Szukam panny Luizy.

L u i z a

To dziwię się, że pan nie idzie na rynek.

W u r m

A dlaczego tam!

L u i z a

By swoją narzeczoną odprowadzić spod pręgierza.

W u r m

Ma pani niesłuszne podejrzenia, panno Miller...

L u i z a

nie bacząc na jego słowa

Czym mogę panu służyć?

W u r m

Przysłał mnie pani ojciec.

L u i z a

przerażona

Ojciec? A gdzie ojciec?

W u r m

Tam, gdzie by wolał nie być.

L u i z a

Na litość boską! Prędzej! Przeczuwam najgorsze. Gdzie ojciec?

W u r m

W więzieniu, jeśli pani chce koniecznie wiedzieć.

L u i z a

patrzac w niebo

Jeszcze i to! Jeszcze to!... W więzieniu? Za co?

W u r m

Na rozkaz księcia.

L u i z a

Księcia?

W u r m

Który obrazę majestatu na osobie swego zastępcy...

L u i z a

Co? Co? Boże wszechmocny!

W u r m

...postanowił przykładowo ukarać.

L u i z a

A więc i to! I to! Prawda – serce moje prócz majora kocha jeszcze kogoś. Nie mogli mu tego przepuścić. Obraza majestatu... Święta Opatrzności, ratuj! O, ratuj moją wiarę, bo upada. A Ferdynand?

W u r m

Ma do wyboru albo lady Milford, albo przekleństwo i wydziedziczenie.

L u i z a

To okropne mieć wolność takiego wyboru! A przecież... Przecież jest bardziej szczęśliwy: nie może stracić ojca. Ale biedny ten, co ojca nie ma... Mój ojciec za obrazę majestatu... Mój ukochany – lady Milford albo przekleństwo i wydziedziczenie... To rzeczywiście godne podziwu! Łotrostwo też może być doskonałe. Doskonałe? Nie! Jeszcze tam czegoś brak. Gdzie matka?

W u r m

W turmie.

L u i z a

z bolesnym uśmiechem

Teraz już po wszystkim! Po wszystkim... I teraz byłabym wolna, wydziedziczona z obowiązków... I z łez... I z radości... Wydziedziczona przez Opatrzność. Już mi one teraz na nic...

ponure milczenie

Ma pan jeszcze jaką nowinę? Niech pan mówi śmiało. Teraz mogę usłyszeć wszystko.

W u r m

Co się dotąd stało, wie panna Luiza.

L u i z a

Znaczy to, że nie wiem, co się jeszcze stanie? (*znów milknie i mierzy sekretarza od stóp do głów*) Biedaku! Smutne obrał pan rzemiosło, ono pańskiego sumienia na pewno nie zbawi. To straszne być sprawcą nieszczęścia, ale najpotworniejsze zwiastować je ludziom, krakać im o niedoli i patrzeć, jak się serce wykrwawia na żelaznym ostrzu przeznaczenia i jak chrześcijanin o Bogu wątpić zaczyna. Niech mnie strzegą niebiosa! Choćby ci za każdą łzę rozpaczy, którą widzisz, płacili po beczce złota – nie chciałabym być tobą. Co się może jeszcze stać?

W u r m

Nie wiem.

L u i z a

Nie chce pan wiedzieć? Nikczemna wieść boi się własnego głosu, ale w grobowym spokoju pańskiej twarzy czai się upiór. Co będzie jeszcze? Mówił pan przedtem, że księżę chce karać przykładowie. Co to znaczy „przykładowie”?

W u r m

Lepiej nie pytać.

L u i z a

Słuchaj, człeczko! Terminowałeś u kata. Bo skądże byś umiał tak z wolna, tak przemyślnie wodzić żelazem po trzeszczących ścięgnach i konające serce długo drażnić mizerykordią, nim je dobijesz? Jaki los czeka ojca? Już w tym, co chętnie mówisz, czuję śmierć. Jak musi boleć to, co zatajasz! Wypowiedz wszystko! Niech mnie zmiażdży od razu cały ciężar. Co czeka mojego ojca?

W u r m

Proces kryminalny.

L u i z a

Co to znaczy? Jestem prosta, nieuczona dziewczyna, mało znam się na tej waszej przeklętej łacinie. Co to jest – proces kryminalny?

W u r m

Sąd na śmierć i życie.

L u i z a

z determinacją

Dziękuję panu.

biegnie do sąsiedniego pokoju

W u r m

zaskoczony

Co się tu święci? Czyżby ta szalona dziewczyna?... Diabli! Chyba nie zamierza... Idę za nią... Odpowiadam za jej życie...

chce iść za Luizą

L u i z a

zarzuciła na siebie płaszcz i wraca

Przepraszam, panie sekretarzu. Zamykam mieszkanie.

Dokądże tak spiesznie? W u r m

Do księcia. L u i z a
chce odejść

Co? Dokąd? W u r m
zatrzymuje ją, przerażony

L u i z a
Do księcia. Nie słyszy pan? Do tego księcia, który chce mojego ojca sądzić na śmierć i życie. Nie! nie chce, ale musi sądzić, bo dopomina się tego paru niegodziwców. Do księcia, który z tym całym procesem o obrazę majestatu ma tyle wspólnego, że pozwala szafować swym majestatem i daje swój książęcy podpis.

W u r m
ze sztucznym śmiechem
Do księcia...

L u i z a
Wiem, czemu się pan śmieje. Ale ja nie idę szukać u niego litości, niech Pan Bóg broni! Chcę mu tylko życie obrzydzić swoim krzykiem. Podobno możni tego świata jeszcze nie wiedzą, co to krzywda, i nie chcą się dowiedzieć. Więc ja księciu opowiem, co to krzywda! Ja mu w koszmarnych obrazach śmierci pokażę, co to krzywda! Ja mu wyciem przejmującym do szpiku kości wylamentuję, co to krzywda! A kiedy mu od tego opisu włosy na głowie staną, krzyknę wreszcie jego książęcej mości do uszu, że w godzinę śmierci pierś bożków tego świata także będzie rzeźić i że na sądzie Ostatecznym Bóg przesieje królów i żebraków przez to samo sito.

chce odejść

W u r m
z szyderczą uprzejmością
Proszę iść, bardzo proszę. Zaiste, panna Luiza nie może zrobić nic rozsądniejszego. Radzę iść i daję słowo, że książę pannę Luizę wysłucha.

L u i z a
zatrzymuje się nagle
Co pan powiedział? Pan sam mi doradza? (*wraca prędko*) Ha! Co ja robię? Chyba coś złego, skoro ten człowiek doradza. – Skąd pan wie, że mnie książę wysłucha?

W u r m
Bo nie będzie musiał tego robić darmo.

L u i z a
Darmo? A jakąż to cenę wyznaczy za jedno ludzkie uczucie?

W u r m

Piękna suplikantka⁵³ będzie dostateczną zapłatą.

L u i z a

staje w osłupieniu, potem złamanym głosem

Boże sprawiedliwy!

W u r m

I chyba panna Luiza przyzna, że za życie ojca łaska książęca pobiera opłatę niezbyt wygórowaną.

L u i z a

zgnębiona chodzi po scenie

Tak! O tak! Obwarowali się ci wasi wielcy panowie przed prawdą, obwarowali swoimi zbrodniami jak mieczami cherubinów. Niech ci Bóg wszechmocny pomoże, mój ojcze! Córka twoja umrze za ciebie, ale nie zgrzeszy.

W u r m

Oj, będzie miał niespodziankę biedny, opuszczony człowiek. „Moja Luiza – powiedział – wtrąciła mnie w nieszczęście. I moja Luiza mnie z niego wyciągnie.” Idę zanieść mu odpowiedź.

udaje, że chce odejść

L u i z a

biegnie za nim, zatrzymuje go

Niech pan czeka! Niech pan czeka! Cierpliwości! – Jak się temu szatanowi spieszy, kiedy chce ludzi doprowadzić do rozpacz. – Wtrąciłam go w nieszczęście. Muszę go wyciągnąć. Niech pan mówi! Niech pan radzi! Co mam robić? Co muszę robić?

W u r m

Jest tylko jeden sposób.

L u i z a

Jaki?

W u r m

I nawet ojciec panny Luizy życzy sobie...

L u i z a

Nawet mój ojciec? Jaki to sposób?

W u r m

Nietrudny dla panny Luizy.

L u i z a

Nie ma dla mnie nic trudnego – prócz hańby.

⁵³ s u p l i k a n t k a (łac. *suplex*) – prosząca, podająca prośbę.

W u r m

Żeby pani chciała uwolnić majora.

L u i z a

Od jego miłości? Czy pan ze mnie drwi? Moja wola ma rozstrzygnąć, kiedy już mnie zmusili?

W u r m

Nie w tym rzecz, kochana panno Luizo. Major musi ustąpić pierwszy, i to dobrowolnie.

L u i z a

Nie będzie chciał.

W u r m

Tak się zdaje. Ale nikt by tu po sukurs nie przychodził, gdyby nie to, że pani jedna zaradzić może.

L u i z a

Czy potrafię go przymusić, by mnie znienawidził?

W u r m

Spróbujemy... Niech panna Luiza siada.

L u i z a

zaniepokojona

Człowieku, co ty knujesz?

W u r m

Proszę usiąść. Proszę pisać. Tu jest pióro, papier i atrament.

L u i z a

siada z najwyższym niepokojem

Co mam pisać? Do kogo mam pisać?

W u r m

Do kata pani ojca.

L u i z a

O tak, umie pan torturować dusze ludzkie. Bierze pióro.

W u r m

dyktuje

„Wielmożny panie...”

L u i z a pisze drżącą ręką

W u r m

„Już upłynęły trzy nieznośne dni... nieznośne dni... a jeszcześmy się nie widzieli.”

L u i z a
zastanawia się, odkłada pióro

Do kogo ten list?

W u r m

Do kata pani ojca.

L u i z a

O Boże!

W u r m

„Niech pan o to ma żal do majora... do majora... który pilnuje mnie przez cały dzień niby Argus⁵⁴.”

L u i z a
zrywa się

To niegodziwość, jakiej dotąd nie było! Do kogo ten list?

W u r m

Do kata pani ojca.

L u i z a
załamując ręce chodzi po scenie

Nie! Nie! Nie! To męczarnia. Boże na niebie! Możesz karać ludzi po ludzku, gdy Cię obrażają, ale dlaczego wepchnąłeś mnie między dwie ostateczności? Dlaczego mną miotasz między śmiercią a hańbą? Dlaczego nasyłasz na mnie tego krwiożerczego szatana? Róbcie, co się wam podoba! Ja tego za nic nie napiszę.

W u r m
bierze kapelusz

Jak pani uważa. To już zależy tylko od jej woli.

L u i z a

Od mojej woli, mówi pan? Od mojej woli? Precz, okrutniku! Zawieszasz ofiarę nad przepaścią piekielną, żądasz czegoś, a potem, bluźnierco, pytasz o jej wolę? Pan dobrze wie, że wrodzone uczucia wiążą nasze serca mocnymi kajdanami... Teraz mi już wszystko jedno. Niech pan dyktuje dalej. Nie zważam na nic. Poddaję się waszej szatańskiej chytrności. Siada znów.

W u r m

„...pilnuje mnie przez cały dzień niby Argus...” Ma pani?

L u i z a

Dalej! Dalej!

W u r m

„Mieliśmy wczoraj prezydenta na karku. Była to krotochwila nie lada, gdy ten poczciwy major bronił mojego honoru.”

⁵⁴ A r g u s (gr.) – w mitologii starożytnej nazwa stuokiego stróża.

L u i z a

O pięknie! Pięknie! Wspaniale!... Tylko tak dalej!

W u r m

„Musiałam udawać, że mdleję... że mdleję, inaczej roześmiałabym się na całe gardło.”

L u i z a

O nieba!

W u r m

„Ale już mi się sprzykrzyła ta cała komedia... ta cała komedia. Chciałabym się wreszcie wyrwać.”

L u i z a

przerywa, wstaje, chodzi po scenie ze spuszczoną głową, jak gdyby czegoś szukała na podłodze, potem siada, znów pisze dalej
„...wreszcie wyrwać.”

W u r m

„Jutro major ma służbę. Niech pan uważa, gdy będzie ode mnie wychodził, i niech pan pośpieszy na nasze umówione miejsce.” Napisała pani: „na nasze umówione miejsce”?

L u i z a

Napisałam wszystko.

W u r m

„Na nasze umówione miejsce – do swej stęsknionej Luizy.”

L u i z a

Brakuje tylko adresu.

W u r m

„Jaśnie wielmożny pan szambelan von Kalb.”

L u i z a

Święta Opatrzności! Nazwisko tak obce moim uszom, jak ten haniebny list obcy mojemu sercu! (*wstaje i długo patrzy na pismo, wreszcie podaje list sekretarzowi, głosem znużonym i słabym*) Niech pan to bierze. Moje uczciwe imię – mojego Ferdynanda – całe szczęście mojego życia – wszystko kładę w pańskie ręce. Jestem żebraczką.

W u r m

Ależ nie! Moja droga panno Luizo, proszę nie desperować. Serdecznie pani współczuję. Może... kto wie?... Potrafiłbym może zapomnieć o pewnych sprawach... Naprawdę, jak mi Bóg miły... współczuję panie Luizie.

L u i z a

patrzy na niego wzrokiem zimnym i przesywającym
Niech pan nie kończy, mój panie! Bo już chciał pan prosić o rzecz okropną...

W u r m
chce ucałować jej rękę

Dlaczego, droga panno Luizo?... a gdyby tak chodziło na przykład o tę śliczną rączkę?

L u i z a
z mocą i groźbą

Bo w noc poślubną bym cię zadusiła, a potem z rozkoszą poszła na stracenie. (*chce odejść, wraca szybko*) Skończyliśmy chyba, mój panie? Czy ptak już wolny?

W u r m

Jeszcze tylko drobiazg, panno Luizo. Musi pani iść ze mną i przysiąc na sakrament, że co-
kolwiek by się stało, uzna pani ten list jako napisany z własnej i nieprzymuszonej woli.

L u i z a

Boże! Boże! I ty sam masz dać pieczęć na tym piekielnym cyrografie?

W u r m ją wyprowadza

AKT CZWARTY

SCENA PIERWSZA

Salon Prezydenta. Ferdynand von Walter, z otwartym listem w ręku, wpada gwałtownie przez jedne drzwi, przez drugie wchodzi Kamerdynier.

Ferdynand

Nie kręcił się tu gdzie ten marszałek?

Kamerdynier

Panie majorze, pan Prezydent pyta o pana majora.

Ferdynand

Do kata! Ja pytam, czy się tu marszałek nie kręcił.

Kamerdynier

Jaśnie pan marszałek siedzi na górze i gra w faraona⁵⁵.

Ferdynand

To niech mi tu Jaśnie pan marszałek, do wszystkich diabłów, schodzi natychmiast!

Kamerdynier wychodzi

SCENA DRUGA

Ferdynand sam, przebiega wzrokiem list, raz staje bez ruchu, raz goni po sali jak opętany.

Ferdynand

To nie może być! Nie może być! W niebiańskiej postaci miałyby tkwić aż tak szatańska dusza? A jednak! Jednak! Gdyby zstąpili wszyscy aniołowie i zaręczyli, że ona niewinna... Gdyby niebo i ziemia, stworzenie i Pan wszelkiego stworzenia tu przede mną stanęli i zaręczyli, że ona niewinna... Nie! To jej pismo... Niebawem, potworne oszukaństwo, jakiego świat nie widział! Więc dlatego z takim uporem sprzeciwiała się ucieczce. Dlatego... Boże, teraz się przebudziłem, teraz otworzyły mi się oczy na wszystko. Dlatego z takim heroizmem zrzekła się praw do mojej miłości... I niewiele brakowało, o, niewiele, a ta maska anioła byłaby oszukała nawet i mnie. *(biega coraz prędzej po pokoju, potem znów staje zamyślony)* Znała mnie do głębi. Umiała odpowiedzieć na każdy mój poryw, na każde drgnienie delikatne i nieśmiałe, na każdy wybuch namiętności. Rozumiała moją duszę w jej nieuchwytnych półtonach. Odczytywała mnie całego w jednej łzie. Wznosiła się ze mną na strome szczyty szaleństwa i stawała przy mnie nad brzegiem zawrotnej otchłani... Boże! Boże! I to wszystko

⁵⁵ faraon – gra hazardowa w karty.

było tylko udawaniem? Udawaniem? Jeżeli kłamstwo ma tak nieprzejrzystą szminkę, to jak się to stało, że żaden czart jeszcze nie węgłał się do nieba?

Kiedym jej wyznał, że miłość nasza w niebezpieczeństwie, fałszywa dziewczyna potrafiła blednąć, że nie poznałbyś się na jej zwodniczej grze. Z jaką zwycięską godnością odparowała zuchwałe szyderstwo mojego ojca, a przecież wiedziała, że jest winna. O, wytrzymała nawet najcięższą próbę uczciwości! Potrafiła zemdleć, obłudnica! Jakim teraz językiem przemawiać będzie szczerłość, skoro dziewczki mdleją na zawołanie? Czym się wykaże niewinność, skoro mdleje rozpusta? Ona wie, co ze mnie zrobiła. Przejrzała całą moją duszę. Gdy zarumieniłem się przy pierwszym pocałunku, mogła patrząc mi w oczy zobaczyć moje serce... Czy nie czuła wtedy nic? Może tylko tryumf swoich sztuczek? Kiedy opętany szczęściem trzymałem ją w uścisku i wraz z nią całe niebo... Gdy zamilkły najdziksze moje pragnienia, gdy we mnie już nie było żadnej innej myśli, jeno wieczność i ta dziewczyna... Boże! ona nie czuła nic? Nie czuła nic, tylko że jej się podstęp udał? Nic, tylko że jej wdzięki nie zawodzą? Zemsto śmiertelna! Ona nie czuła nic, tylko to, że zostałem oszukany?

SCENA TRZECIA

Ferdynand i Szambelan.

Szambelan

wchodzi drobnym kroczeniem do pokoju

Pan podobno okazał chęć, najukochańszy...

Ferdynand

szeptem na stronie

...skrócić kark łotrowi! (*głośno*) Panie szambelanie, ten list widocznie wypadł panu dziś podczas zmiany warty z kieszeni – i na szczęście (*ze złośliwym uśmiechem*) znalazłem go właśnie ja.

Szambelan

Pan?

Ferdynand

Przez zabawny przypadek. Niech pan za to podziękuje Opatrzności.

Szambelan

Pan baron widzi, jak się przestraszyłem.

Ferdynand

Niech pan czyta! Niech pan czyta! (*odstępuje od niego*) Skoro już ze mnie marny kochanek, to może się nadam przynajmniej na kuplera⁵⁶.

Podczas gdy Szambelan czyta, Ferdynand idzie do ściany i zdejmuje dwa pistolety.

Szambelan

rzuca list na stół i chce się wymknąć

Przeklęta sprawa!

⁵⁶ kupler – stręczyciel, rajfur.

F e r d y n a n d

chwyta go za ramię i przyprowadza z powrotem

Z wolna, kochany szambelanie! Zdaje się, że były tam przyjemne nowiny. Żądam nagrody za znalezienie.

pokazuje mu pistolety

S z a m b e l a n

cofa się przerażony

Ależ, najukochańszy! Niechże pan będzie rozsądny.

F e r d y n a n d

z mocą i groźbą w głosie

Aż nadto rozsądny, by takiego łajdaka jak ty wysłać na tamten świat. (*wciska mu do ręki pistolet, równocześnie wyjmując chustkę z kieszeni*) Trzymaj pan chustkę! Tu, za róg! Mam ją od tej dziewczki.

S z a m b e l a n

Przez chustkę? Czy pan szalony? Co pan chce uczynić?

F e r d y n a n d

Łap za ten koniec, powiadam! Inaczej nie trafisz, tchórze! Jak to dygoce! Tchórz! Powinieneś dziękować Panu Bogu, ty tchórze, że wreszcie coś będziesz miał w łepetynie.

S z a m b e l a n chce uciekać

Powoli, jeżeli można grzecznie prosić.

dogania go i zamyka drzwi na zasuwę

S z a m b e l a n

Panie baronie, tutaj w pokoju?

F e r d y n a n d

Myślisz może, że warto z tobą iść za rogatkę? Skarbie mój, tu głośniej wypali. Pierwszy raz w życiu narobisz trochę hałasu. Celuj!

S z a m b e l a n

wyciera pot z czoła

I pan chce narażać swe cenne życie? Pan, taki młody, taki obiecujący?

F e r d y n a n d

Celuj, powtarzam! Ja na tym świecie nie mam już nic do roboty.

S z a m b e l a n

Ale za to ja, najukochańszy!

F e r d y n a n d

Ty, łobuzie? Co ty masz tu do roboty? W braku ludzi udawać człowieka? W jednej sekundzie siedem razy skurczyć się i siedem razy wydłużyć jak motyl na szpilce? Prowadzić ewidencję książęcego stolca? Być błaznem swego pana? A więc dobrze! Zabiorę cię tam jako rzadki okaz bydłęcy. Niby tresowana małpa zatańczysz do wtóru wyjących potępieńców w piekle, będziesz aportował i służył, i swym dworskim konceptem rozweselał rozpacz wiekui-istą.

S z a m b e l a n

Co pan rozkaże, baronie, co pan sobie tylko życzy – ale z daleka z pistoletami!

F e r d y n a n d

Jak on wygląda, ten nieborak! Jak obraza szóstego dnia stworzenia. Jak gdyby oszust chciał podrobić dzieło Wszchemogącego. Tylko szkoda, wielka szkoda tej uncji⁵⁷ mózgu, która się tak marnuje w tym niewdzięcznym czerepie. Pawianowi wystarczyłaby ta uncja, by z niego do reszty zrobić człowieka, a tu nawet na trochę rozumu nie starczy. I z takim ona dzieli swoje serce? To potworność! Oblęd! Z kreaturą, co potrafi raczej obrzydzić grzech niż do grzechu skusić.

S z a m b e l a n

O, wieczne dzięki Panu Bogu! Zaczyna stroić żarty...

F e r d y n a n d

Puszczę mu to płazem. Niechaj i on skorzysta z pobłażliwości ludzkiej, która daruje życie robakowi. Kto go zobaczy, wzruszy ramionami, a może pochwali oszczędną gospodarkę nieba, co nawet jeszcze błotem i padliną potrafi wyżywić stworzenie – co częstuje kruka na szubienicy i dworaka na książęcym śmietniku. Kto go zobaczy, będzie podziwiał wielką policję Opatrzności, która także wśród ludzi wynajmuje sobie padalce i pająki do roznoszenia trucizny. Ale (*znów rozgniewany*) po moim kwiecie niech mi to robactwo nie pełza, bo je (*chwytając S z a m b e l a n a i szamoce nim na wszystkie strony*) tak i tak, i jeszcze raz tak rozgniotę na miazgę!

S z a m b e l a n

wzdycha na stronie

O mój Boże! Jakby się tu wymknąć! Siedzieć o sto mil stąd w Bicêtrze⁵⁸ w Paryżu – byle nie przy tym człowieku!

F e r d y n a n d

Łotrze! Jeżeli straciła swą czystość! Łotrze! Jeżeliś ty sobie używał, gdy ja patrzyłem w nią jak w bóstwo – (*z rosnącym gniewem*) jeżeliś sobie folgował, gdy mnie się zdawało, że jestem dla niej bóstwem... (*nagle urywa, potem groźnie*) Łajdaku! Lepiej by ci uciekać do piekła niż nawet w niebie spotkać się z moim gniewem. Przyznaj się! Jak daleko zaszedłeś z tą dziewczyną?

S z a m b e l a n

Niech pan mnie puści! Opowiem wszystko.

F e r d y n a n d

O, chyba przyjemniej żyć z tą dziewczyną w rozpuście niż z inną wzdychać i marzyć. Gdyby tylko chciała, potrafiłaby obniżyć wartość duszy i cnotę przemienić w grzech. (*przykładając Szambelanowi pistolet do piersi*) Jak daleko zaszedłeś z nią? Przyznaj się albo strzele!

S z a m b e l a n

To nieprawda... Przecież to wszystko nieprawda! Minutę cierpliwości! Pana oszukano!

⁵⁷ u n c j a – dwunasta część funta.

⁵⁸ B i c ê t r e – szpital i zakład dla umysłowo chorych niedaleko Paryża, przeznaczony dla najbiedniejszej ludności.

F e r d y n a n d

Musisz mi to przypominać, kanalio! Jak daleko z nią zaszedłeś? Przyznaj się albo zginiesz!

S z a m b e l a n

Mon Dieu! Mój Boże! Przecież powiadam... Niechże pan posłucha! To ojciec... własny, rodzony ojciec...

F e r d y n a n d

coraz bardziej zawzięty

Córkę tobie przefrymarczył? I jak daleko z nią zaszedłeś? Mów, bo cię zamorduję!

S z a m b e l a n

Pan oszalał. Pan nie chce słuchać. Ja jej nigdy nie widziałem. Ja jej nie znam. Ja nic o niej nie wiem.

F e r d y n a n d

cofa się

Nigdy jej nie widziałeś? Nie znasz jej? Nic o niej nie wiesz? Luiza Miller zginęła przez ciebie. Ty się jej zapierasz trzy razy za jednym tchem? Precz, nikczemna kreaturo! (*uderza go pistoletem i wypycha za drzwi*) Nie dla takich jak ty proch wynaleziono!

SCENA CZWARTA

F e r d y n a n d

po długim milczeniu, w którym twarz jego zdradza straszne postanowienie

Tak! Zginęłaś, nieszczęsna dziewczyno! Ja zginąłem! I ty też. Tak, na Boga jedyne! Skoro ja zginę, zginiesz i ty. Sędzio świata! Ty mi jej nie odmawiaj! Dziewczyna do mnie należy. Dla niej oddałem Ci wszystek Twój świat, dla niej zrzekłem się całej wspaniałości Twojego stworzenia. Zostaw mi tę dziewczynę! (*składa ręce z przejęciem*) Czy Stwórca, taki bogaty i taki potężny, poskapi mi tej jednej duszy – i to najgorszej, którą stworzył? Dziewczyna do mnie należy! Ja dla niej byłem kiedyś Bogiem, teraz będę szatanem. (*patrzy uporczywie w jeden kąt*) Przez całą wieczność wpleciony w nią w jedno koło potępienia – mój wzrok wbity w jej wzrok – włosy nasze jeżą się od tej samej męczarni i nasze głuche wycia zlewają się w jeden jęk. I wtedy powtarzać jej będę swoje dawne wyznania i zaśpiewam jej to wszystko, co przysięgała. Boże! Boże! Straszne to będą zaślubiny – ale zaślubiny na wieki!

chce szybko odejść, gdy wchodzi Prezydent

SCENA PIĄTA

Ferdynand i Prezydent.

F e r d y n a n d

cofa się

O – mój ojciec!

P r e z y d e n t

Doskonale, że się spotykamy, synu! Przychodzę oznajmić ci miłą wiadomość, której się na pewno nie spodziewasz, drogi synu. Siadajmy sobie.

F e r d y n a n d

wpatruje się długo w ojca

Ojcze! (*coraz bardziej wzruszony podchodzi i chwyta ojca za ręce*) Mój ojczu! (*całuje go w rękę i klęka*) O mój Ojcze!

P r e z y d e n t

Co ci jest, chłopcze? Wstań! Ręka twoja gorąca, drży.

F e r d y n a n d

w silnym uniesieniu, z zapalem

Przebac mi moją niewdzięczność, ojczu! Jestem wyrodkiem. Nie poznałem się na twojej dobroci. Tyś postępował ze mną po ojcowsku. O, serce twoje przeczuwało wszystko... Teraz za późno... Przebacz! Przebacz! I pobłogosław mnie, ojczu!

P r e z y d e n t

z niewinną miną

Wstań, mój synu! Opamiętaj się, bo mówisz zagadkowo.

F e r d y n a n d

Ojcze, ta Luiza Miller... Tak, ojciec zna się na ludziach. Gniew ojca był wtedy taki sprawiedliwy, taki szlachetny, taki szczerze ojcowski. Tylko że serdeczna gorliwość ojca nie dotarła do celu... O, ta Luiza!

P r e z y d e n t

Nie dręcz mnie, synu! Przeklinam swoją surowość. Przyszedłem cię przeprosić.

F e r d y n a n d

Mnie przeprosić? Raczej mnie przeklnij. Twój sprzeciw był mądry, twoja surowość ostrzeżeniem niebios... Ojcze, Luiza Miller...

P r e z y d e n t

To dobra, kochana dziewczyna. Odwołuję swoje nierozważne podejrzenie. Zyskała mój szacunek.

F e r d y n a n d

zrywa się wstrząśnięty

Co? Ojciec także? I ojciec także! Nieprawda, ojczu? Ta dziewczyna to sama niewinność? I kochać ją to takie ludzkie!

P r e z y d e n t

Powiedz raczej w ten sposób: nie kochać jej to zbrodnia.

F e r d y n a n d

Niesłychane! Potworne! A przecież ojciec zwykle poznaje serca ludzkie na wskroś. I ojciec spoglądał na nią nawet okiem nienawiści. Taka obłuda nie ma przykładu. Ojcze, owa Luiza Miller...

P r e z y d e n t

Godna zostać moją córką. Cnotę jej uważam za przodków, jej piękność za majątek. Moje zasady ustępują przed twoją miłością... Weź sobie Luizę!

F e r d y n a n d

Jeszcze tylko to! Bywaj zdrow, mój ojczu!
wybiega jak opętany z pokoju

P r e z y d e n t

idzie za nim

Zostań! Zostań! Dokąd pędzisz?

wychodzi

SCENA SZÓSTA

Paradna sala u Lady Milford. Lady Milford i Zofia wchodzi.

L a d y

A więc widziałaś ją? Przyjdzie?

Z o f i a

Natychmiast. Była jeszcze w przyodziewku domowym i chciała się prędko przebrać.

L a d y

Nic mi o niej nie mów... cicho! Jakbym była zbrodniarką, tak boję się ujrzeć tę szczęśliwą istotę, której serce czuje z moim sercem niepokojąco zgodnie. A jak przyjęła moje zaproszenie?

Z o f i a

Wydawała się zaskoczona, chwilę dumiała patrząc na mnie i milczała. Już byłam przygotowana na wykręty, tymczasem ona ze spojrzeniem, które mnie zdumiało, mówi: „Twoja pani rozkazuje mi to, o co jutro chciałam ją prosić sama.”

L a d y

bardzo niespokojna

Zostaw mnie, Zofio. Żałuj mnie. Będę się rumienić ze wstydu, gdy ona okaże się zwyczajną kobietą – a jeżeli coś więcej, zwątpię do reszty.

Z o f i a

Ależ, Jaśnie pani! Nie w takim nastroju należy przyjmować rywalkę. Niech Jaśnie pani pamięta, kim pani jest. Niech Jaśnie pani wezwie na pomoc swoje pochodzenie, swoje nazwisko, swoją władzę. Niech się Jaśnie pani stara, by wrażenie pani dumnej postaci podniosło serce jeszcze bardziej dumne.

L a d y

roztargniona

Co plecie ta niemądra dziewczyna?

Z o f i a
złośliwie

A może to tylko przypadek, że akurat dzisiaj błyszczą na Jaśnie pani najkosztowniejsze brylanty? Przypadek, że akurat dziś przystraja Jaśnie panią najbogatsza suknia? Że w przedpokojach roi się od hajduków i paziów? I że Jaśnie pani czeka na tę mieszczkę w książęcej sali swego pałacu?

L a d y
chodzi po scenie rozgoryczona

To okropne, nieznośne! Że też kobiety od razu wywęszą wszystkie słabości kobiece... Ale jak nisko, o, jak nisko musiałam upaść, że mnie to nędzne stworzenie odgadło na wylot!

S ł u ż ą c y
wchodzi

Panna Miller.

L a d y
do Z o f i i

Idź sobie! Oddal się! (*gdy Z o f i a się ociąga, ze złością*) Precz! Rozkazuję!

Z o f i a wychodzi, L a d y M i l f o r d przechadza się po salonie.

To dobrze. Bardzo dobrze, że jestem rozdrażniona. Taką właśnie chciałam być. (*do Służącego*) Panna Miller niech wejdzie.

Służący wychodzi, L a d y M i l f o r d siada na sofie i przybiera pozę wytworną a nie-dbałą.

SCENA SIÓDMA

L u i z a M i l l e r wchodzi nieśmiało i staje z dala. L a d y M i l f o r d siedzi do niej plecami i przygląda się L u i z i e długo i uważnie w stojącym naprzeciw lustrze. Po chwili.

L u i z a

Jaśnie pani, czekam na rozkazy.

L a d y
obróciła się ku L u i z i e i ledwo skinęła głową, chłodno i obojętnie

Aha, już jest. To zapewne panna... panna... zaraz, jak nazwisko?

L u i z a
trochę dotknięta

Miller nazywa się mój ojciec, a Jaśnie pani posłała po jego córkę.

L a d y

Prawda, prawda. Przypominam sobie... To ta biedna córka muzykanta, o której niedawno była mowa. (*po chwili, na stronie*) Bardzo interesująca, ale przecież nie piękność... (*głośno do Luizy*) Proszę bliżej, moje dziecko. (*znów na stronie*) Oczy przywykłe do płaczu, o, jakże kocham te oczy... (*znów głośno*) Jeszcze bliżej, zupełnie blisko, moje dziecko... Zdaje się, że się mnie boisz.

L u i z a

z godnością, tonem stanowczym

Nie, Jaśnie pani. Pogardzam zdaniem ludzi.

L a d y

na stronie

Widzicie mi! Ten upór ma od niego. (*głośno*) Polecono mi pannę. Podobno umie coś nie-coś i ma ogładę. Owszem, chętnie uwierzę... A zresztą, któż ośmieliłby się posądzić tak gorliwego protektora o kłamstwo?

L u i z a

Jaśnie pani, nie mam nikogo, kto by się trudził szukać mi chlebodawczyni.

L a d y

sztucznie

Trudził się dla klientki czy dla chlebodawczyni?

L u i z a

Jaśnie pani, to dla mnie za mądre.

L a d y

Ma więcej sprytu, niżby się człowiek po takiej szczerzej twarzy spodziewał. Imię Luiza, tak? A ile lat, jeżeli wolno wiedzieć?

L u i z a

Skończyłam szesnaście.

L a d y

wstaje szybko

Teraz się wydało! Szesnaście lat! Pierwsze uderzenie namiętności. Na nietkniętym fortepianie pierwszy srebrny dźwięk wtajemniczenia. Nic nie urzeka bardziej. – Siadaj. Spodobałaś mi się, moja kochana. – I on także kocha pierwszy raz w życiu. Cóż dziwnego, że spotkały się promienie jednej jutrzeńki? (*bardzo uprzejmie, bierze ją za rękę*) A więc tak, chcę ci pomóc do szczęścia, moja droga. – To tylko błogie marzenia, które ulatują szybko, nic więcej. (*głaszcze Luizę po twarzy*) Moja Zofia wychodzi za męża. Zajmiesz jej miejsce. – Szesnaście lat! W tym wieku uczucia nie potrwają długo.

L u i z a

całuje L a d y M i l f o r d z uszanowaniem w rękę

Dziękuję Jaśnie pani za tę łaskę, chociaż jej przyjąć nie mogę.

L a d y

znów z oburzeniem

Widzicie ją, jaka mi dama! Inne dziewczęta twojego pochodzenia są szczęśliwe, gdy się im trafia taka służba. A o czym marzy moja panna, że się tak ceni? Czy palce za delikatne do roboty? A może to ta twarzyczka robi cię taką hardą?

L u i z a

Jaśnie pani, ta twarz to nie moja zasługa, ani to pochodzenie.

L a d y

A może myślisz, że tak będzie wiecznie? Biedne stworzenie, ktokolwiek ci to wmówił – ktokolwiek – ten zażartował z ciebie i z siebie. Twoje lica nie złożone w ogniu. Co ci się w lustrze wydaje pełne i trwałe, jest tylko cieniutką, powierzchnią pozłotą, która twojemu wielbicielowi prędzej czy później zostanie na palcach. A co zrobisz potem?

L u i z a

Będę żałować wielbiciela, który kupił diament, bo zdawało mu się, że jest oprawny w złoto.

L a d y

udając, że tego nie słyszy

Dziewczyna w twoim wieku ma zawsze dwa lustra, jedno jest prawdziwe, a drugie to jej wielbiciel. Niedelikatną szczerość jednego naprawia drugie uprzejmym pochlebianiem. Lustro wytyka ci brzydką bliznę po ospie. A on mówi: „Gdzie tam! To przecież tylko śliczny dołeczek.” Wy, młode dziewczyny, wierzycie zwierciadłu tylko wtedy, gdy on wam to potwierdzi. Biegacie od jednego do drugiego, aż w końcu pomieszacie jedno z drugim... Czemu się tak na mnie gapisz?

L u i z a

Przepraszam Jaśnie panią. Żal mi tylko tego rubinu, który tam błyszczący tak wspaniale... On na pewno nie wie, z jaką gorliwością jego właścicielka potępia próżność.

L a d y

rumieni się

Bez uwag, moja wścibska panno!... Jeżeli więc nie liczysz na swoją urodę, to czemu nie chcesz przyjąć jedynej służby, gdzie nauczysz się dobrych manier, poznasz świat i gdzie możesz się wyzbyć swych mieszczańskich przesądów?

L u i z a

I także swojej mieszczańskiej niewinności, Jaśnie pani?

L a d y

To dziecinny zarzut. Najgorszy rozpustnik nie waży się sądzić kobiety w sposób nieprzyzwoity, jeżeli ona sama go do tego nie zachęci. Pokaż, kim jesteś! Zachowuj się godnie i uczciwie, a ręczę, że żadna pokusa nie będzie groźna dla twojej młodości.

L u i z a

Jaśnie pani pozwoli, że ośmielę się powątpiewać o tym. Pałace pewnych dam bywają często widownią najzuchwalszych zabaw. I kto uwierzy córce biednego muzykanta, że miała odwagę wejść w sam środek tej zarazy, a jednak chce uniknąć zarażenia? Komu to przyjdzie do głowy, że lady Milford wynajęła sobie skorpioną, by kłuł jej sumienie? Że wyrzuca pieniądze tylko po to, by mogła się rumienić na każde zawołanie? Jaśnie pani, jestem szczerą. Gdy będzie się pani wybierać na zabawę, mój widok panią zniechęci; gdy pani będzie z niej wracać, stanie się jeszcze bardziej nieznośny. O, lepiej, sto razy lepiej, gdy nas rozdziela lądy i morza. Niech się Jaśnie pani ma na baczności. Bywają godziny opamiętania, bywają chwile przesyty. Sumienie pani zacznie kąsać skrucza niby wąż – i co wtedy? Jakaż to dla pani tortura ujrzeć na twarzy swej służącej ten pogodny spokój, którym zwykle niewinność wynagradza czyste serce? (*cofa się o krok*) Jeszcze raz – niech mi Jaśnie pani daruje, bardzo proszę.

L a d y
chodzi po scenie wzburzona

Niezdolność, że mi to mówi. Ale bardziej niezdolność, że ma słuszność. (*przystępuje do Luizy i patrzy jej prosto w oczy*) O nie, dziewczyno, ty mnie nie oszukasz. Zasad nie głosi się z takim zapalem. W twoich arcymądrych rozważaniach czai się osobisty powód, i to bardzo żywy. On ci zożydza służbę właśnie u mnie, on ci tak język rozpuścił. (*zawzięcie*) Ale ja ten powód muszę wytropić!

L u i z a
ze spokojem i godnością

A jeśli go pani nawet wytropi? A jeśli pani z pogardą trąci i przebudzi robaka, któremu Bóg dał żądło przeciw krzywdom? Ja się nie boję pani zemsty. Kiedy cały świat ginie, skazaniec na szafocie już sobie tylko kpi ze swych katów. Moje strapienie doszło do takich granic, że go zwiększyć nie potrafi nawet wykrzyk szczerzej prawdy. (*po chwili, bardzo poważnie*) Pragnie mnie pani wyrwać z nizin mojego pochodzenia. Tej podejrzananej łaskawizny rozpatrywać nie będę. Chcę się tylko zapytać, z jakiej to przyczyny zalicza mnie Jaśnie pani do rzędu tych głupich istot, które wstydzą się swego pochodzenia. Jakim prawem narzuca mi się pani ze swym dobrodziejstwem, nie pytając, czybym je przyjęła od pani... Ja już zdołałam wydrzeć z serca wszelkie marzenia o uciechach świata. Już przebaczyłam szczęściu jego przedwczesne obietnice. Czemu pani przypomina mi je znów. Sam Pan Bóg chowa swoje promienie przed okiem wszystkich istot, by nawet najwyższy seraf nie przeląkł się swej ciemności – a tylko ludzie są tak okrutnie miłosierni! Ale czemu to Jaśnie pani wysyła swoje rozślawione szczęście na żebry do biedaków, by podziwiali i zazdrościli? Czy pani radość potrzebuje rozpachy jako tła? O, raczej niech mi pani pozwoli być ślepą, bo może wtedy mogłabym się pogodzić z nieludzkim losem. Drobnny owad w swej kropelce wody czuje się jak w siódmym niebie, błogo i szczęśliwie, póki mu ktoś nie opowie o morzu pełnym okrętów i wielorybów... Ale pani podobno chce, bym była szczęśliwa? (*po chwili podchodzi szybko do L a d y M i l f o r d i pyta niespodzianie*) A pani sama jest szczęśliwa?

L a d y M i l l o r d odstepuje od Luizy zaskoczona, L u i z a idzie za nią i wskazuje ręką na jej serce.

Czy to serce jest tak samo roześmiane jak ten pani wielki świat? I gdybyśmy się tak teraz miały zamienić – serce na serce i los na los – gdybym zapytała z dziecinną niewinnością, klnąc się na pani sumienie... gdybym się zapytała jak rodzonej matki – czyby mi pani doradzała taką zamianę?

L a d y
bardzo poruszona, rzuca się na sofę

To niesłychane! To nie do pojęcia! Nie, dziewczyno, nie! Tej mądrości na świat ze sobą nie przyniosłaś. Ani się jej nie nauczyłaś od ojca, bo ona zbyt młodzieńcza. Mów prawdę! Po twoich słowach poznaję innego nauczyciela.

L u i z a
złośliwie, patrząc jej prosto w oczy

Dziwię się, że Jaśnie pani dopiero teraz pomyślała o tym nauczycielu, mimo że pani już przedtem ofiarowała mi służbę u siebie...

L a d y
zrywa się

To nie do wytrzymania! – A więc tak, bo czuję, że się z tobą nigdy nie uporam. Znam go, wiem wszystko, wiem nawet więcej, niżbym chciała wiedzieć! (*nagle urywa, potem z coraz*

większą gwałtownością, która dochodzi prawie do furii) Ale waż mi się tylko, nieszczęsna istoto, waż się kochać go jeszcze czy być przez niego kochana. Co mówię? Spróbuj myśleć o nim albo być częścią jego myśli! Biedna dziewczyno, ja mam władzę, okrutną władzę, i jak Bóg na niebie, zginiesz!

L u i z a
z determinacją

Zginę bez ratunku, gdy go pani zmusi, by panią kochał.

L a d y

Rozumiem cię... Ale niech mnie nawet nie kocha. Przewycięzę uczucie, którego mi wstyd. Każę milczeć własnemu sercu, ale i twoje zniszczę. Skały i otchłanie rzucę pomiędzy was. Niczym furia przejdę przez wasz raj. Imię moje spłoszy wasze pocałunki, jak widmo płoszy zbrodniarza. Twoje młode, kwitnące ciało zwiędnie i rozsypie się w jego uścisku niby mumia. Ja przy nim szczęścia nie znajdę, ale ty też nie. Zapamiętaj to sobie, nędzna kreaturo, że zniszczyć cudze szczęście – to także szczęście.

L u i z a

Tego szczęścia pani nie dozna, bo panią już wyprzedzono. Niech pani nie szkaluje własnego serca. Pani nie potrafi urzeczywistnić tych pogroźek. Pani niezdolna dręczyć dziewczyny, która skrzywdziła panią tylko tym, że czuje tak jak pani. Ale ja kocham panią za to uniesienie.

L a d y
opamiętała się

Gdzie jestem? Gdzie byłam? Po co się zdradziłam? I to przed kim? – O Luizo, szlachetna, wielka, anielska dziewczyno! Przebacz szalonej! Nie zrobię ci krzywdy, moje dziecko. Żądaj, czego tylko chcesz, rozkazuj! Na rękach nosić cię będę. Zostanę twoją przyjaciółką, twoją siostrą. Jesteś uboga – patrz! (*odpina kilka brylantów*) Sprzedam te klejnoty, sprzedam suknie, konie, powozy... Oddam ci wszystko – tylko wyrzeknij się Ferdynanda!

L u i z a
cofa się zdumiona

Czy ta kobieta urąga mojej rozpaczy? A może nie miała udziału w tym potwornym spisku? Ach – więc mogłabym udawać bohaterkę i ze swej bezbronności zrobić zasługę... (*trwa chwilę w zamyśleniu, potem przystępuje do L a d y M i l f o r d, chwyta ją za rękę i patrzy jej długo w oczy*) Więc niech go pani bierze. Dobrowolnie oddaję pani człowieka, którego wyrwały mi z broczącego serca piekielne obcegi. Może pani nawet nie wie o tym, że zburzyła pani raj dwojga kochanków. Że pani gwałtem rozłączyła dwa serca, które Bóg ze sobą związał. Że pani złamała dziewczynę Bogu tak samo miłą, jak pani mu jest miłą – przez Boga stworzoną dla szczęścia tak jak pani – dziewczynę, która wielbiła Boga tak jak pani, a teraz przestanie wielbić go na zawsze. Pani, nawet rozdeptany robak w śmiertelnym skurczu woła do wszechmogącego Boga... Więc On nie będzie patrzył obojętnie, jak mordują dusze, które są pod Jego opieką... Teraz Ferdynand należy już do pani. Teraz niech go pani sobie zabierze. Niech pani pędzi w jego objęcia! Niech go pani zawlecze do ołtarza! Ale niech pani wie o jednym: wasz uścisk poślubny rozerwie nagle widmo samobójczyni! Bóg się nade mną zmiłuje... Nie mam innego wyjścia...

wybiega

SCENA ÓSMA

L a d y M i l f o r d sama. Stoi wstrząśnięta i odurzona, ze wzrokiem wpatrzonym w drzwi, którymi wyszła, L u i z a; wreszcie budzi się z odrętwienia.

L a d y

Co to było? Co mnie spotkało? Co powiedziała ta biedaczka? O nieba! Jeszcze rozdierają mi ucho straszne słowa potępienia: „Niech go pani sobie zabierze!” Kogo, nieszczęsna? Twój dar przedśmiertny? Koszmarną spuściznę twojej rozpaczki? Boże! Boże! Czy aż tak jestem poniżona? Czy aż tak nisko upadłam z tronu mej dumy, że muszę czekać, zgłodniała, na to, co mi konająca żebraczka wspaniałomyślnie ofiarować raczy? „Niech go pani sobie zabierze!” I to wyrzekła takim głosem i z takim spojrzeniem... O Emilio! Czyś po to wyniosła się ponad granice kobiecej słabości? Po to walczyłaś o pyszny tytuł wielkiej Angielki, by teraz gmach twego honoru runął przed wyższością pospolitej mieszczyki? Nie, dumna nędzarko! Nie! Emilię Milford można zawstydzić, ale znieważyć – nigdy! I ja także mam dość siły, by zrezygnować. (*majestatycznym krokiem chodzi po sali*) Ustąp teraz, słaba, cierpiąca kobieto! Znikajcie, błogie, złociste obrazy miłości! Niech mnie wiedzie tylko wspaniałomyślność. Ta para kochanków zginie, chyba że lady Milford wyrzeknie się swych praw i zgaśnie w sercu księcia. (*po chwili ożywiona*) Stało się. Oto usuwam groźną przeszkodę. Zrywam wszystkie więzy z księciem. Miłość szaloną wyrywam z serca. I w twoje objęcia padam, cnoto – przyjmij skruszoną córkę, Emilię. O, jak mi teraz dobrze... Nagle czuję się lekka, uroczysta... Ze szczytów swej potęgi zstąpię dzisiaj piękna niby zachodzące słońce. Niechaj wraz z moją miłością upada moje panowanie. I tylko serce niech mi towarzyszy na tę dumną banicję. (*idzie zdecydowanym krokiem do biurka*) To musi stać się zaraz, natychmiast, nim obraz ukochanego znów rozpocznie krwawe zapasy w moim sercu.

siada i zaczyna pisać

SCENA DZIEWIĄTA

L a d y M i l f o r d, K a m e r d y n e r, Z o f i a; potem S z a m b e l a n, na koniec służba.

K a m e r d y n e r

Szambelan von Kalb czeka w przedpokoju z poleceniem od księcia.

L a d y

zajęta pisaniem

Zadygoce książęca kukła. Jego dworaki będą szaleć. Zakipi w całym kraju.

K a m e r d y n e r i Z o f i a

Jaśnie pani, przybył szambelan.

L a d y

odwraca się do nich

Kto? Co? Doskonale! Ten rodzaj ludzi nadaje się właśnie do noszenia ciężarów. Bardzo go proszę.

K a m e r d y n e r wychodzi

Z o f i a

zbliża się z lękiem

Jaśnie pani, boję się, że to zbytnia śmiałość, ale...

L a d y pisze bez przerwy, bardzo szybko

Luiza Miller biegnie przez przedpokój jak opętana... Pani cała w pąsach... Mówi sama ze sobą...

L a d y wciąż pisze

Boję się... Co się tu stało?

S z a m b e l a n wchodzi i kłania się kilkakrotnie plecami L a d y M i l f o r d; ponieważ ta go nie spostrzega, S z a m b e l a n podchodzi bliżej, staje za jej fotelem, stara się uchwycić rąbek jej sukni, całuje go i szepce nieśmiało.

S z a m b e l a n

Serenissimus...⁵⁹

L a d y

posypuje list piaskiem i odczytuje go sobie

Będzie mi zarzucał czarną niewdzięczność. Powie, że byłam opuszczona przez wszystkich, że to on mnie wydobyl z nędzy. Z nędzy? Ohydna zamiana! Podrzyj swój rachunek, uwodź cielu! Mój wieczny wstyd odplaci to stokrotnie.

S z a m b e l a n

podchodzi na próżno z wszystkich stron do L a d y M i l f o r d

Milady, zdaje się, w lekkiej dystrakcji⁶⁰... Muszę się tedy ośmielić... (*bardzo głośno*) Serenissimus przysłała mnie z zapytaniem, czy milady dziś wieczór woli bankiet, czy komedię niemiecką?

L a d y

wstaje ze śmiechem

Jedno z dwojga, mój aniele. Na razie proszę zanieść księciu ten list na wety. (*do Z o f i i*) Zofio, każ zaprzęgać i zwołaj mi do tej sali całą służbę.

Z o f i a

wychodzi zaniepokojona

O Boże, mam złe przeczucie. Co się tu będzie działo?

S z a m b e l a n

Milady trochę échauffée?⁶¹

L a d y

Tym łatwiej obejdzie się bez kłamstwa. Uwaga, panie szambelanie! Jest wolne miejsce.

Gdy S z a m b e l a n podejrzliwie spojrzal na pismo. Niech pan czyta, niech pan czyta. Życzę sobie, by treść tego listu znały nie tylko dwie osoby.

S z a m b e l a n

czyta; tymczasem zbiera się w głębi służba L a d y M i l f o r d

⁵⁹ S e r e n i s s i m u s (łac.) – Jaśnie oświecony, najjaśniejszy.

⁶⁰ d y s t r a k c j a – roztargnienie.

⁶¹ é c h a u f f é e (fr.) – podniecona, zdenerwowana.

„Najłaskawszy panie! Umowa, którą księżę tak lekkomyślnie zerwał, nie może mnie wiązać dłużej. Warunkiem mojej miłości było uszczęśliwienie kraju. Od trzech lat mnie oszukiwano. Teraz zasłona spadła mi z oczu. Gardzę łaskami, po których ściekają łzy poddanych. Niech księżę tę miłość, której ja mu już odwzajemnić nie mogę, ofiaruje swemu płaczącemu krajowi i niech się uczy od a n g i e l s k i e j księżniczki mieć litość dla swego n i e m i e c k i e g o ludu. Za godzinę będę po tamtej strome granicy. Joanna Norfolk.”

W s z y s c y s ł u ż ą c y
szeptą zaskoczeni

Po tamtej stronie granicy?

S z a m b e l a n
wystraszony, kładzie list na stole

Niech mnie Pan Bóg strzeże, najukochańsza, łaskawa pani! Poseł musiałby tak samo drzeć o swoją skórę jak autorka listu.

L a d y

To już pańska rzecz, moje złoto. Niestety wiem, że pan i tacy jak pan dusicie się, gdy macie powiedzieć to, co zrobili inni. Radzę tedy upiec ten świstek w pasztecie z dziczyzny, to go serenissimus znajdzie na talerzu...

S z a m b e l a n

Ciel!⁶² Co za zuchwałość! Niech się pani zastanowi... Niech pani rozważy, jak bardzo się pani naraża na niełaskę...

L a d y

zwraca się do zebranej służby i mówi następujące słowa ze szczerym rozrzewaniem

Przeraziliście się, dobrzy ludzie. Czekać z niepokojem, jak się ta zagadka rozwikła. Zbliżcie się do mnie, moi kochani! Służyliście mi uczciwie i szczerze. Patrzyliście częściej w moje oczy niż do mojej sakiewki. Jedyłą waszą namiętnością było posłuszeństwo, jedyną dumą – moja wdzięczność. Niestety, wspominając waszą wierną służbę, będę musiała wspominać także swoje poniżenie. Bo to już taki smutny mój los, że kiedy wy byliście szczęśliwi, ja żyłam w udreće. (*ze łzami w oczach*) Zwalniam was, moje dzieci... Nie ma już lady Milford – a Joanna Norfolk jest za biedna, by spłacić swój dług... Skarbnik niech rozda między was zawartość mojej szkatuły. Pałac pozostanie własnością księcia. Najbiedniejszy z was odejdzie stąd bardziej bogaty niż jego pani. (*podaje im ręce, wszyscy po kolei całują ją ze wzruszeniem*) Ja was rozumiem, moi dobrzy ludzie. Żegnajcie mi, żegnajcie na zawsze! (*odrywa się od nich, chce odejść. S z a m b e l a n zastępuje jej drogę*) Jeszcze tu jesteś, nieboraku?

S z a m b e l a n

który przez cały czas spoglądał z zupełną tępotą na list

I ja mam ten list złożyć najjaśniejszemu panu do najdostojniejszych rąk?

L a d y

Tak, nieboraku, do najdostojniejszych rąk. I masz mu oznajmić do najdostojniejszych uszu, że skoro nie mogę pielgrzymować boso do Loreto⁶³, będę ciężko pracowała na kawałek chleba, by oczyścić się z tej hańby, zem kiedyś nad nim panowała.

wychodzi szybko

⁶² C i e l ! (fr.) – Nieba!

⁶³ L o r e t t o – miejsce pielgrzymek w środkowych Włoszech.

AKT PIĄTY

SCENA PIERWSZA

Pokój u muzykanta. Zmierzch. L u i z a siedzi milcząca i bez ruchu w najciemniejszym kącie pokoju, z głową opuszczoną na ramię. Długa, głęboka cisza. M i l l e r wchodzi z latarnią w ręku, stroskany, świeci po pokoju, ale L u i z y nie spostrzega. Wreszcie odkłada kapelusz i stawia latarnię.

M i l l e r

Tu jej też nie ma. Tu też nie... Biegałem po wszystkich ulicach, byłem u wszystkich znajomych, dopytywałem się przy wszystkich rogatkach – nikt nie widział mojego dziecka. (*po chwili*) Cierpliwości, biedny, utrapiony ojcze! Poczekaj do rana, a może twoja jedynaczka wypłynie na brzeg. Boże! Boże! Ubóstwiałem córkę z całego serca, to prawda... Ale kara zbyt ciężka. Ojcze w niebiesiech... Zbyt ciężka. Nie będę szemrał, ale kara ciężka!
przygnębiony, osuwa się na krzesło

L u i z a

wychodzi szybko ze swojego kąta

To dobrze, biedny starcze. Przygotuj się zawczasu, że mnie utracisz.

M i l l e r

zrywa się

Jesteś tu, moje dziecko? Jesteś? Ale dlaczego taka samotna i bez światła?

L u i z a

O, wcale nie jestem samotna. Gdy wokoło mnie robi się zupełnie ciemno, najprzyjemniejsze wtedy miewam odwiedziny.

M i l l e r

Niech cię Pan Bóg strzeże! Tylko robak, co toczy sumienie, kocha godzinę puszczyków. Grzech i złe duchy stronią od światła.

L u i z a

Także i wieczność, ojcze, która bez świadków rozmawia z duszą.

M i l l e r

Córko! Córko! Co ty wygadujesz?

L u i z a

wstaje i podchodzi bliżej

Stoczyłam ciężką walkę. Ojciec o tym wie. Ale Bóg dodał mi siły. I walka skończona. Ojciec, mówią, że jesteśmy słabe i ułomne. Niech ojciec nie wierzy. Drżymy na widok pająka, ale czarną zmoreń zgnilizny z uśmiechem tulimy do łona. Tak jest, ojcze. Twoja Luiza jest wesola.

Miller

Wiesz, moje dziecko, wolałbym, żebyś szlochała. Mnie by to było milsze.

Luiza

O, jak ja go podejść, ojczy! Jak ja oszukam tego tyrana! Miłość jest bardziej przebiegła aniżeli złość – i odważniejsza. O tym nie wiedział ów człowiek ze swą biedną gwiazdą. Tak, oni mają spryt, dopóki chodzi o głowę, ale gdy tylko wdadzą się z sercem, wtedy te łotry tracą rozum. Przysięgą chciał zapieczętować swoje oszustwo? Ojczy, przysięgi wiążą tylko żywych, ale śmierć otwiera nawet żelazne kajdany sakramentu. Ferdynand dowie się, jaką była jego Luiza. Czy ojczy chciałby doręczyć list? Ojczy będzie tak dobry?

Miller

List? A komu, moja córko?

Luiza

Dziwne pytanie... Cała nieskończoność i całe moje serce nie mogą pomieścić w sobie jednej jedynej myśli o nim. Do kogóż innego miałabym pisać?

Miller

zaniepokojony

Słuchaj no, Luizo, ja otworzę ten list.

Luiza

Jeżeli ojczy chce... Ale niewiele się z niego dowie. Litery leżą tam jak zimne trupy i zmartwychwstaną tylko, gdy miłość na nie spojrzy.

Miller

czyta

„Oszukali cię, Ferdynandzie! Łotrostwo nie do wiary rozdarło związek naszych serc, ale straszna przysięga zamknęła mi usta, a twój ojczy wszędzie porozstawiał swoich szpiegów. Ale jeżeli masz odwagę, mój ukochany... Znam ja jedno miejsce, gdzie żadna przysięga nie wiąże i gdzie ludzie nie pójda podsłuchiwać twojego serca...”

urywa i patrzy Luizie w oczy ze smutkiem

Luiza

Czemu ojczy tak na mnie patrzy? Niech ojczy doczyta do końca.

Miller

„...Ale musisz mieć dużo odwagi, by wstąpić na tę ciemną drogę, gdzie przyświeca ci tylko twoja Luiza i Bóg. Musisz stać się wszystkim miłością, zanim pójdziesz, musisz zostawić tutaj nadzieje i szumne pragnienia. Bo tam potrzebne ci tylko serce. Chcesz pójść, to wyrusz w drogę, gdy zegar u Karmelitów wybije godzinę dwunastą. Boisz się – to wykreśl słowo silny z rejestru męskich cech, bo pokonała cię słaba dziewczyna.” (*Miller odkłada list, osłupiałym wzrokiem, pełnym bólu patrzy długo przed siebie, potem zwraca się do córki i mówi głosem cichym, złamanym*) Co to za miejsce, córko?

Luiza

Ojczy nie wie? Ojczy naprawdę nie wie? Dziwna rzecz. To miejsce takie znane. Ferdynand tam trafi.

Miller

Hm... Mów wyraźnie.

Luiza

Nie mam na podorędziu miłej nazwy dla tego miejsca. Więc niech się ojciec nie przełęknie, kiedy mu powiem szpetną. Tym miejscem... Czemu też miłość nie stwarzała nazw? Dałaby mu najpiękniejszą. Tym miejscem, mój drogi ojcze... Ale pozwól mi skończyć... Tym miejscem jest grób.

Miller

chwiejąc się idzie do fotela

O mój Boże!

Luiza

podchodzi do ojca i podtrzymuje go

Ależ, ojcze! Ten strach budzi tylko samo słowo. Zapomnij o nim, a ujrzysz ślubne łoże, nad którym poranek rozwiesił złote kobierce, a wieczna wiosna kolorowe girlandy. Tylko lamentujący grzesznik mógł śmierci nawymyślać od kościotrupów. Bo to przecież miły, uroczy chłopiec, pełen wdzięku jak Amor na obrazkach, tylko że nie taki zdradliwy. To cichy, usłużny duch, który duszę pątnictwem steraną za ramię przeprowadza przez miedzę czasu; który otwiera czarodziejski pałac wiekuistego szczęścia, uśmiecha się, kłania i znika.

Miller

O czym ty myślisz, dziewczyno? Chcesz targnąć się na swoje życie?

Luiza

Niech ojciec tak nie mówi. Czy porzucić ludzi, którzy mi nie sprzyjają, i udać się wcześniej tam, dokąd już tak długo tęsknię – czy to grzech?

Miller

Samobójstwo jest najszkaradniejszym grzechem, moje dziecko. I jedynym, za który żałować nie można, bo tutaj śmierć i zbrodnia w jednej dokonują się chwili.

Luiza

zatrwożona

Okropna myśl! Ale tak nagle się to nie stanie. Wskoczę do rzeki, ojcze, i tonąc będę Boga wszechmocnego prosić o zlitowanie.

Miller

Jednym słowem – chcesz żałować, żeś ukradła, gdy już dobrze zabezpieczysz swój łup? Oj, córko, córko! Strzeż się i nie drwij z Pana Boga w chwili, kiedy będziesz go potrzebowała najbardziej. To już źle z tobą, bardzo źle. Zapomniałaś o modlitwie i Bóg miłosierny rękę swoją cofnął od ciebie.

Luiza

Czy miłość jest zbrodnią, ojcze?

Miller

Gdy miłujesz Pana Boga, miłość twoja nigdy nie zabrnje aż do zbrodni. Córko moja jedyna, ogromny ciężar zwałaś mi na barki, ogromny – może mnie zepchnie w grób. Ale nie chcę ci ranić serca jeszcze bardziej... Córko, gadałem tu przedtem głośno, bo myślałem, że jestem sam. Słyszałaś... i czemu miałbym się z tym kryć? Ubóstwiałem cię, Luizo, jeżeli masz w sobie jeszcze trochę miejsca na uczucie dla ojca, to słuchaj. Byłaś mi wszystkim. Więc zmarnujesz teraz nie tylko to, co twoje, ale i wszystko, co moje. Widzisz – włos mój siwieć zaczyna. Powoli zbliża się pora, kiedy to my, ojcowie, chcielibyśmy już podjąć kapitał złożony w sercach naszych dzieci. Chcesz mi go sprzeniewierzyć, Luizo? Chcesz umknąć z całym dobytkiem swego ojca?

L u i z a

bardzo przejęta, całuje go w rękę

Nie, ojcie. Schodzę z tego świata bardzo u ojca zadłużona, ale na tamtym świecie odpłacę to ojcu w trójnasób.

Miller

Obyś się tylko nie przeliczyła, moja kochana. (*bardzo poważnie i uroczyście*) Bo czy my się jeszcze spotkamy – tam? Widzisz, jakoś zbladła... Luizo, sama wiesz, że cię na tamtym świecie nie dogonię, bo nie śpieszę przedwcześnie jak ty.

L u i z a dygocąc rzuca się w jego objęcia; M i l l e r tuli ją gorąco do piersi aż ciągnie dalej głosem zaklinającym.

O córko moja, córko zbłąkana, a może już nawet stracona! Weź sobie słowa ojcowskie do serca. Ja cię upilnować nie mogę. Nóż ci odbiorę, to zabijesz się igłą. Ustrzegę cię od trucizny, to się udusisz sznurkiem paciorków. Luizo... Luizo... Mogę cię jeszcze tylko napominać. Czy ty się odważysz przed tronem Tego, co wszystko wie, stanąć z kłamstwem na ustach: „Dla Ciebie, Stwórco, tutaj przychodzę”, a równocześnie twoje grzeszne oczy szukać będą tego, co ci tu na świecie był bożyszczem. A może ten twój ubóstwiany będzie się jak ty czołgać niby robak u stóp Wiecznego Sędziego? Może zburzy w tej godzinie zwątpień całą twoją ufność i każe ci, byś ze swoją zawiedzioną nadzieją błagała Boga o litość, której ten nędznik sam dla siebie wyzebrać nie zdoła? I co wtedy? (*dobitniej, głośniej*) Powiedz, co wtedy, biedna dziewczyno? (*obejmuje ją mocno, przez chwilę patrzy jej przenikliwie w oczy, potem szybko od niej odstępuje*) Więcej ani słowa! (*podnosi prawicę*) Nie odpowiadam dłużej za tę duszę, Sędzio w niebiesiech! A ty rób, co chcesz. Złóż gładkiemu młodzieniaszkowi tę ofiarę ku radości twoich szatanów i ku strapieniu twoich dobrych duchów! Ruszaj, zabierz wszystkie grzechy swoje, weź na siebie jeszcze ostatni, najstraszliwszy, a jeżeli ci i ten ciężar za mały, to niech go dopełni moje przekleństwo. Tu masz nóż – wbij go w swoje serce i (*z głośnym płaczem, odchodząc*) w serce ojca!

L u i z a

zrywa się i pędzi za nim

Czekaj, czekaj, ojcie! Dobre serce okrutniejszą ma siłę niż wściekłość tyrana... Co począć? Nie mogę! Co mam uczynić?

Miller

Jeżeli pocałunki twojego majora bardziej palą niż łyzy twojego ojca – umieraj!

L u i z a

po bolesnej walce, bardziej stanowczo

Ojcze! Masz moją rękę. Ja chcę... Boże! Boże! Co robię? Czego właściwie chcę? Ojcze, przysięgam... Biada mi, biada! Cokolwiek uczynię, muszę zgrzeszyć... Ojcze, niech tak będzie... Ferdynand... Bóg na nas patrzy... Oto niszczę ostatnią o nim myśl! Drze list.

M i l l e r

uradowany, rzuca się jej na szyję

Teraz jesteś znów moją córką. Patrz mi w oczy! O kochanka jesteś uboższa, ale za to uszczęśliwiłaś ojca. (*obejmuje ją z płaczem i śmiechem*) Dziecko! Dziecko! Nie zasłużyłem na ciebie przenigdy. Bóg jeden wie, jakim sposobem dostał się ten anioł mnie, prostemu człowiekowi... Moja Luizo, moje niebo! O Boże, mało znam się na kochaniu, ale że przestać kochać to wielka męka – tyle już wiem!

L u i z a

Tylko uciekać z tych stron, ojcze, uciekać z tego miasta, bo tu moje przyjaciółki będą się ze mnie naigrawać – tu moje dobre imię stracone na zawsze. Uciekać! Jak najdalej od miejsca, gdzie jest tyle śladów minionego szczęścia. Jeżeli to możliwe, uciekać stąd!

M i l l e r

Dokąd tylko pragniesz, moja córko. Boży chleb rośnie wszędzie – i Pan Bóg postara się także o przychylne uszy dla moich skrzypek. A choćbym miał nawet stracić wszystko... Historię twojej niedoli ułożę w piosnkę i do lutni będę śpiewał o dobrej córce, która własne serce poświęciła dla ojca. Pójdziemy żebrać z tą balladą od drzwi do drzwi, a z rąk ludzi płaczących jałmużna pysznie smakować będzie.

SCENA DRUGA

C i z i F e r d y n a n d.

L u i z a

pierwsza spostrzega wchodzącego i z krzykiem rzuca się M i l l e r o w i na szyję
Boże, to on! Jestem zgubiona.

M i l l e r

Gdzie? Kto?

L u i z a

z odwróconą twarzą wskazuje majora i tuli się do ojca
To on! To on! Niech ojciec patrzy... Przyszedł mnie zamordować.

M i l l e r

spozstrzega majora, cofa się

Co? Pan baron tutaj?

F e r d y n a n d

zbliża się powoli, staje naprzeciw L u i z y i przypatruje się jej długo i badawczo; po chwili mówi

Dziękuję jej sumieniu, że się zdradziło zniemacka. Bolesne to wyznanie, ale nagłe i szczerze... oszczędza mi tortury. Dobry wieczór, panie Miller.

Miller

Ależ, na litość Boską! Czego pan baron tu jeszcze szuka? Co pana do nas sprowadza? Co znaczy to najście?

Ferdynand

Pamiętam, był czas, że ktoś tu obliczał dzień na sekundy; że swoją tęsknotę wieszał u wąg zbyt powolnego zegara; że ktoś tu czyhał na chwilę, w której miałem się zjawić. Więc skąd teraz to zdziwienie?

Miller

Niech pan baron odejdzie, niech pan odejdzie. Jeżeli choć isierka litości została w pańskim sercu – jeżeli pan nie chce dręczyć tej biedaczki, którą pan ponoć kochał, to niech pan uchodzi stąd, niech pan nie zostaje ani chwili dłużej! Błogosławieństwo Boże opuściło ten dom, odkąd pańska stopa w nim powstała. Pan sprowadził nieszczęście pod mój dach, gdzie dotąd gościła radość. Czy panu tego jeszcze mało? Czy chce pan rozdzierać ranę, którą pan zadał córce przez to przekłete przychodzenie do nas?

Ferdynand

Dziwny z pana ojciec. Ja właśnie przyszedłem, by pańską córkę ucieszyć dobrą nowiną.

Miller

Pewnie nową nadzieją na nową rozpacz. Odejdź, wysłanniku niedoli! Mina pańska przeczy pańskim słowom.

Ferdynand

Wreszcie nadeszło spełnienie moich pragnień. Lady Milford, najgroźniejsza przeszkoda naszej miłości, w tej chwili uciekła z kraju. Mój ojciec zgodził się. Los przestaje nas prześladować. Nad nami wschodzą pomyślne gwiazdy. Oto przychodzę po narzeczoną, by dotrzymać słowa i zaprowadzić ją do ołtarza.

Miller

Córko, słyszysz, co mówi? Słyszysz, jak sobie drwi z twoich straconych nadziei. Pięknie to, pięknie, panie baronie, gdy uwodziciel ostrzy swój język na ofierze własnego łotrostwa.

Ferdynand

Pan myśli, że to żarty? Na honor, nie żartuję! Co powiedziałem, jest tak uczciwie jak miłość mojej Luizy. I tak święcie tego dotrzymam, jak ona swej przysięgi, bo nie ma dla mnie nic bardziej świętego. Jeszcze pan nie wierzy? A moja piękna małżonka jeszcze się nie zapłoniła z radości? To szczególne. W tym domu, widać, kłamstwo jest chlebem powszednim, skoro prawda nie znajduje wiary. Nie wierzycie moim słowom? Więc macie tu dowód na piśmie.

ruca Luizie list do Szambelana. Luiza poznaje list, blednie i pada

Miller

który tego nie spostrzegł, do majora

Co to znaczy, panie baronie? Ja pana nie rozumiem.

Ferdynand

prowadzi go do Luizy

Za to ona mnie zrozumiała.

Miller
klęka przy niej

O Boże! Moja córko!

Ferdynand

Błada jak śmierć. Teraz dopiero podoba mi się pańska córka. Tak piękną jeszcze nigdy nie była ta skromna, pocziwa córeczka. Z tą trupią twarzą... Tchnienie sądu ostatecznego zrywa powłokę z każdego kłamstwa, więc zdarło i tę maskę, którą kuglarka potrafiła oszukać nawet aniołów niebieskich. To jej najpiękniejsza twarz. To dopiero jej prawdziwa twarz. Niechaj ją pocałuję.

chce podejść do Luizy

Miller

Nie zbliżaj się! Precz! Nie drażnij ojcowskiego serca! Od pana pieszczot obronić jej nie mogłem, ale od zniewagi obronię!

Ferdynand

Czego chcesz, staruchu? Z tobą nie mam nic wspólnego. Nie mieszaj się do sprawy, która i tak już przegrana. A możeś ty bardziej przebiegły, niż się wydawało moim łatwowiernym oczom? Możeś doświadczenie swych sześćdziesięciu lat ofiarował córce do jej bezceństw? Możeś siwy włos zhańbił kuplerstwem? Jeżeli tak nie jest, to połów się i umieraj, biedny starcze. Jeszcze nie za późno. Jeszcze możesz skonać w błogim złudzeniu, że byłeś szczęśliwym ojcem. Bo za chwilę strącisz jadowitą żmiję do piekła, skąd jest rodem. Za chwilę przeklniesz podarek, przeklniesz ofiarodawcę i z tym bluźnierstwem pójdziesz do grobu. (*do Luizy*) Mów, nieszczęsna! Pisałaś ten list?

Miller

Na miłość Boską, córko! Pamiętaj! Pamiętaj!

Luiza

Och, ten list, ojciec...

Ferdynand

Dostał się w niewłaściwe ręce, prawda? Błogosławię ten przypadek, więcej wskórał niż roztropność i mędrkowanie. Dziś dokaże więcej niż spryt wszystkich mędrków świata. Przypadek? Co mówię? Opatrzność czuwa, gdy wróbel zdechnie, a miałyby spać, gdy maska opada z twarzy szatana? Żądam odpowiedzi! Pisałaś ten list?

Miller

szeptem do Luizy, błagalnie

Odwagi! Odwagi, moja córko! Jeszcze tylko ten jeden raz powiedz „tak” i będzie po wszystkim.

Ferdynand

A to wyborne! Ojciec także oszukany! Wszyscy oszukani! Patrzcie, jak ta bezwstydnica stoi tam i nad własnym głosem nie panuje, by skłamać ostatni raz. Przysięgnij na Boga sprawiedliwego! Na Boga jedyne! Pisałaś ten list?

L u i z a

po strasznej walce, podczas której bezradnie spogląda na ojca, mocnym, stanowczym głosem

Pisałam.

F e r d y n a n d

przerażony

Luizo! Nie! Na moją duszę! Kłamiesz!... Na torturach nawet niewinny przyznaje się do zbrodni, których nigdy nie popełnił. Pytałem zbyt gwałtownie. Luizo, mów! Przyznałaś się, bo pytałem zbyt gwałtownie?

L u i z a

Mówiłam prawdę.

F e r d y n a n d

Nie, powiadam. Nie i nie! Tyś tego nie pisała. To przecież nie twoja ręka. A nawet gdyby tak – czyż trudniej sfalszować pismo aniżeli zabić czyjeś serce? Powiedz mi prawdę, Luizo. Albo nie, nie, nie mów! Mogłabyś powiedzieć „tak” i wtedy byłbym zgubiony. Kłam, Luizo, kłam! O – wymyśl naprędce jakieś kłamstwo i szepnij mi je z niewinną miną anioła... Przekonaj tylko moje uszy i oczy, to wystarczy – a serce oszukuj, ile chcesz, Luizo! Niechby tam sobie cała prawda uciekła ze świata wraz z tym szepceniem, a uczciwość niech zgina w dworskim ukłonie swój nieugięty kark. (*nieśmiałym, drżącym głosem*) Pisałaś ten list?

L u i z a

Na Boga! Na Boga sprawiedliwego! Na Boga jedyne! Pisałam.

F e r d y n a n d

po chwili, z wyrazem głębokiego bólu

Kobieto! Kobieto! Jaką ty masz teraz twarz! Z tą twarzą możesz rozdawać raje, a nawet wśród potępieńców odbiorcy nie znajdziesz. Czy ty wiedziała, Luizo, czym dla mnie byłaś? Na pewno nie. Nie, nie mogłaś wiedzieć, że byłaś mi wszystkim. Wszystkim! To takie polite, marnie słowo: „wszystko”, ale nawet wieczność z trudem tylko może je okrążyć i drogi światów znajdując w nim swój kres. Wszystko! I tak zuchwale z tym igrałaś... Zgroza!

L u i z a

Słyszał pan moje wyznanie, panie baronie. Potępiłam się sama. A teraz niech pan idzie. Niech pan opuści dom, w którym pan był tak bardzo nieszczęśliwy.

F e r d y n a n d

Dobrze! Dobrze! Już jestem spokojny. Mówią, że spokojny jest także kraj niedoli, po którym przeszła zaraza. I ja jestem spokojny. (*po chwili namysłu*) Jeszcze mam do ciebie jedną prośbę, Luizo, ostatnią. Głowa mnie pali od febry. Chciałbym się ochłodzić. Możesz mi przyrządzić szklankę lemoniady?

L u i z a wychodzi.

SCENA TRZECIA

Miller i Ferdynand chodzą przez chwilę w milczeniu po przeciwległych stronach pokoju.

Miller

przystaje wreszcie i patrzy na majora ze smutkiem

Kochany panie baronie, nie wiem, czy to potrafi złagodzić pańskie strapienie, ale wyznam panu, że mi pana serdecznie żal.

Ferdynand

Daj pan temu pokój! (*przechadza się*) Panie Miller, już prawie nie pamiętam, w jakich okolicznościach znalazłem się w pańskim domu. Jak się to zaczęło?

Miller

Ależ, panie majorze! Chciał się pan u mnie uczyć na flecie. Nie pamięta pan?

Ferdynand

szybko

I poznałem pańską córkę. (*po chwili*) Nie dotrzymał pan słowa, stary przyjacielu. Ułożyliśmy się, że u pana kupię sobie spokój dla moich samotnych godzin. Pan mnie oszukał i sprzedał mi skorpiony. (*spostrzegłszy gest Millera*) Nie, niech się pan nie boi, stary przyjacielu. (*wzruszony rzuca mu się na szyję*) Pan temu nie winien.

Miller

ocierając łzy

Bóg mi świadkiem.

Ferdynand

znów chodzi po pokoju, pogrążony w myślach

Bóg igra z nami w sposób osobliwy i niepojęty. Na cienkich, niedostrzegalnych nitkach często wiszą groźne ciężary. Gdyby to człowiek mógł przeczuwać, że w tym owocu czyha na niego śmierć... Ha, gdyby mógł przeczuwać... (*chodzi szybciej, potem z przejęciem chwytą rękę Millera*) O mój kochany! Drogo zapłaciłem panu za te parę lekcji na flecie, a jednak nie zyska pan na tym nic. Pan też traci... I straci może wszystko. Przygnębiony odstepuje od niego.

Miller

stara się ukryć swoje poruszenie

A lemoniady jak nie ma, tak nie ma. Pójdę zobaczyć, jeśli pan pozwoli...

Ferdynand

To nic pilnego, kochany panie Miller... (*szeptem na stronie*) Szczególnie dla ojca. – Niech pan zostanie. O co to miałem zapytać? Wiem. Czy Luiza to pańska jedynaczka? Więcej dzieci pan nie ma?

Miller

ciepło

Nie mam więcej, panie baronie, i nie chciałbym mieć więcej. Bo z niej to taka dziewczyna, że całe serce ojcowskie zagarnie. Miłość swoją roztrwoiłem na nią bez reszty.

Ferdynand

wstrząśnięty do głębi

Ha!... No niech pan już idzie zobaczyć, co z tą lemoniadą, kochany panie Miller.

Miller wychodzi

SCENA CZWARTA

Ferdynand sam.

Jedyne dziecko... Czujesz, co to znaczy, morderco? Jedyne, morderco! Słyszałeś? Jedyne! Ten człowiek nie ma nic na Bożym świecie, tylko swoje skrzypce i tę jedynaczkę. Chcesz mu ją zabrać? Zabrać? Zabrać ostatni szeląg żebrakowi? Kalece chcesz pogruchotać kule? Czy się odważę?... Potem stary będzie szybko wracał do domu, bo ledwo może się doczekać, by na twarzy dziecka całe swoje szczęście odnaleźć... I wejdzie tu – a ona leży, zwiędły kwiat, umarły, brutalnie stratowany... Ostatnia, jedyna, najwyższa nadzieja. Ha, i staje ojciec nad nią, staje – i nagle wyda mu się, że cały świat zatrzymał oddech. I struchlałe oczy starca zaczynają w tej bezgranicznej pustce szukać Boga... I nie znajdą Boga, i powrócą z niczym. Boże! Boże! Przecież i mój ojciec ma też tylko jednego syna – jedynego syna, lecz nie jedyne bogactwo. (*po chwili*) Zresztą, cóż on traci? Czy taka dziewczyna, dla której najświętsze uczucia miłości były tylko zabawką, potrafi ojca uszczęśliwić? Nie. Na pewno nie. I powinien mi być wdzięczny za to, że rozdepczę żmiję, nim pokąsa jeszcze i jego.

SCENA PIĄTA

Ferdynand, Miller wraca.

Miller

Zaraz panu przyniesie, panie baronie. Biedactwo siedzi tam i zapłakuje się na śmierć. Wypije pan w tej lemoniadzie także jej łzy.

Ferdynand

Oby tylko łzy... Skoro już zaczęliśmy rozmawiać o muzyce, panie Miller... (*wyjmuje sakiewkę*) Jestem jeszcze pańskim dłużnikiem.

Miller

Co znowu! Ależ, panie baronie! Za kogo pan mnie ma? Jest przecie w pewnych rękach. Niech mnie pan nie zawstydza. Toć, za wolą Bożą, nie widzimy się dzisiaj ostatni raz.

Ferdynand

Kto wie? Niech pan bierze. A nuż mi się nagle co przydarzy.

Miller

śmieje się

Jeżeli tylko o to chodzi, panie baronie... Myślę, że można zaryzykować!

Ferdynand

Rzykowałby pan w istocie... Czy pan nigdy nie słyszał, że nagle umierają młodzi ludzie, dziewczęta, chłopcy, dzieci nadziei, przyszła pociecha zawiedzionych ojców? Czego zmartwienie i starość nie zniszczy, to może zniemacka roztrzaskać piorun. I pańska Luiza nie jest nieśmiertelna.

Miller

Bóg mi ją dał.

Ferdynand

Słyszysz pan, co mówię? Nie jest nieśmiertelna. Ta dziewczyna jest pana okiem w głowie. Przyłgnał pan do niej duszą i sercem. Niech pan będzie ostrożny. Tylko zdesperowany gracz stawia wszystko na jedną kartę. Kupiec, który ładuje cały swój majątek na jeden statek, jest szaleńcem. Niech pan słucha i poduma nad tą przestrogą. Ale dlaczego nie bierze pan swoich pieniędzy?

Miller

Jak to, panie baronie? Tę całą, potężną kiesę? Co też pan powiada?

Ferdynand

Powiadam, że jestem winien. Proszę! (*rzuca sakiewkę w stół, kilka złotych monet wypada*) Przecież tego nie będę trzymał przy sobie na wieki.

Miller

zdumiony

Co to było? Na Boga żywego! To nie brzęczy jak srebro. (*podchodzi do stołu i woła z przejęciem*) Ależ... Święte nieba! Panie baronie! Panie baronie! Gdzie pan buja? A to mi dopiero roztargnienie! (*składa ręce*) tu przecież leży... Mnie chyba kto oczarował... A może... Niech mnie kaci! Macam... Macam... A to samo złoto! Czyste, żółte, prawdziwe złotko!... Nie, szatanie, ty mnie nie kupisz!

Ferdynand

Czy pan sobie pociągnął starego czy młodego wina, panie Miller?

Miller

szorstko

A niech to piorun! Nie widzi pan? Złoto!

Ferdynand

I co z tego?

Miller

Do kaduka! Przecież mówię, błagam na rany Pana Jezusa... To złoto!

Ferdynand

I cóż w tym szczególnego?

Miller

milczy, potem podchodzi do Ferdynanda, urażony

Łaskawy panie, ja jestem skromny, prosty człowiek, a pan chce mnie może namówić do jakiegoś szelmostwa... Bo jak mi Bóg miły, tyle pieniędzy w uczciwy sposób zarobić nie można.

F e r d y n a n d
wzruszony

Niech pan będzie spokojny, przyjacielu. Te pieniądze zarobił pan od dawna i niech mnie ręka Boska broni, bym za nie miał kupować pańskie sumienie.

M i l l e r
skacze jak opętany

A więc to wszystko moje! Moje! Bez obrazy Pana Boga – moje! (*biegnie do drzwi i woła*) Żono! Córko! Chodźcie tu! Victoria! (*wraca*) Ale zlitujcie się, nieba! Skąd do mnie raptem taka straszna fortuna? Jak ja to odrobię? Czym się odpłacę? Czym?

F e r d y n a n d

Nie swoimi lekcjami, panie Miller. Te pieniądze daję panu... (*urywa drżący*) daję panu... (*po przerwie, z bólem*) jako nagrodę za mój sen o pańskiej córce, który trwał przez trzy szczęśliwe miesiące.

M i l l e r
ściska mu gwałtownie dłoń

Łaskawy panie! Gdyby pan był prostym sobie, zwyczajnym mieszczuchem... (*szybko*) a moja dziewczyna nie chciałaby pana, zadźgałbym ją na śmierć. (*znów patrzy na pieniądze, potem ze smutkiem*) Ale teraz ja mam wszystko, a pan nie ma nic. Więc pewnie będę musiał z powrotem oddać całą paradę? Nie?

F e r d y n a n d

Niech pan się o to nie martwi, przyjacielu. Wyjeżdżam stąd, a w kraju, gdzie myślę pozostać na zawsze, nie kursuje ta moneta.

M i l l e r
nie spuszczaając oka z pieniędzy, z zachwytem

Więc to już moje? Na zawsze? Tylko mi smutno, że pan wyjeżdża... Oho! Zobaczycie, ludzie, jaki teraz będzie ze mnie pan! Jak ja się urządzę! (*nakłada kapelusz i biega po pokoju*) W nowym mieszkaniu na rynku będę lekcje dawał... a palił tylko tytoń „Trzej Królowie nr 5”... I jeżeli jeszcze raz usiądę w kościele na ostatniej ławce, to niech mnie wszyscy diabli! Chce odejść.

F e r d y n a n d

Niech pan zostanie. Niech pan milczy. I niech pan zgarnie swoje pieniądze. (*dobitnie*) Niech pan milczy tylko jeszcze przez dzisiejszy wieczór. I jeżeli chce mi pan oddać przysługę, to niech pan już więcej lekcji muzyki nie udziela.

M i l l e r
z coraz większym zapalem, uradowany, szarpie F e r d y n a n d a za kamizelkę
No i proszę pana – moja córka! (*puszcza go*) Nie same pieniądze robią człowieka, o nie. Dla mnie tam wszystko jedno, czy kartofle, czy kuropatwa, byle żołądek był pełny. A ten surdut starczy jeszcze na parę latek, żeby tylko Boże słoneczko przez wytarte łokcie nie zaglądało... Ja tam o pieniądze nie dbam. Ale dziewczyna będzie z nich miała pociechę. O czym tylko zamarzy, natychmiast jej sprawię.

F e r d y n a n d
przerywa mu szybko

Cicho... cicho...

M i l l e r
z rosnącym zapalem

I po francusku musi się uczyć, gruntownie... I menueta, i śpiewu, że będą o niej pisali w gazetach. I paradować w czepku jak córki pana radcy dworu... i w kidebary⁶⁴, czy jak się to nazywa... O córce muzykanta będą gadali na cztery mile wokoło.

F e r d y n a n d
wzburzony do głębi, chwytą go za rękę

Dość! Już dość tego! Na litość boską, niech pan przestanie! Tylko dziś niech pan milczy. Oto jedyne podziękowanie, jakiego żądam.

SCENA SZÓSTA

Ciż, L u i z a z lemoniadą.

L u i z a
ma oczy czerwone od płaczu, głos jej drży; podaje majorowi szklanę na tacy
Jeżeli nie dość mocna, proszę powiedzieć.

F e r d y n a n d
bierze szklanę, stawia na stole i odwraca się nagle do M i l l e r a
Ach, byłbym zapomniał. Kochany panie Miller, czy można pana o coś poprosić? Chciałby mi pan wyświadczyć drobną przysługę?

M i l l e r
Tysiąc, nie jedną. Co pan rozkaże...

F e r d y n a n d
Czekają na mnie przy stole. Jak na złość jestem, w niezbyt wesołym nastroju. Niepodobna, bym mógł się pokazać między ludźmi. Chciałby pan przejść się do mojego ojca i wytłumaczyć mnie?

L u i z a
z lękiem przerywa
Ja mogłabym pójść...

M i l l e r
Do prezydenta?

F e r d y n a n d
Nie do samego prezydenta. Wystarczy, że powie pan to w przedpokoju komuś ze służby. Żeby panu uwierzyli, zabierze pan mój zegarek. Zastanie pan mnie tu jeszcze. I niech pan zaczeka na odpowiedź.

⁶⁴ k i d e b a r y (z franc. *cul de Paris*) – turniura, poduszka lub obręcz noszona pod suknią.

L u i z a
bardzo zaniepokojona

Czy nie mogłabym ja tam pójść?

F e r d y n a n d
do M i l l e r a, który chce odejść

Niech pan czeka, jeszcze jedno. Tu jest list do ojca, który oddano dziś wieczór na moje ręce. Może to jakaś pilna sprawa. Za jedną drogą.

M i l l e r

Dobrze, panie baronie.

L u i z a
chwytając ojca, z wielką trwogą

Proszę ojca, przecież to wszystko ja mogłabym zrobić.

M i l l e r

Sama pójść nie możesz, noc ciemna, moja córko.

wychodzi

F e r d y n a n d

Luizo, poświęć ojcu.

Gdy L u i z a wychodzi ze świecą za M i l l e r e m, F e r d y n a n d staje przy stole i sypie truciznę do szklanki z lemoniadą.

Tak! Musi zginać! Musi! Władze tam na górze ze zgrozą zawołały mi: „tak”, zemsta nieba podpisała wyrok, anioł stróż ją opuszcza.

SCENA SIÓDMA

F e r d y n a n d i L u i z a.

L u i z a wraca powoli ze świecą, stawia ją na stole, z twarzą spuszczoną; tylko od czasu do czasu nieśmiało i ukradkiem spoziera na F e r d y n a n d a, który stoi po drugiej stronie i patrzy nieruchomo przed siebie. Scenę tę musi przygotować długie milczenie.

L u i z a

Jeżeli pan zechce mi towarzyszyć, panie baronie, pogramy sobie na fortepianie.

otwiera instrument; F e r d y n a n d nie daje odpowiedzi. Cisza

Winien mi pan jeszcze rewanż w szachy. Nie zagrałby pan partii, panie baronie?

znów milczenie

Panie baronie, pugilares, który kiedyś obiecałam panu wyhaftować, już zaczęty. Chciałby pan obejrzyć deseń?

znów chwila ciszy

O, jestem taka nieszczęśliwa...

F e r d y n a n d
nie zmieniając pozy

To może i prawda.

L u i z a

Nie moja wina, że pana majora tak źle zabawiam.

F e r d y n a n d

śmieje się szyderczo

Takiego skromnego, nieśmiałego kawalera... Pewnie!

L u i z a

Wiedziała, żeśmy teraz nie powinni być ze sobą. I przyznaję, zlekłam się od razu, gdy pan wysyłał ojca. Panie majorze, zdaje się, że ta chwila będzie nieznośna zarówno dla pana, jak i dla mnie. Jeżeli pan pozwoli, pójdę i zaproszę tu kilka swoich znajomych.

F e r d y n a n d

Ależ owszem, idź! Ja też zaraz pójdę i zaproszę paru swoich znajomych.

L u i z a

patrzy na niego ze zdziwieniem

Panie majorze?

F e r d y n a n d

zgryźliwie

Na honor! To najwyborniejszy koncept, jaki można mieć w podobnych okolicznościach. Z tego ponurego duetu zrobimy zabawę i przy pomocy wiadomych rozrywek pomścimy się na kaprysach miłości.

L u i z a

Pan baron, widzę, w dobrym humorze...

F e r d y n a n d

W tak doskonałym, że ulicznicy na rynku uganiałoby za mną. Tak, naprawdę, Luizo. Twój przykład mnie przekonał. Będiesz moją nauczycielką. Tylko głupcy bredzą o wiecznej miłości. Ciągła monotonia nudzi, prawdziwą zaprawą rozkoszy jest urozmaicenie. Zgoda, Luizo! Bawmy się! Tańczmy od romansu do romansu, tarzajmy się od kałuży do kałuży – ty w swoją stronę, ja w swoją. Może w jakimś zamtuzie⁶⁵ znajdę spokój, który straciłem. Może się po tym wesołym wyścigu jeszcze kiedyś spotkamy: dwa gnijące truchła – miła to będzie niespodzianka! Poznamy się, jak w komedii, po rysach rodzinnych, bo one są niezawodne i wspólne wszystkim dzieciom rozpusty. Może wtedy nareszcie ohyda i wstyd stworzą między nami tę harmonię, której najczulsza miłość stworzyć nie zdołała.

L u i z a

Ach, Ferdynandzie, nieszczęśliwy już jesteś. Czy chcesz jeszcze na to zasłużyć?

F e r d y n a n d

rozwścieczony, szepce przez zęby

Nieszczęśliwy? A kto ci to powiedział? Kobieto, jesteś zbyt niegodziwa, by miewać własne uczucia. Jak więc śmiesz osądzać cudze? Powiada: „nieszczęśliwy”? O, to słowo potrafiłoby wskrzesić mój gniew nawet w grobie. Dobrze wiedziała, że będę nieszczęśliwy. Piekło! Wiedziała o tym, a jednak mnie zdradziła. – Widzisz, żmijo, to była ostatnia nadzieja przeba-

⁶⁵ z a m t u z – dom publiczny.

czenia. Twoje słowa zgubiły cię. – Do tej pory próbowałem zdradę tłumaczyć twoją głupotą i tak tobą pogardzałem, że byłbym zapomniał o zemście. (*porywa szklankę*) Lekkomysłną tedy nie byłeś, głupią też nie, byłeś po prostu szatanem. (*pije*) Lemoniada jest słaba jak twoja dusza. Spróbuj.

L u i z a

O nieba! Nie na darmo bałam się tej sceny.

F e r d y n a n d
rozkazująco

Spróbuj!

L u i z a bierze szklankę niechętnie i pije. F e r d y n a n d, skoro tylko L u i z a wargami dotknęła szklanki, blednie nagle, odwraca się i biegnie do najdalszego kąta pokoju.

L u i z a

Lemoniada dobra.

F e r d y n a n d
nie odwraca się, drży

Na zdrowie!

L u i z a
siada

O, gdyby pan wiedział, majorze, jak okrutnie krzywdzi pan moją duszę.

F e r d y n a n d

Hm...

L u i z a

Nadejdzie taki czas...

F e r d y n a n d
wraca ma przód sceny

O, c z a s przestał już dla nas istnieć.

L u i z a

Nadejdzie czas, że wieczór dzisiejszy legnie ciężarem na pańskim sercu.

F e r d y n a n d
coraz bardziej wzburzony, zaczyna chodzić gwałtownym krokiem, odrzuca szarfę i szpadę
Żegnaj mi, służbo książęca!

L u i z a

Mój Boże! Co panu jest?

F e r d y n a n d

Ciasno i duszno. Chcę sobie ulżyć.

L u i z a

Niech pan pije! Niech pan pije! Napój pana ochłodzi.

F e r d y n a n d

O, na pewno! Ta dziewczka ma dobre serce... Zresztą, jak to one wszystkie.

L u i z a

z całą siłą miłości rzuca, się F e r d y n a n d o w i na szyję

Ty tak do twojej Luizy, Ferdynandzie?

F e r d y n a n d

odpycha ją

Precz! Precz! Precz z tym czułym spojrzeniem! Pokaż się raczej w całej swej grozie i potworności, gadzino! Rzuć się na mnie, wężu! Roztocz przede mną swe najwstrętniejsze sploty, wyprężaj się pod obłoki! Ohydę swoją pokąź, którą zna piekielne bezdno! Tylko nie udawaj anioła, teraz już nie! Za późno. Muszę cię rozdeptać jak żmiję albo zdechnąć z rozpacz.

L u i z a

O, do tego już doszło...

F e r d y n a n d

patrzy na nią spode łba

Jakież to piękne dzieło niebieskiego mistrza! Kto by uwierzył? Kto może uwierzyć? (*bierze jej rękę i podnosi do góry*) Nie będę Cię oskarżał, Panie i Stwórco – ale czemu wlewasz truciznę do tak pięknych naczyń? Jak może bezeceństwo owocować w tak łagodnym klimacie? To zagadka.

L u i z a

Muszę słuchać i milczeć!

F e r d y n a n d

I ten głos, słodki a melodyjny. Skąd tyle muzyki w zerwanych strunach? (*upojonym wzrokiem przygląda się Luizie*) Wszystko to takie piękne, takie harmonijne, takie niebiańsko doskonałe. W każdym calu pyszny owoc Bożego natchnienia. Zaiste! Jak gdyby cały świat powstał tylko po to, by zachęcić Stwórcę do tego arcydzieła. I czyżby tylko dusza nie udała się Panu Bogu? Czy to możliwe, by taki potwór wcielił się w powłokę bez skazy? (*odstępuje od mej szybko*) A może Pan Bóg spostrzegł, że mu spod dłuta wyłania się anioł, i czym prędzej naprawił tę pomyłkę, dając mu tym szkaradniejsze serce?

L u i z a

Jego upór nie cofa się nawet przed grzechem. Woli raczej bluźnić niebu niż przyznać się do błędu.

F e r d y n a n d

płacząc rzuca się jej na szyję

Jeszcze raz, Luizy! Jeszcze raz jak w dzień naszego pierwszego pocałunku, kiedy nieśmiało szepnęłaś: „Ferdynandzie”, i po raz pierwszy na twoich gorących wargach zjawilo się słowo „ty”... O, jaką niekończącą się, niewysłowioną rozkosz zapowiadała ta chwila. Wieczność jaśniała jak uroczy dzień majowy przed naszymi oczami. Złoty wiek tańczył przed naszą

duszą weselne płąsy. Wtedy byłem szczęśliwy! O Luizo, Luizo, czemu żeś mnie tak skrzywdziła?

L u i z a

Niech pan płacze, niech pan płacze. Ból pański bardziej dla mnie sprawiedliwy niż pański gniew.

F e r d y n a n d

Mylisz się. To nie łzy żalu. To nie ta ciepła, rozkoszna rosa, która spływa do zranionej duszy jak balsam i na nowo w ruch wprowadza zatrzymane koło uczucia. To tylko parę zimnych kropel – ostatnie, smutne pożegnanie mojej miłości. (*bardzo uroczyście, kładąc rękę na jej głowie*) To płacz nad twoją duszą, Luizo. Płacz nad Stwórcą, którego nieskończona dobroć tutaj popełniła błąd i który teraz traci swój wspaniały twór z własnej winy. O, zdaje mi się, że cała przyroda powinna pokryć się kirem, zasmucona tym, co się tu stało. Zwykła to sprawa, kiedy ludzie giną i raje idą na marne. Ale gdy zaraza szaleje wśród aniołów, wtedy niech na całym świecie ogłoszą żałobę.

L u i z a

Chce mnie pan doprowadzić do ostateczności. I ja mam siłę duszy, ale ona tylko próbę w ludzkich granicach wytrzymać zdoła. Ferdynandzie, jeszcze to jedno słowo, a potem się rozstaniemy. Okrutna kolej losu pomieszała mowę naszych serc. Gdyby mi było wolno otworzyć usta, powiedziałabym ci wiele, o, wiele... Ale twarda przemoc związała mój język i moją miłość, że muszę teraz milczeć, choć mnie łzysz niby zbrodniarkę.

F e r d y n a n d

Czujesz się dobrze, Luizo?

L u i z a

Po co to pytanie?

F e r d y n a n d

Bo byłoby mi cię żal, że odchodzisz z tym kłamstwem na ustach.

L u i z a

Zaklinam pana...

F e r d y n a n d

w gwałtownym wzburzeniu

Nie! Nie! To byłaby zemsta zanadto piekielna! Nie, niech mnie Bóg strzeże! Nie zapędzę się z tym aż na tamten świat. Luizo, kochałaś szambelana? Nie wyjdiesz z tego pokoju.

L u i z a

Niech pan, co chce, pyta. Już nie odpowiem nic.

siada

F e r d y n a n d

poważnie

Przygotuj swoją nieśmiertelną duszę, Luizo! Kochałaś szambelana? Nie wyjdiesz z tego pokoju.

L u i z a

Już nie odpowiem nic.

F e r d y n a n d

wstrząśnięty do głębi, pada przy niej na kolana

Luizo! Kochałaś szambelana? Nim się ta świeca dopali... Staniesz... Przed Bogiem!

L u i z a

zrywa się przerażona

Co mówisz?... I tak mi słabo...

osuwa się z powrotem na fotel

F e r d y n a n d

A więc to już? O wy, kobiety, nigdy nieodgadnione! Wasze czułe nerwy nie drżą przed uczynkiem, który ludzkość podgryza od korzeni. A marna szczypta arszeniku was przewraca.

L u i z a

Trucizna! Trucizna!

F e r d y n a n d

Tak sędzę. Twoja lemoniada była przyprawiona w piekle. Wychyliłaś ją za pomyślną śmierć!

L u i z a

Umierać... Umierać... Boże miłosierny! Trucizna w lemoniadzie... Umierać... Zlituj się nad moją duszą, Boże miłosierny.

F e r d y n a n d

To rzecz najważniejsza. I ja Go o to proszę.

L u i z a

A moja matka... Mój ojciec... Zbawicielu świata! Mój biedny, nieszczęśliwy ojciec... Czy nie ma ratunku? O moje młode życie... I nie ma ratunku?... Czy ja już muszę zginąć?

F e r d y n a n d

Nie ma ratunku – już musisz zginąć. Ale pociesz się! Razem wyruszamy w drogę.

L u i z a

Ferdynandzie, i ty też? Trucizna, Ferdynandzie... Od ciebie... O Boże, odpuść mu... Boże łaski, zdejm z niego ten grzech!

F e r d y n a n d

Rozejrzyj się raczej po własnym sumieniu. Boję się, że tam nie wszystko w porządku.

L u i z a

Ferdynandzie! Ferdynandzie! O... teraz już dłużej milczeć nie mogę... Śmierć... Śmierć... Rozwiązuje wszystkie przysięgi. Ferdynandzie! Ziemia i niebo nie zna człowieka nieszczęśliwszego od ciebie. Umieram niewinnie, Ferdynandzie!

F e r d y n a n d
spłoszony

Co ona powiedziała? W taką podróż człowiek kłamstwa nie zabiera...

L u i z a

Nie kłamię. Nie kłamię. Raz tylko w życiu skłamałam... Ach, jakie zimno mrozi mi żyły... Kiedym pisała ten list do szambelana...

F e r d y n a n d

O – ten list! Chwała Bogu! To mi przywraca otuchę.

L u i z a

mówi z coraz większym wysiłkiem, palce jej zaczynają drgać konwulsyjnie

Ten list... Odwagi, Ferdynandzie! Usłyszysz okrutne słowo. Ręka moja pisała, choć się serce broniło. Ten list dyktował twój ojciec.

F e r d y n a n d stoi skamieniały, milczy długo, wreszcie pada, jak rażony gromem

To było straszne nieporozumienie... Ferdynandzie... Zmusili mnie... Przebacz! Twoja Luiza wolałaby zginąć... Ale mojemu ojcu... Niebezpieczeństwo... Chytrze to uknuli...

F e r d y n a n d

zrywa się gwałtownie

Niech będzie Bóg pochwalony! Jeszcze nie czuję trucizny.

wyrywa szpadę z pochwy

L u i z a

coraz słabiej

Biada! Co chcesz zrobić? To przecież twój ojciec...

F e r d y n a n d

w niepohamowanej wściekłości

Morderca i ojciec mordercy! Musi iść ze mną, niech Sędzia świata rzuci swe gromy w tego, który zawinił.

chce wyjść

L u i z a

Zbawiciel przebaczył w godzinie śmierci... Błogosławię tobie i twojemu ojcu.

umiera

F e r d y n a n d

wraca szybko, spostrzega jej ostatnie poruszenie i, złamany, pada przy zmarłej na kolana

Zaczekaj! Zaczekaj! Nie zostawiaj mnie, aniele! (*chwyta jej rękę i zaraz ją puszcza*) Zimna. Zimna i mokra. Już jej dusza odeszła. (*zrywa się znów*) Boże mojej Luizy! Przebaczenia, przebaczenia dla najpotworniejszego mordercy – to była jej ostatnia modlitwa... Taka piękna, taka urocza nawet w chwili zgonu. Sam anioł śmierci wzruszył się i przeszedł łagodnie po jej cichych licach. Dobroć Luizy nie była maską, bo przetrwała nawet zgon. (*po chwili*) Ale cóż to? Czemu ja nic nie czuję? Czy siła młodości chce mnie ocalić? Daremny trud! Tego nie pragnę!

chwyta szklankę

SCENA OSTATNIA

Ferdynand, Prezydent, Wurm i służba. Wszyscy wpadają do pokoju. Potem Miller. Za nim straż sądowa i kilku ludzi; skupiają się w głębi sceny.

P r e z y d e n t

z listem w rękę

Mój synu, co to znaczy? Nie wierzę...

F e r d y n a n d

rzuca mu szklanę, pod nogi

To patrz, morderco!

P r e z y d e n t

chwije się, cofa; wszyscy truchleją; głuche milczenie; potem mówi

Mój synu, czemu mnie tak karzesz?

F e r d y n a n d

nie patrząc na niego

Miałem cię może wpierw zapytać, czy to pasuje do twoich planów politycznych? Przyznaję – chytry, zadziwiająco chytry był ten podstęp, co zazdrością rozerwał związek naszych serc... Podstęp uknuty po mistrzowsku – ale urażona miłość pokrzyżowała go ci niestety.

P r e z y d e n t

rozgląda się błędnym wzrokiem

Nie ma tu nikogo, co by zapłakał nad rozpacą ojca?

M i l l e r

wołając za sceną

Puście mnie! Na litość boską! Puszczajcie!

F e r d y n a n d

Ta dziewczyna jest święta. O nią upomni się kto inny. Otwiera drzwi Millerowi, który wpada wraz z kilkoma ludźmi i strażą sądową.

M i l l e r

szalony ze strachu

Moje dziecko! Moje dziecko! Trucizna... Otruli... Krzyczą, że ktoś się tu otruł... Córko, gdzie jesteś?

F e r d y n a n d

prowadzi go między Prezydenta a zwłoki Luizy

Jam niewinny. Jemu podziękuj!

M i l l e r

pada przy Luizie na kolana

O Jezu!

F e r d y n a n d

Jeszcze tylko parę słów, ojcze, bo już ich nie mam wiele... Ukradzono mi życie zbrodniczą ręką – ojciec mi je ukradł. Gdy pomyślę o Bogu, ogarnia mnie strach. Ale złoczyńcą nigdy nie byłem. Jakikolwiek padnie na mnie wyrok, na ojca niech wina nie spada. Ale popełniłem morderstwo! (*straszonym głosem*) Morderstwo! I nie myśl, ojcze, że ten grzech zawlokę sam jeden przed trybunał Boski. Uroczyście zwałam na ojca największą, najstraszniejszą część mojego grzechu – próbuj, czy ją udźwigniesz! (*prowadzi go przed L u i z ę*) Spójrz, tyranie, i rozkoszuj się skutkami swojej chytrności. Na tej twarzy wyryte twoje imię groźnym pismem, aniołowie zemsty potrafią je odczytać. To widmo niech rozsunie zasłony u twojego łóża, gdy będziesz spał, i niech poda ci rękę zimną jak lód. To widmo niech stanie przed twoją duszą, gdy będziesz konał, i niech ostatnią modlitwę straci z twoich ust. To widmo niech się zjawi na twym grobie, gdy będziesz zmartwychwstawał – i przy boku Pana Boga, gdy Pan Bóg nad tobą rozpocznie sąd.

mdleje, służba go podtrzymuje

P r e z y d e n t

z rozpaczą wyciąga rękę do nieba

Sędzio świata, nie ze mną prawuj się o te dusze, nie ze mną – z n i m!

zbliża się do W u r m a

W u r m

podrywa się

Ze mną?

P r e z y d e n t

Tak, z tobą, przeklęty zdrajco! Z tobą, szatanie! To ty, ty – tyś mi podszeptał tę podłą myśl. Na ciebie niech spada odpowiedzialność. Ja umyvam ręce.

W u r m

Na mnie? (*z potwornym uśmiechem*) a to zabawne, bardzo zabawne! Wiem teraz przynajmniej, w jaki sposób diabeł lubi dziękować. Na mnie, głupi łotrze? A czy to mój syn? Czy ja byłem twoim panem? Na mnie ma spaść odpowiedzialność?... Zgoda! Przy tym obrazie, co mi szpik w kościach mrozi, powiadam: niech spada na mnie! Teraz c h c ę zginąć, ale t y zginiesz ze mną. Dalej! Krzyczcie po ulicach: „Morderstwo! Morderstwo!” Obudźcie sędziów! Pachołki sądowe, wiaźcie mnie! Wyprowadźcie mnie stąd! Odkryję takie tajemnice, że skóra ścierpnie na tych, co je usłyszą.

chce odejść

P r e z y d e n t

zatrzymuje go

Tego nie uczynisz, szaleńcze!

W u r m

klepie go po ramieniu

Uczynię, kolego! Uczynię! Szalony jestem, to prawda. Ale tyś mnie do tego doprowadził – więc będę szalał. Pod rękę z tobą jazda na szubienicę! Pod rękę z tobą jazda do piekła!

wyprowadzają go

M i l l e r

przez cały ten czas klęczał tuląc głowę do kolan L u i z y, oniemiały z bólu; teraz zrywa się i rzuca majorowi sakiewkę pod nogi

Trucicielu! Weź swoje przeklęte złoto! Chciałeś mi nim zapłacić za moje dziecko?
wypada z pokoju

F e r d y n a n d

konającym głosem

Biegnijcie za nim! On jest nieprzytomny z rozpacz. Oddajcie mu te pieniądze! To moje smutne podziękowanie. Luizo... Luizo... Idę... Zegnajcie... Niech umrę przy tym ołtarzu.

P r e z y d e n t

budzi się z odrętwienia

Synu! Ferdynandzie! Czy nie spojrzysz choć raz na swojego strapionego ojca?
Majora układają przy L u i z i e

F e r d y n a n d

Ostatnim spojrzeniem proszę Boga, by się zlitował nade mną.

P r e z y d e n t

klęka przy nim w straszliwym bólu

Bóg mnie opuścił i ludzie. Nie spojrzysz choć raz, by mi na duszy było lżej?
Ferdynand konając podaje mu rękę

P r e z y d e n t

wstaje szybko

Przebaczył mi. (*do straży*) Bierzcie mnie do więzienia!
*wychodzi. Za nim straż
kurtyna spada*

ANEKS

PIERWSZE WIADOMOŚCI W POLSCE O SCHILLERZE

Pierwsza wiadomość biograficzna o Schillerze zamieszczona została w „Dzienniku Wileńskim” (r. 1805/1, s. 107): „Dnia 16 maja zakończył życie w Weimar sławny Fryderyk Schiller, jeden z pierwszych pisarzy i wierszopisów niemieckich; żył lat 46.” A w tym samym dzienniku (r. 1805/7, s. 302) czytamy: „...czas umieścił imię Schillera w świątyni sławy na zawsze.” W tym samym numerze „Dziennika” wydrukowano pierwszy w Polsce krytyczny artykuł o Schillerze. Pisze w nim autor: „Schiller starał się wszędzie naśladować Szekspira, do którego się z późniejszych pisarzy najwięcej przybliżył, tak, że od niektórych Szekspirem niemieckim był nazywany.”

Słowa uznania zawierają też wypowiedzi autora artykułu z „Rocznika Teatralnego” oraz tłumacza wierszy Schillera B. Kicińskiego: „Schiller, ów najulubieńszy autor w całych Niemczech, umiał dogadzać publiczności, łącząc przepych, odmiany, mnóstwo osób etc. do wybornej poezji swoich tragedii.” („Rocznik teatru narodowego Księstwa Warszawskiego”, 1811)

„Poeta ten, [Schiller] prawdziwie godzien nazwiska wieszczca, obdarzony był nadzwyczajną wyobraźnią, a każdy plód pracy jego nosi piętno geniuszu. Szedł zawsze za duchem wieku, czasem go nawet prześcigał. Myśli śmiałe, wyrażenia nowe, farby malarskie, idealność żywa unosząca go za obręby materialnego świata, oto są cechy Schillera; słowem był to poeta-filozof.” (Bruno Kiciński, przedmowa do przekładów poetyckich Fr. Schillera, r. 1821)

„...plody, Schillera nawykliśmy uważać za coś swojskiego. Głośne u swego narodu, rozeszły się po całej Europie; mocniej i powszechniej niż inne przyłgnęły one do Polaków. Jakożeś spółczucie związało ich ściślej z naszym narodem.” (*Pienia liryczne Fryderyka Szyllera poprzedzone jego żywotem* – wstępny życiorys Schillera pióra A. Bielowskiego, Lwów, 1841)

Walenty Chłędowski w r. 1830 ogłasza w „Haliczaninie” obszerną rozprawę pt.: *Arystoteles, sędzia romantyczności*, gdzie pisze: „Szyllesem i Szekspirem uderzeni w serce pojmują teraz, że dzieł dramatycznych nie jest przeznaczeniem, aby w aleksandrynach wygłaszać morały i nad uczuciami rozumować, ale przedstawiać żywy obraz ludzkich namiętności, życia i czynów według natury i prawdy... Szekspir, Goethe, Szyller, Byron i w wielu dziełach Kaldeon, tak wielcy i prawdziwi w charakterach, tak naturalni i wzniośli w uczuciach, tak nierównani w poezji życia, w przedstawieniach prawdy i natury, nauczą nas wiele i poprowadzą wzorem jedynie „poezji godnym i prawdziwym”.”

MICKIEWICZ O SCHILLERZE

Mickiewicz był wielkim entuzjastą utworów Schillera, zwłaszcza jego poezji. Nie bez racji nazwano *Odę do młodości* „chrzestną córką Schillera”. Poprzedził ją autor mottem, które zaczerpnął z wiersza Schillera pt. *Początek nowego stulecia*: „I stare formy padają w ruiny” („*Und die alten Formen sturzen ein*”). Są analogie między fragmentami *Dziadów* a wierszami Schillera oraz przekład ballady *Der Handschuh* (*Rękawiczka*).

...możemy domyślać się, że utwory Schillera stanowiły najwcześniejszą lekturę niemiecką Mickiewicza. Rozpoczął rozczytywać się w nich w połowie 1819 roku, może korzystając z wakacyjnych czasów, spędzonych w ojcystym Nowogródku i jego okolicy w przełomowym momencie życia, przed objęciem posady nauczycielskiej w Kownie. Być może, że na „nowe życie” wiozł z sobą poezje Schillera, czytane jeszcze z trudem przy pomocy fatalnego słownika, na co uskarżał się w jesieni tegoż roku. Z wolna lektura szła coraz mniej po grudzie, a jednocześnie z pokonywaniem trudności językowych i z wczytywaniem się w styl Schillerowski musiała powiększać się przyjemność estetyczna. 19 lutego 1820 roku poeta wspomina po raz pierwszy, o ile wiemy, Schillera, pisząc do najserdeczniejszego z przyjaciół, Czeczota, w dość zagadkowy sposób: „Huta już ostygła, romansowe ognie zwietrzały; miałem uciąć Szyllerowską balladę, ale z tym na potem. Tobie bym radził spróbować, jeśliś widział hutę: (Chodzi tu o balladę Schillera *Der Gang nach dem Eisenhammer*)

Któż nad ciebie, któż nad Janka
Szylerskie uda igrzysko?
Prośbom jego i ziemianka,
I niebianka zawsze blisko.”

(M. Szykowski, *Schiller w Polsce*, str. 149)

Schiller „jest od dawna jedyną i najmilszą lekturą. O tragedii *Räuber (Zbójcy)* nie umiem pisać. Żadna ani zrobiła, ani robi na mnie tyle wrażenia.” (Mickiewicz w liście do Jeżowskiego, 11 VI 1820 r.)

„Przeczytałem ostatni tom najmilszego Schillera. Co za Marya Stuart! Ale i wszystkie [tragedie] przedziwne. Zmiłujcie się, cokolwiek niemieckiego...” (Mickiewicz, 30 IX 1820 do Jeżowskiego)

SCHILLER O INTRYDZE I MIŁOŚCI

„...moja *Luiza Millerin* [początkowy tytuł dramatu] posiada różne właściwości, które nie uchodzą w teatrze, np.: gotycka mieszanina elementów komicznych i tragicznych, zbyt swobodne przedstawienie niektórych istotnych rodzajów głupoty oraz rozproszona różnorodność detali.”

(List Schillera do Reinwalda z Bauerbach, 23 III 1783)

„Są prace, których połowę stanowi uczenie się, drugą połowę myślenie: – Do sztuki teatralnej nie potrzebuję żadnej książki, lecz całej duszy i wszystkiego czasu...”

(Goethe Schiller *Über das Theater*, str. 457)

GOETHE O SCHILLERZE

Epilog do *Dzwonu* Schillera

Fragmenty

Miastu niech pierwszym potokiem
dźwięku wieści słowo „Pokój”!

Lecz nagle dźwięk mną wstrząsnął pogrzebowy
I rósł w północnej ciszy groźnie, głucho.
Czy to możliwe? Twojeż to pozgonne,
Ty, z którym serce niepowrotnie skute?
Ty, coś wart stokroć życia, ciebież wlecze
Nieubłagana śmierć, na przekór światu?
Ach, jakież grom dla bliskich – boleść taka!
Więc płacze świat... Mielizbyśmy nie płakać?

Boć on był nasz! Jak poufale umiał
Dostojny duch ten służyć zwykłej dobie;
Jak – z wysokiego zstępując Parnasu –
Chętnie pogodny wiódł i lotny dialog;
Jakim obrotem – szybkim, trafnym, śmiałym –
Życia głębokie obnażał zamysły,
Jak radą, czynem służył każdej chwili,
Wiemy to wszyscy, bośmy doświadczyli.
Bo on był nasz! Niechaj to słowo dumniej
I głośniej zabrzmie niżli szloch boleści!
Chociaż wśród nas, w bezpiecznym od burz porcie,
Do tego, co trwa, z wolna się nałamał,
To jego duch szedł naprzód porywami
Ku Dobru, Pięknu, ku wieczystej Prawdzie.
A za nim legło na bezkształt rozbite
To, co hamuje i nas, pospolitość.

Duchy, co ongiś toczyły z nim boje,
Ledwo przyznając żywemu zasługę,
Dziś, pokonane jego dzieł przewagą,
W tym świetnym kręgu jak zakłęte trwają.
Wydźwignął się wraz z wszystkim, co nam drogie,
Co krewne nam, na szczytów szczyt najwyższy.
Sławcież go tedy! Co tylko w połowie
Od życia wziął – potomność niech dopowie.

Takim pozostał dla nas ten, co z dawna,
Już dziesięć temu lat! – nas osierocił!
Błogo nam było wprost od niego czerpać,
A świat mu winien dank za tę spuściznę,

Którą przekazał wielkim ludzkim rzeszom –
Najosobistszą własną swą odrębność.
I dziś przewodzi nam. Niknąc ulata
Kometą jasność czerpiącą z wszechświata.

Przełożyła *Kazimiera Hłakowiczówna*

INTRYGĄ I MIŁOŚCIĄ NA SCENIE NIEMIECKIEJ

Dramat Schillera grany był na wszystkich scenach niemieckich i szturmem zdobywał serca widzów.

M. Szykowski pisze w swej książce *Schiller w Polsce* na str. 265:

„Lamartelière, francuski tłumacz i zapalony wielbiciel mieszczańskiej tragedii Schillera opowiada, jak to w wielu miastach niemieckich wystawienie tej sztuki wywierało tak głębokie na widzach wrażenie, że wybuchy płaczu w audytorium zagłuszały słowa aktorów do tego stopnia, iż ci trzykrotnie opuszczali scenę, nie mogąc się doczekać ustania szlochów.” (*Théâtre de Schiller*, t. II, s. 401)

Premiera *Intrygi i miłości* w Mannheim odbyła się 15 IV 1784 r. Sztuka otrzymała znakomitą obsadę. Poeta obecny był na przedstawieniu. Siedzący z nim w łożu przyjaciel jego, Streicher, tak opisał wrażenia z pierwszego przedstawienia: „Spokojnie i pogodnie, ale zamysłony i zamieniając zaledwie kilka słów, oczekiwał [Schiller] podniesienia kurtyny. Ale kiedy przedstawienie się zaczęło, któż potrafiłby opisać głębokie, wyczekujące spojrzenie... Ściągnięcie brwi, gdy jakieś słowa zostały wypowiedziane nie po jego myśli – błysk oczu, gdy miejsca obliczone na poklask wywołały brawa – któż by to opisać potrafił! – Podczas całego pierwszego aktu nie wymknęło mu się ani jedno słowo, jedynie na zakończenie aktu usłyszano z jego ust: „dobrze idzie”. Drugi akt grano z takim ogniem i naprawdę tak porywająco, że po spuszczeniu kurtyny wszyscy widzowie, w zupełnie niezwykły wówczas sposób, powstali z miejsc bijąc jednocześnie rzesiste oklaski i wołając. Zaskoczony tym poeta powstał i skłonił się publiczności. W jego wyrazie twarzy, w szlachetnej, dumnej postawie znać było świadomość satysfakcji, jaką sobie sprawił, i zadowolenie, że zasługi jego zostały uznane, uczczone wyróżnieniem.” (Karl Berger, *Schiller*, t. I, s. 379–380)

PIERWSZE DRAMATY NIEMIECKIE NA SCENIE POLSKIEJ

Początek XIX w. jest okresem, kiedy pośrednią drogą, przez Francję, zaczyna przedostawać się i oddziaływać na twórczość polską literatura niemiecka. Już w r. 1801 (I s. 80 „Nowy Pamiętnik Warszawski”) pisał jego redaktor Salezy Dmochowski o scenie warszawskiej; „Repertorium teatru polskiego jest dosyć wielkie: wynosi przeszło tomów czterdzieści. Pomnożone jeszcze zostało wielą sztukami niemieckimi, które teraz najwięcej zajmują teatr.”

Teatr dysponował niewielką ilością dzieł oryginalnych, posługiwano się przeważnie przekładami, były to jednak w większości tłumaczenia sztuk lichych, kasowych. Stosowano się do ogólnego gustu publiczności, która nie entuzjazmowała się repertuarem klasycznym. Wojciech Bogusławski, jako dyrektor teatru, wystawił najdoskonalsze dzieła literatury światowej, przeważnie francuskiej. Nie brak było przeciwników romantycznego dramatu. Szykowski w swej książce *Schiller w Polsce* cytuje zdanie jednego z takich przeciwników, który pisał „Dosyć powiedzieć, że pochodzi romantyzm od Niemców... którzy ze względu gustu i pięknej literatury niższy trzymają stopień w Europie.”

Tragedie niemieckie nie mogły silnie przemawiać do Polaków z tego choćby powodu, że nie znalazł się nikt, kto by zajął się przekładem sztuk lepszych, a nie błahych, które bardzo szybko znikwały nie tylko ze scen polskich, ale i niemieckich. Kazimierz Brodziński domagał się, aby „zglębiać Szekspira i Schillera, i w części Goethego, nie przeto, żeby to malować, co oni, ale żeby tak wiernie obyczajem wystawiać, jak oni.” „Dramy” niemieckie były tłumnie nawiedzane tylko w teatrze w Warszawie i Lwowie. Najbardziej popularnym utworem był Zschokkego *Abellino, wielki bandit niemieckci*, sztuka grana we Lwowie w 1795 r. i przypisywana Schillerowi. Tragedie Schillera znane były u nas prawdopodobnie przede wszystkim za pośrednictwem tłumacza francuskiego Lamartelière'a.

Wybór *Zbójców* na pierwszy dramat Schillera w Polsce okazał się fatalny, gdyż premiera w Teatrze Narodowym w r. 1803 skończyła się całkowitym fiaskiem i utrudniła w znacznym stopniu na przyszłość pozyskanie teatru polskiego dla utworów niemieckiego dramaturga.

Sztuka Schillera nie tylko weszła na sceny wszystkich teatrów w Polsce i grana jest niemal co rok przynajmniej w jednym z teatrów polskich, ale wywołała naśladownictwo. Tłumacz Schillera i autor dramatyczny Józef Korzeniowski napisał w r. 1823 pięcioaktową tragedię *Aniela*, wystawioną we Lwowie i cieszącą się dużym powodzeniem. Jej podobieństwo do *Intrygi* Schillera było uderzające. Stefan Witwicki w recenzji z tej sztuki pisał w „Gazecie Polskiej” r. 1829, nr 72: „Położenie, stosunki i los głównych osób są w obu podobne. W dramie niemieckiej, mianowicie w poczwarnych rolach prezydenta i sekretarza, znać jeszcze świeżego autora okropnych *Zbójców*: sztuka polska ma mniej od tamtej zapału i charakteru, ale więcej rzewności. Pan Korzeniowski, pracując nad podobnym jak Schiller przedmiotem, pracował swoim własnym talentem i jest niezmiernie daleki od tych pisarzy, którzy, pożyczając myśli i uczucia innych, udają one za własne i tym sposobem puszczają się na niegodny rodzaj literackiego zarobkowania. Wszakże w obydwóch dziełach tak poety niemieckiego, jak polskiego, przebija się w wielu miejscach duch i koloryt Szekspira.” – Wszystkie osoby pierwszoplanowe w tragedii Korzeniowskiego opierają się na postaciach *Intrygi i miłości* Schillera, uwikłane są w historie zupełnie analogiczne. Niektóre sceny są niemal powtórzeniem scen z *Intrygi*.

Nic więc dziwnego, że *Anielę* Korzeniowskiego nazwał jeden z współczesnych mu krytyków „dziewicą sentymentalną Schillera”.

INTRYGNA I MIŁOŚĆ NA SCENACH POLSKICH

Teatr lwowski w latach 1809–1830 pozostawał pod kierunkiem wielbiciela i tłumacza Schillera Jana Nepomucena Kamińskiego. 23 I 1818 r. wystawiono po raz pierwszy w Polsce dramat Schillera pod tytułem *Podstęp i miłość*. Przedstawienie to wznowione było w roku następnym 18 VI 1819 r.

Po wznowieniu pisał jeden z recenzentów w „Pamiętniku Lwowskim” z punktu widzenia zasad dramatu klasycystycznego: „Wielki geniusz Schillera szedł w tym dziele niepewną jeszcze drogą. W niektórych scenach panuje ton nieprzyzwoitej trajedyi, a rzecz, chociaż dobrze prowadzona, staje się często nienaturalną. Okropne rozwiązanie nie wypływa z konieczności; słabe i naciągnięte nitki, na których się trzyma, mogą być jednym słowem przecięte... Są wszelako sceny, w których dramatyczne piękności zachwycają.”

W styczniu roku 1821 ponownie wystawiana jest we Lwowie *Intryga i miłość*. Stanisław Jaszowski, który prowadził w „Rozmaitościach Lwowskich” referat teatralny, pisał o niej: „...autor *Zbójców* wyraźnie w tej sztuce spostrzegać się daje... te same dzikie namiętności cechują charaktery, a wzruszenie osiąga się przesadnością... jak wszystkie płody Schillera nosi (tragedia) na sobie cechę wielkiego geniuszu... Śmiało wyrzec można, że w tej sztuce nie

intryga odnosi zwycięstwo, lecz nieumiarkowana namiętność młodzieńca, przechodząca za granice podobieństwa do prawdy.” („Rozmaitości Lwowskie”, 1821, nr 11)

10 I 1823 r. pojawia się *Intryga i miłość* na scenie warszawskiej w przekładzie Józefa Korzeniowskiego. Recenzent „Gazety Warszawskiej” (T., Nr 81) „gani zbytnią rozwlekłość, wadę właściwą poczynającym pisarzom, i przesadę wyobrażeń, które nieraz w paradoksy się zamieniają, a co najbardziej, sentymentalność nieraz aż do znudzenia posuniętą, która, jak powiada Schlegel, zdolniejsza jest zmordować słuchacza niż głęboko poruszyć.”

Odtąd sztuka ta nie schodzi z afiszów scen polskich Warszawy, Lwowa, Krakowa, Łodzi, Lublina, Poznania, Katowic. Na siedemdziesięciolecie zgonu poety *Intrygę i miłość* wystawia teatr warszawski z Heleną Modrzejewską w roli Luizy. W przedstawieniu *Intrygi 3 V* 1866 obsadzona ponownie H. Modrzejewska jako Luiza z roli swej zrezygnowała motywując krok ten następująco:

„Oświadczenie uczynione wczoraj publicznie na tutejszej scenie z powodu, że nie mogłam wziąć udziału w przedstawieniu wczorajszym tragedii Schillera *Intryga i miłość*, zmusza mnie sprostować to, co w oświadczeniu tym mylnego, a wypowiedzieć, co utajono.

Za bardzo cenię sztukę i publiczność, abym występowała w tragedii Schillera nie tylko nie wystudiowawszy roli mnie przeznaczonej, ale nawet nie mogąc się jej nauczyć z powodu braku czasu. Niemożebność tę oceni sama publiczność, jeżeli tylko fakt pozna. Próba czytana z tej tragedii odbyła się w poniedziałek 30 kwietnia; we wtorek na żądanie Dyrekcji teatru występowałam w innej sztuce; pozostała więc tylko środa do nauczenia się roli tak wielkiej, a jeszcze we środę poprawiano tłumaczenie sztuki. Wprawdzie nieraz miałam pozostawione tyle tylko czasu do nauczenia się roli, lecz bywało to w komedii, gdzie prędzej wolno artyście własnym natchnieniem dopełnić zdania zapomnianego, ale nie w tragedii takiego poety jak Schiller! Dlatego we czwartek rano – nie zaś na 4 godziny przed przedstawieniem, jak oświadczone – prosiłam Dyrekcję teatru, aby odłożono do soboty odegranie sztuki *Intryga i miłość*, gdyż nie jestem w stanie we czwartek wieczór wystąpić, nie umiając roli. Czyż właśnie nie byłoby to lekceważeniem publiczności występować przed nią bez należytego nauczenia się roli i wystudiowania sztuki? Przedstawienia nie odłożono. Jestże w tym z mej strony lekceważenie publiczności? Niechaj sama osądzi. W Krakowie 4 maja.

Helena Modrzejewska
Artystka sceny krakowskiej
(„Czas”, 1866, 6. V. Nr 103)

Dramat Schillera T. Boy-Żeleński nazywa w recenzji z r. 1926 „...utworem, który pod wieloma względami jest potwornym melodramatem. Biorąc rzecz na chłodno, trudno się wzruszyć tymi nieszczęściami, których Ferdynand sam jest głównym sprawcą: żal nam tylko biednej Luizy, której tyle miłości i cnoty nie zdołało uchronić od najwstrętniejszego i w istocie zbyt lekko powziętego podejrzenia. Ale cała rzecz w tym, że nikt tej sztuki nie słuchał i dziś jeszcze nie słucha na chłodno: ten wichur entuzjazmu idący ze sceny udziela się, porywa!... Bo w gruncie rzeczy... chodzi o to wiekuiste pytanie, czemu jest w świecie tyle nikczemności i czemu największa część ludzkich wysiłków obraca się na to, aby jedni unieszczęśliwiali drugich?... Takie były troski młodego Schillera; i pozostał im wierny do końca.”

W r. 1933 tak pisał o języku w dramacie Schillera po premierze *Intrygi i miłości*: „...od pierwszej sceny kapitalnego dialogu zdumiałem się, jak bardzo pionierski jest tu realizm językowy Schillera. Stary Miller gada dialektem niczym w *Tkaczach* Hauptmanna.

Cóż za śmiałość, cóż za nowatorstwo, w epoce, gdy jeszcze przez długie lata tragedia miała się drapować w pseudoklasyczną szatę wierszowanej konwencji.”

SPIS NAJWAŻNIEJSZYCH DRAMATÓW FR. SCHILLERA

Tytuł – Rok powstania

Zbójcy (Die Räuber) – 1781

Sprzysiężenie Fieska z Genui (Die Verschwörung des Fiesco zu Genua) – 1783

Intryga i miłość (Kabale und Liebe) – 1783

Don Karlos (Don Carlos) – 1787

Wallenstein – 1798

Maria Stuart – 1801

Dziewica Orleańska (Die Jungfrau von Orleans) – 1802

Naręczona z Messyny (Die Braut von Messina) – 1803

Wilhelm Tell – 1804

Dymitr (Demetrius) – 1804

PRZEKŁADY *INTRYG I MIŁOŚCI* NA JĘZYK POLSKI:

Jan Nepomucen Kaminski, Józef Korzeniowski – r. 1905

Michał Budzyński – r. 1843–1844

Julian Tuwim – r. 1934

Obecnego przekładu dokonano na podstawie pierwszego wydania (Mannheim, 1784) i wzięto pod uwagę skróty i poprawki poety w egzemplarzu tego wydania znajdującym się obecnie w bibliotece towarzystwa „Schillerverein” w Lipsku.

SPIS RZECZY

Wstęp
Intryga i miłość
Aneks

